# Sługa Boży

# Jacek Piekara

Motto:

Jeśli kto wielbi Bestię i obraz jej, ten będzie pić wino zapalczywości Boga, przygotowane w kielichu Jego gniewu. I będzie katowany ogniem i siarką wobec świętych aniołów.

Apokalipsa św. Jana — Zapowiedź godziny sądu

Odziany jest w szatę we krwi skąpaną, a imię Jego: Słowo Boga. On paść będzie narody rózgą żelazną i On wyciska tłocznię wina zapalczywego gniewu wszechmocnego Boga.

Apokalipsa św. Jana — Pierwsza walka zwycięskiego Słowa

Jest on bowiem narzędziem Boga dla wymierzania sprawiedliwego gniewu temu, który czyni źle.

Św. Paweł, List do Rzymian

## Sługa Boży

Nie odmawia się Rakshilelowi. I Kiedy jego służący powiadomił mnie, że mistrz czeka, natychmiast założyłem płaszcz i wyszedłem na ulicę. Było bardzo gorąco, parno wręcz, i smród z rynsztoków porażał nozdrza. Nienawidzę miast. A zwłaszcza Hez-hezronu. To najgorsze ze złych miast. Ale tu właśnie najlepiej zarabia się na życie i najpilniej służy Bogu. No i co zrobić?

Rakshilel miał murowany, piętrowy dom z wejściem od ulicy i drzwi z mosiężną kołatką. Jak na mistrza gildii rzeźników nie było to zbyt wiele, ale Rakshilela znano z przerażającego skąpstwa. A skąpstwu temu dorównywało tylko okrucieństwo. Nigdy nie przepadałem za tym człowiekiem, ale miał w mieście zbyt wiele do gadania, abym nie skorzystał z uprzejmego zaproszenia. No i parę razy dał mi już zarobić. Nie za wiele, ale czasy są ciężkie i liczy się każdy grosz. A ja, mili moi, byłem przecież tylko inkwizytorem bez odpowiedniej koncesji, mało komu znanym przybyszem z prowincji, czyli na dobrą sprawę: nikim.

Rakshilel siedział w ogrodzie, a raczej w czymś, co nazywał ogrodem, i zażerał się daktylami z wielkiej, srebrnej misy. Brzuszysko kładło mu się na kolana, rozchełstaną na piersiach koszulę miał całą w plamach po winie i oliwie, a paluchy ciężkie od złotych pierścieni.

— Siadajcie, panie Madderdin — warknął, nie patrząc nawet na mnie, i niedbałym ruchem przegonił służących.

Zniknęli jak mgiełka. Dobrze ich wyszkolił, trzeba przyznać.

— Mam dla was pewną robotę, tylko czy chcecie zarobić?

— Kościół nie płaci zbyt wiele swym sługom — odparłem z uśmiechem — i każdy dodatkowy grosz jest mile widziany.

— Elia Karrane, mówi wam coś to imię?

Wzruszyłem ramionami. Kto w Hez-hezronie nie wiedział o tym, że Elia publicznie dała kosza Rakshilelowi? Chyba głusi i ślepi. Elia była samotną, bogatą panienką, niby poddaną prawnej opiece starszych braci, ale w rzeczywistości oni tańczyli, jak im zagrała. A poza tym była odważna i zdecydowana. Myślała, że z jej pieniędzmi oraz pozycją może się nie bać Rakshilela. I to świadczyło, niestety, iż nie grzeszyła rozsądkiem. Jeśli nie chciała małżeństwa, nie należało przynajmniej upokarzać mistrza rzeźników publicznie. Zwłaszcza kiedy było się tylko mieszczką pozbawioną ustosunkowanego męża lub kochanka. A o jedno i drugie przy swej urodzie oraz pieniądzach mogła się bez trudu zatroszczyć. Cóż, lubiła widać swobodę, a to bywa zarówno przyjemne, jak i niebezpieczne.

— Wykończ ją, Mordimer — powiedział kładąc dłoń na mojej dłoni.

Była gorąca i lepka. Nie dziwię się, że Elia nie chciała, aby dotykały jej takie paluchy. Ja też nie chciałem, więc odsunąłem rękę.

— Nie jestem płatnym mordercą — powiedziałem, wzruszając ramionami. — Zgłoś się do kogoś innego.

Nie byłem ani zły, ani obrażony. Raczej zawiedziony, iż mistrz rzeźników mógł mnie potraktować jak byle najemnika gotowego na wszystko za parę koron. Wstałem, ale on chwycił mnie za ramię. Przystanąłem i popatrzyłem na niego. Z ociąganiem zwolnił uchwyt.

— Wykończ ją oficjalnie — powiedział, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

— Nie mam prawa działać na tym terenie — odparłem ostrożnie i byłem zdziwiony, że tego nie wie. — Moja koncesja nie obejmuje Hez-hezronu. Jestem tylko biednym chłopcem z prowincji, ale jeśli chcesz, mogę ci polecić kogoś z miejscowych. Znam jednego, czy dwóch jeszcze ze szkoły...

— Załatwię co trzeba — mruknął Rakshilel, a ja pomyślałem, że jego macki muszą sięgać bardzo daleko. — Przecież ja nie chcę jej zabić, tylko zagrozić doprowadzeniem przed Ławę. Kiedy zobaczy mistrza Severusa i jego narzędzia, od razu zmięknie jej serduszko.

Patrząc na Rakshilela, pomyślałem, że wcale nie byłbym taki pewien, czy Elia Karrane wybierze jego czy seans z mistrzem Severusem, faktycznie słynącym z kompletu nadzwyczaj unikatowych narzędzi. No, ale to już był jej wybór. Poza tym miałem daleko idące wątpliwości, czy w momencie doprowadzenia Elii przed Ławę, Rakshilelowi uda się wydobyć ukochaną. Sprawy puszczone raz w ruch niełatwo dają się zatrzymać. Rzeźnika albo zaślepiała miłość zmieszana w pięknych proporcjach z nienawiścią, albo tak naprawdę nie chciał już zdobyć Elii, a tylko ją zniszczyć. Czy jednak oszukiwał mnie, czy sam siebie? Jednak nie zamierzałem mu tego tłumaczyć. To była tylko i wyłącznie jego sprawa. Zresztą może Elia zmięknie, kiedy zobaczy, iż Rakshilel jest na tyle zdeterminowany, by wysłać za nią gończego pieska w postaci waszego uniżonego sługi.

— I posłuchajcie mnie uważnie, panie Madderdin. Mam powody przypuszczać, że Elia nie jest taką bogobojną i cnotliwą panienką, jaką chciałaby się wydawać...

Teraz mnie zainteresował. Rzecz jasna w jego słowach należało oddzielić ziarna od plew, ale w końcu kto potrafi to lepiej uczynić niż biedny Mordimer?

— Co masz na myśli? — spytałem i zastanawiałem się, czy nie skosztować daktyla, ale Rakshilel tak gmerał ręką w misie, że musiał już wszystkie dokładnie obmacać.

— Co sobotę, wieczorem, potajemnie wychodzi z domu i wraca dopiero w niedzielę po południu...

— Ma gacha — roześmiałem się.

— Nie przerywaj mi, Mordimer — warknął. — Gdzie ma gacha? W lochach pod Sarevaald?

Najwyraźniej wzmianka o gachu zdenerwowała rzeźnickiego mistrza. Nie ukrywam, że rozbawiło mnie to, ale swego rozbawienia wolałem nie okazywać. Nie potrzeba mi więcej wrogów niż mam. Nie powiem, bym się nadmiernie bał nieprzychylnych mi ludzi, ale po cóż zrażać sobie następnych? Zresztą wszak cichy jestem i pokornego serca, dokładnie jak nakazuje Pismo.

— A skąd ma tyle pieniędzy na nowy powóz, nowe suknie, stado służących, ciągłe przyjęcia? Na niektóre zaprasza sto czy nawet dwieście osób — ciągnął. — Jak nic, to sprawka nieczystej siły. — Przeżegnał się zamaszyście.

Założę się, iż najbardziej w tym wszystkim nie podobał mu się fakt, że nie był na te przyjęcia zapraszany.

— W lochach pod Sarevaald — powtórzyłem. — No, no, rzeczywiście interesujące. Ale Elia jest przecież bogata.

— Nie aż tak bogata — powiedział Rakshilel. — Sprawdziłem dokładnie, wierz mi.

Tak, jeśli chodzi o finanse trudno było nie wierzyć bystrości Rakshilela. W końcu, gdyby był tępy, nie stałby się jednym z najbogatszych kupców w mieście i mistrzem rzeźnickiej gildii.

— Posłałeś kogoś za nią? — zapytałem.

— A owszem — odparł ponuro — posyłałem. Trzy razy. I moi ludzie nigdy nie wrócili. Wyobrażasz sobie?

To już było naprawdę zajmujące. A poza tym fakt, że sprawa była niebezpieczna, z całą pewnością wpłynie na wysokość mojego honorarium.

— Czemu nie zrobisz tego oficjalnie? Zwołaj Ławę i zażądaj śledztwa, albo złóż formalne doniesienie do Inkwizytorium...

— Panie Madderdin — spojrzał na mnie ostro i widziałem, że traci cierpliwość. — Ja nie chcę jej zabijać ani palić na stosie, tylko poślubić. A jeśli twoi konfratrzy dowiedzieliby się o herezji, to nawet ja nie ocalę jej od płomieni! Więc decyduj: bierzesz tę robotę czy nie, Mordimer?

Plątał się ten Rakshilel jak osioł w ostach. Czy on sobie wyobrażał, że będę mógł przymknąć oczy na sprawę herezji? Mój Anioł Stróż zapewniłby mi wtedy przyjemności, przy których seans z mistrzem Severusem wydawałby się ekscytującą schadzką. Chyba, że zobaczyłby płynące z takiego postępowania korzyści, bo niezbadane są ścieżki, którymi podążają myśli Aniołów!

— Za ile? — spytałem wiedząc, że nie będzie łatwo wydębić coś od tego skąpca.

— Załatwię ci biskupią koncesję na cały okręg Hez-hezronu. To chyba aż nadto? — uniósł brwi, jakby zdumiony moją niewdzięcznością.

— Koncesję zawsze można dać, a potem zawsze można odebrać. Wszystko zależy od humoru biskupa — powiedziałem, wiedząc doskonale, że kiedy Jego Ekscelencja cierpi na ataki podagry, to jego postępowanie bywa nieprzewidywalne. — A poza tym, do cholery, będę miał koszty własne. Czy myślisz, że Kostuch i bliźniacy pójdą ze mną na piękne oczy?

Rakshilel poruszył ustami, jakby coś sobie w myślach obliczał.

— Dwadzieścia koron — rzekł w końcu z wysiłkiem.

— Tam już zginęli ludzie — przypomniałem mu. — Trzysta i ani centyma mniej.

Rzeźnik poczerwieniał.

— Nie kpij ze mnie, klecho — powiedział cicho — bo tobie też mogę zapewnić wizytę u Severusa.

Nie miałem pojęcia, dlaczego niektórzy ludzie nazywali nas, inkwizytorów, klechami. Służyliśmy Kościołowi i studiowaliśmy teologiczne nauki (na tyle, na ile mogło się to przydać w naszej pracy), ale, na miecz Pana naszego, nie byliśmy księżmi!

Spojrzałem mu prosto w oczy. Jak przychodzi do rozliczeń, wierzcie mi, nie znam strachu. Dukaty, korony, talary, piastry, sestercje, a nawet sama myśl o nich, mają w sobie magiczną siłę. A poza tym, groźby należą do ceremonii targowania się i nie miałem zamiaru brać ich zbyt poważnie. Chociaż niewątpliwie trzeba przyznać, że Rakshilel nie należał do dobrze wychowanych ludzi. Niemniej z seansem u mistrza Severusa bardzo przesadził. Kto widział kiedy, by oficjalnie przesłuchiwano inkwizytora? Takie sprawy załatwiało się inaczej. I musiały być ku temu ważniejsze powody niż gniew nawet najbardziej ustosunkowanego rzeźnika.

— A chciałbyś kiedyś spotkać Kostucha? — spytałem bez uśmiechu, ale i bez złości.

— Grozisz mi? — Rakshilel podniósł się i wisiał nade mną jak wielka bryła tłuszczu.

Poczułem nagle szaloną nienawiść i chęć zmiażdżenia tej ogromnej twarzy przypominającej kupę puddingu z krwawej kiszki. Ale powstrzymałem się. W końcu robiliśmy interesy i nie było tu miejsca zarówno na osobiste sympatie, jak i osobistą niechęć.

— Trzysta — powtórzyłem, a on opadł wolno na krzesło, jakby zeszło z niego powietrze.

— Dwadzieścia pięć — powiedział — i to moje ostatnie słowo.

— Trafiłeś na zły czas — roześmiałem się. — Akurat mam wystarczająco dużo pieniędzy, by spokojnie zaczekać na jakieś naprawdę zyskowne zlecenie. Poza tym pomyśl: będę miał potem na głowie jej braci.

Wręcz widziałem, jak chciał powiedzieć: „to twoja sprawa”, ale jakoś się pohamował.

— Pięćdziesiąt — zdecydował, a ja zastanawiałem się, jak długo można jeszcze pociągnąć tę grę.

— Plus dwieście — dodałem i jednak sięgnąłem po daktyla.

— Trzydzieści teraz i pięćdziesiąt po robocie.

— Sto teraz i sto dwadzieścia pięć po robocie. I w razie czego nie zwracam zaliczki.

— Po pięćdziesiąt — Rakshilel zacisnął dłonie w pięści.

— Siedemdziesiąt pięć i siedemdziesiąt pięć, i trzydziestoprocentowy rabat w twoich sklepach do końca roku.

— Dziesięcioprocentowy — powiedział.

Wreszcie uzgodniliśmy siedemnaście i pół procenta i uroczyście przybiliśmy dłonie. Byłem trochę zaskoczony, bo spodziewałem się, że utarguję jakieś sto koron, a pomysł z rabatem przyszedł mi do głowy w ostatniej chwili. Rakshilel musiał wiedzieć więcej niż powiedział albo planował jakieś świństwo. Albo naprawdę bardzo mu zależało na ślubie z Elią. Miałem tylko nadzieję, że nie był na tyle głupi, by sądzić, że po całej sprawie się mnie pozbędzie. To prawda, że nie miałem koncesji w Hez-hezronie, ale, na Boga, byłem jednak inkwizytorem! Chyba nawet Rakshilel nie był ani tak skąpy, ani tak głupi aby zadzierać z Inkwizytorium, które z całą pewnością upomniałoby się o swego konfratra. Nawet takiego, którego jeszcze w Hez-hezronie nie za bardzo znano i który nie miał koncesji. Zresztą, ja nie potrzebuję ochrony Kościoła. Tak, mili moi. Biedny Mordimer jest człowiekiem ostrożnym, rozważnym i łagodnym, ale gdy przyjdzie co do czego, budzi się w nim lew.

Rakshilel wyliczył siedemdziesiąt pięć koron, a ja kazałem mu jeszcze wymienić dwie złote pięciodukatówki oberżnięte po brzegach i schowałem mieszek pod kaftan.

— Za kilka dni dostaniesz koncesję — obiecał.

— Czekam — odparłem i naprawdę byłem ciekaw, czy uda mu się wszystko załatwić w takim tempie.

Zresztą, tak czy inaczej, zaliczki nie zamierzałem zwracać. Bo kto wie, czy nastąpi kolejna wypłata? Jeśli Elia trafi przed Ławę, Rakshilel chyba nie będzie zbyt chętny, by powtórnie sięgnąć do sakiewki.

— Załatw to szybko i czysto, Mordimer. Aha — spojrzał na mnie zimno — i nie próbuj mnie oszukać. Jeśli wpadniesz na pomysł, by dogadać się z tą dziwką za moimi plecami, dowiem się o tym.

— Znasz mnie — powiedziałem z wyrzutem.

— O tak, znam cię — odparł i odwrócił się tyłem.

— Nie skończyliśmy jeszcze — powiedziałem twardo.

— Taaak? — przeciągnął i spojrzał niechętnie w moją stronę.

— Właśnie tak — odparłem. — Kiedy będę wychodzić, masz zjawić się przed drzwiami. I tam odegrasz pewną scenkę.

— Scenkę? — Małe oczka patrzyły na mnie podejrzliwie ze środka brył tłuszczu, które u normalnego człowieka były policzkami.

— Powiesz: „dobra, Mordimer, dam ci dziesięć koron więcej”. Tak, żeby słyszeli to słudzy. A ja wtedy odpowiem: „o nie, nawet gdybyś dawał tysiąc, nie zrobię tego!”.

— Myślisz, że mam szpiegów w moim własnym domu? — oburzył się.

— A myślisz, że może ich nie mieć człowiek o twojej pozycji? — zapytałem grzecznie.

— Tak, to prawda — uśmiechnął się po chwili, a ja wiedziałem, że mile połechtałem jego dumę. — Z całą pewnością masz rację!

###### \* \* \*

Kostuch i bliźniacy siedzieli w Kulawym Kucyku i grali. Po ich minach poznałem, że grali raczej nieszczęśliwie. No, ale potem zobaczyłem człowieka, którego próbowali orżnąć, i roześmiałem się.

— Oddaj im pieniądze, Merry — powiedziałem siadając. — A przynajmniej połowę tego, co przegrali. Nigdy nie czytałeś, że Pismo mówi: *„kto dotąd kradł, niech już przestanie kraść, lecz raczej niech pracuje uczciwie”!*

Szuler rozdziawił szeroko usta w uśmiechu, pokazując czarne dziąsła i przegniłe trzonki zębów.

— Jestem tylko godnym pożałowania grzesznikiem — rzekł z teatralną skruchą — i nie znam tak dobrze słów Pisma, jak słudzy naszego Pana.

— To jest Merry? — spytał Kostuch i dziabnął go sękatym paluchem w pierś.

Bliźniacy wymruczeli coś pod nosem i równocześnie, choć niezauważenie sięgnęli po sztylety.

— Nie, nie — powstrzymałem Pierwszego. — Nie chcemy tu bijatyk, prawda Merry?

Szuler uśmiechnął się i popchnął w ich stronę kupkę srebra.

— Potraktujcie to jako darmową lekcję — powiedział. — Napijesz się ze mną, Mordimer?

— Czemu nie? — odparłem, a Kostuch i bliźniacy wstali, zostawiając nas samych.

Karczmarz przyniósł wino i nim wypiłem łyk, wpierw przepłukałem usta.

— Zawsze ostrożny? — uśmiechnął się szuler.

Spojrzałem na niego i przez chwilę nie rozumiałem, co miał na myśli.

— Ach, nie — powiedziałem w końcu. — Po prostu przyzwyczajenie.

Merry pochylił się ku mnie.

— Byłeś u Rakshilela? — spytał szeptem.

— Jak zawsze, kiedy jestem w mieście — powiedziałem, nie obniżając głosu.

— Podobno proponował temu i owemu ciekawą robótkę — zaśmiał się Merry. — Ale nie ma głupich, chłopie. Wiesz, kogo już dawno nie widzieliśmy w Hezie? Wyrwalda Płowego i jego ludzi.

— A skądżeż on się tu wziął? — zmarszczyłem brwi, bo Wyrwalda widziano ostatnio w lochach barona Berga. A z tego, co wiedziałem, z owych lochów nie wychodziło się prędko. A jeśli już, to zwykle nie o własnych siłach.

Merry wzruszył ramionami.

— A co, ja wróżka jestem? W każdym razie był, a teraz go już nie ma.

— Wziął zaliczkę i się zmył — powiedziałem, bo wszyscy wiedzieli, że Płowy i jego ludzie to nie była najsolidniejsza firma.

— Chyba głupi jesteś, skoro sądzisz, że Rakshilel dał mu zaliczkę — parsknął. — Ta sprawa śmierdzi, chłopie, i radzę ci: trzymaj się z daleka od kłopotów.

— To znaczy?

— Wyjedź, Mordimer. Po prostu wyjedź.

— A więc tak — mruknąłem. — A jaka będzie cena mojej uprzejmości?

— Spytaj lepiej, jak wysokie będą koszty twojej nieuprzejmości. — Sukinsyn nawet nie starał się ukryć pogróżki w głosie.

— Lohemerr, tyle lat mnie znasz i powinieneś wiedzieć, że można mnie kupić, ale nie można zastraszyć — rzekłem z wyrzutem.

Szuler dopił wino do końca i wstał.

— Wydawało mi się, że zawsze wiedziałeś, skąd wieje wiatr, Mordimer, i zawsze spadałeś na cztery łapy. Nie pomyl się teraz.

Skinąłem mu głową.

— Dzięki za wino — powiedziałem — i nawzajem. Chciałbym tylko, żebyś wiedział jedno. Wyjeżdżam niedługo z miasta, a sprawą Rakshilela zajmę się, kiedy wrócę. Albo się nie zajmę. To będzie zależeć od wielu rzeczy, między innymi stanu moich finansów.

Oczywiście kłamałem, ale to był chyba dobry sposób, by uspokoić Lohemerra. Jeśli miał cokolwiek wspólnego z Elią Karrane, a wydawało się, że miał, to niewątpliwie powtórzy, iż Mordimer Madderdin opuszcza Hez-hezron. I nawet jeśli nie uwierzą, ziarno wątpliwości zostanie posiane.

Merry odszedł, kiwnął mi jeszcze od progu ręką, a ja chwilę posiedziałem sam przy stole i dopiłem wino. Kiedy w końcu wyszedłem, zobaczyłem, że Kostuch i bliźniacy siedzą w towarzystwie paru oberwańców przed karczmą i grają w monety. Skinąłem na nich. Niechętnie oderwali się od zabawy. Odeszliśmy na bok.

— Nic z tego nie wyszło — powiedziałem.

Kostuch skrzywił twarz i skrzywiony wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle. Bliźniacy sposępnieli.

— Sami czegoś niby poszukamy — warknął Drugi.

— Jak sobie chcecie, ale — uniosłem palec — mam na oku coś zupełnie innego. Bądźcie tu codziennie od południa do drugiej. I żadnych awantur, bo nie będę was drugi raz wyciągał z lochów burgrabiego!

Kostuch znowu skrzywił się na przypomnienie tych chwil. Długą, krwistoczerwoną szramę, biegnącą od podbródka po prawe ucho, zawdzięczał rozgniewanemu czeladnikowi katowskiemu, który zdzielił go rozpalonym prętem. Musiałem naprawdę użyć wszystkich sposobów, by wydobyć chłopaków z lochów. Czekała ich kara za zabójstwo, gwałt i kradzież. W najlepszym przypadku powieszenie. W najgorszym, poprzedzone darciem pasów, obcięciem kończyn lub łamaniem kołem. A jednak udało mi się wyjednać skazanie ich tylko na publiczną chłostę i miesięczną pokutę. Codziennie musieli przez osiem godzin leżeć na posadzce katedry, w pokutnych worach i z ostrzyżonymi głowami. Również codziennie dostawali po pięć batów na rynku, dokąd sami musieli dopełznąć na kolanach. No, ale wreszcie cała ta szopka skończyła się, a chłopcy zdobyli niezapomniane doświadczenie życiowe. Miałem nadzieję, że potrafią wyciągnąć z niego wnioski.

###### \* \* \*

Koncesja przyszła po ośmiu dniach i wierzcie mi, że sprawdziłem ją bardzo dokładnie. I pieczęć, i podpisy były autentyczne. Czerwona pieczęć z lwem i smokiem oraz zamaszysty podpis samego biskupa Hez-hezronu. Nie przypuszczałem, co prawda, aby Rakshilel posunął się do sfałszowania kościelnego dokumentu, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Te osiem dni poświęciłem nie tylko na rozrywki. Zresztą co to za rozrywki w Hez-hezronie? Tanie dziwki były brudne i chore, a drogie, jak sama nazwa wskazuje: drogie. Za drogie dla biednego Mordimera, który z trudem tylko wiązał koniec z końcem. Ale słuchałem tu i ówdzie tego, czego słuchać należało i... Rakshilel miał rację: Elia robiła coś dziwnego. Merry też się nie mylił: cała sprawa śmierdziała. Ale ja miałem koncesję i dzięki temu przyszłość malowała się w jaśniejszych barwach. Pod warunkiem, że wrócę z Sarevaald. A skoro nie wrócił stamtąd ten łajdak Płowy, znaczyło, iż zadanie nie jest łatwe.

Sarevaald to ruiny zamku, dwie godziny drogi od Hez-hezronu. Zamek spłonął mniej więcej sto trzydzieści lat temu i ze trzy razy próbowano go odbudować, ale nic z tego nie wyszło. Jakiś biskup chciał nawet postawić na wzgórzu kościół, ale potem wybuchła wojna z Hadżarami i biskupa spalili, a po wojnie wszyscy mieli ważniejsze problemy. I tak ruiny twierdzy straszyły ze szczytu, wiecznie osnute mgłą i osnute również legendą. Ciągle mówiono o dzieciach, które nie wróciły spod wzgórza, chłopi przysięgali, że nocą widać światła i słychać potępieńcze wycia oraz diabelskie chichoty. Że dzieci ginęły, to nie dziwota, bo wkoło tylko bagniska i glinianki, a chłopi wiadomo: trzeźwego rzadko można spotkać. Ale okolica uznała, iż w ruinach zalęgło się Złe i nawet słali do biskupa prośby, żeby przysłał im egzorcystę albo inkwizytorów. Jakby biskup nie miał ważniejszych spraw na głowie.

Do Sarevaald wyruszyliśmy w piątkowy wieczór, tak, aby całą sobotę czekać już na miejscu. Nie kryłem naszego wyjazdu. Wręcz przeciwnie. Wyjechaliśmy przez północną bramę, a Kostuch i bliźniacy pewni byli, że zmierzamy na robotę do miasteczka Vilven, oddalonego o pół dnia drogi. Że celem jest Sarevaald powiedziałem im dopiero, kiedy mury Hezu zniknęły nam z oczu. Dlaczego wyjeżdżaliśmy przez północną bramę? Bo ruiny Sarevaald leżały właśnie na północ od miasta. Jeśli ktokolwiek nas śledził, zapewne pomyślał sobie: „patrzcie, cwany Mordimer i jego ludzie wyjeżdżają przez północną bramę. Gdyby chcieli dotrzeć do Sarevaald, wyjechaliby przez południową i cichcem okrążyli miasto”. Ale nie wydawało się, by ktokolwiek zdążał naszym śladem, a wierzcie mi, że waszego uniżonego sługę szkolono w rozpoznawaniu takich rzeczy.

Nie spieszyłem się i do Sarevaald dotarliśmy w nocy. Niebo było zachmurzone i księżyc tylko od czasu do czasu pokazywał się spod szarego welonu chmur. Ale nawet w tym świetle widać było, że zewnętrzne mury fortecy trzymają się wcale nieźle. Było więc bardziej niż pewne, że jeśli ktoś tu się zjawi, będzie musiał przejść przez bramę, a raczej przez ten wyłom, który po bramie pozostał.

Znaleźliśmy sobie bezpieczne miejsce i poszliśmy spać, wystawiając trzygodzinne warty. W sobotę rano poszperaliśmy trochę w ruinach i Kostuch znalazł zardzewiałą siekierę. Takie to i tajemnicze miejsce. Ale daleki byłem od lekceważenia zadania. W końcu Rakshilel posłał tu już trzy grupy ludzi i nikt nie wrócił. A to o czymś świadczyło. Do nocy pokrzepialiśmy się niezłym winkiem, którego Kostuch przydygał cały bukłak. Nie widzę powodów, dla których chłopcy nie mieliby pić przed akcją. Są wystarczająco doświadczeni, by wiedzieć, że jeżeli się upiją i zawalą coś, mogą zginąć. Jeśli nie zabije ich wróg, zrobię to ja sam. Własnoręcznie, i tak, aby dać dobry przykład innym spragnionym nierozważnych rozrywek. Ale zarówno bliźniacy, jak i Kostuch mają naprawdę mocne głowy. Sam widziałem, jak Kostuch opróżnił kiedyś jednym tchem pięciolitrową beczułkę mocnego, słodkiego wina i nawet powieka mu nie drgnęła. Potem tylko porzygał się z nadmiaru słodyczy i zaciukał człowieka, który ośmielił się wtedy roześmiać. A następnie dwóch przyjaciół tegoż człowieka, którzy poczuli się urażeni takim potraktowaniem kompana.

Nagle Drugi, który teoretycznie stał na warcie (a w praktyce co chwila przybiegał do nas, aby łyknąć wina), huknął jak puchacz. Zerwaliśmy się i przy warowali wśród załomów. Do ruin, po trakcie, powoli pełzły światełka.

— Idą — szepnął Pierwszy.

— Ano idą — Kostuch wyciągnął z pochwy szablę.

Śmieszną miał szablę Kostuch. W najszerszym miejscu szeroką na dłoń, ale ostrą niczym brzytwa. Rozcinała żelazną sztabę, jakby to było spróchniałe drewno. Kiedyś Kostuchowi dawano za nią wioskę, ale nie sprzedał i wolał przymierać głodem. Miał charakterek ten mój Kostuch i, między innymi, za to go lubiłem.

Światełka zbliżyły się i usłyszeliśmy szmer głosów, a potem zobaczyliśmy ludzi z pochodniami. Było ich siedmioro, sześciu mężczyzn i jedna kobieta, jeżeli w tych ciemnościach mogłem dobrze poznać. Mężczyźni, ten z przodu i ten na końcu nieśli pochodnie. Dwóch innych dźwigało sporej wielkości tobół. Konie musieli zostawić na dole i przez chwilę żałowałem, iż nie posłałem kogoś do podnóża góry, żeby załatwił straż i zabrał wierzchowce. Zawsze byłby dodatkowy zarobek. Zwłaszcza, że nie wierzyłem, aby Elia Karrane dosiadała byle jakiej szkapy.

Przybysze zachowywali się tak, jakby Sarevaald było najbezpieczniejszym miejscem na świecie. Żartowali i śmiali się, ktoś klął zajadle, bo rozbił sobie nogę o wystający kamień, ktoś przechylał flaszę i pił z głośnym gulgotem. Czekaliśmy z napięciem, gdzie się skierują. Przecież musiało tu być jakieś przemyślnie ukryte wejście, którego nie zauważyliśmy. No i było. Jeden z mężczyzn, wręcz olbrzym, zaparł się i przesunął na bok głaz. Pod spodem była żelazna płyta z lekko zardzewiałym uchwytem. Widziałem wszystko dobrze, gdyż staliśmy dosłownie kilkanaście kroków od nich, na resztkach po krużganku, mniej więcej trzy metry nad dziedzińcem. Teraz też upewniłem się, że kobietą była Elia Karrane. Trzeba przyznać: śliczna bestyjka! Miała długie, jasne włosy, wysoko upięte na czubku głowy i drapieżną twarz o małym nosku i wielkich, szmaragdowych oczach. Lampa niesiona przez jednego z mężczyzn dokładnie ją oświetlała i nie dziwiłem się już, że nawet Rakshilel mógł się zakochać w tej kobiecie. Być może sam bym się w niej zakochał, gdyby nie fakt, że chciałem ją doprowadzić do zguby. Żadnego z towarzyszy Elii nie widziałem nigdy przedtem, choć, szczerze mówiąc, co do jednego miałem pewne wątpliwości, gdyż stał cały czas poza blaskiem pochodni.

Olbrzym uniósł metalową płytę i wszyscy zeszli po schodach w ciemność. On sam zamknął za nimi przejście i znów, stękając, przesunął głaz na właściwe miejsce. Potem usiadł wygodnie, oparł się o ścianę, nabił fajkę i leniwie pykał z niej, patrząc w niebo. Kostuch spojrzał na mnie pytająco.

— Żywcem — tchnąłem mu prosto w ucho.

Skinął tylko głową i cichutko się wycofaliśmy. Wróciliśmy na dziedziniec i przywarowali niedaleko. Kiedy dałem znak, skoczyliśmy wszyscy czterej, ale ten olbrzym był wyjątkowo szybki. Zerwał się, wyciągając zza cholewy sztylet tak długi, że każdemu z bliźniaków mógłby służyć za miecz. Kostuch mało nie oberwał. Ledwo zdążył uchylić się i przetoczyć po ziemi. Olbrzym znalazł się tuż koło mnie i wtedy sypnąłem mu w oczy shersken. Zawył i podniósł ręce do twarzy. Pierwszy trzasnął go pałką w podbrzusze, a Drugi pchnął w grdykę. I było po wszystkim. Potem związali mu dłonie na plecach i nogi w kostkach, przeciągnęli linę pomiędzy więzami i olbrzym leżał na brzuchu jak wielka, toporna kołyska. Był bezradny niczym ślimak. Skrzesaliśmy ognia i w świetle latarni przyjrzałem mu się. Miał szeroką, pozbawioną wyrazu, bezwłosą twarz bez lewego nozdrza i ogromną, siną bliznę biegnącą dokładnie pośrodku nosa.

— Ślicznotek — powiedziałem.

Byłem zadowolony, bo chłopcy uwinęli się sprawnie i szybko. Ciekawe, co prawda, jakby im się powiodło, gdyby wasz uniżony sługa nie rzucił shersken, ale cóż... nie należało ryzykować. W każdym razie shersken zrobił swoje, bo olbrzym miał zamknięte oczy i napuchnięte powieki, spod których ciurkiem leciały łzy. Ha, na shersken nie ma silnego! Możesz sobie, człowieku, mieć dwa metry wzrostu i dwieście kilo żywej wagi, a jak dziecko rzuci ci shersken w ślepia, to będziesz tylko myślał, aby doczołgać się do najbliższej kałuży. A jeśli jesteś na tyle głupi i zaczniesz trzeć oczy, to w większości wypadków twoje własne palce trące powieki będą ostatnią rzeczą na świecie, jaką dojrzysz.

Nasz więzień nie mógł trzeć oczu, bo dłonie miał związane na plecach, ale wiedziałem, że tylko siłą woli powstrzymuje się, by nie zacząć wrzeszczeć ze strachu i bólu. Wyjąłem manierkę i wylałem wodę do wnętrza stulonej dłoni. Przytrzymałem olbrzymowi głowę i opłukałem mu twarz. Musiał poczuć, że to pomaga, bo przestał się rzucać. Dzięki temu spokojnie zużyłem drugą garść wody i dokładnie spłukałem mu oczy. W końcu nie chciałem, aby myślał o strasznym, piekącym bólu, tylko, aby grzecznie odpowiadał na pytania. Ale Kostuch uznał, iż jestem zbyt miłosierny, więc z całej siły kopnął leżącego podkutym butem w żebra. Chrupnęło.

— Oj, Kostuch — powiedziałem, ale nawet się nie zezłościłem.

Wiedziałem, że Kostuch jest wściekły, gdyż olbrzym o mało go nie zaskoczył. Nikt chyba nie mógł się spodziewać, że przy tym wzroście i przy tej wadze będzie taki szybki. No, ale w końcu przyjaciele Elii nie byli chyba na tyle głupi, by pozwolić, aby ich silnorękim został pierwszy lepszy zabijaka z ulicy.

— Skąd jesteś, chłopcze? — zapytałem.

Olbrzym zaklął coś w odpowiedzi. Bardzo niegrzeczna reakcja, zważywszy fakt, że przed momentem wymyłem mu shersken z oczu. Drugi wsadził więźniowi w usta kawał szmaty, a Kostuch usiadł mu na plecach i złamał mały palec u lewej dłoni. Potem złamał mu palce serdeczny, środkowy i wskazujący. Za każdym razem słychać było chrupnięcie, stęknięcie dobiegające spod szmaty, a oczy olbrzyma robiły się jak spodki. Drugi nachylił się, przyłożył palec do warg, nakazując więźniowi ciszę i wyjął spomiędzy jego zębów szmatę. Olbrzym sapał boleśnie, a gęsta ślina spływała z kącików jego ust.

— Na moje pytania odpowiada się natychmiast — powiedziałem łagodnie. — Bowiem jak mówi Pismo: *„nie ma nic zakrytego, co by nie miało być wyjawione, ani nic tajemnego, o czym nie miano by się dowiedzieć”.* Tak więc powtórzę: skąd jesteś, chłopcze?

— Z Tirianu — stęknął.

Tirianonnag, potocznie nazywany Tirianem (zabijcie mnie, ale nie wiem skąd ta barbarzyńska nazwa pochodziła), był niewielkim, choć dość zamożnym miasteczkiem przy samej granicy marchii. Z tego, co wiedziałem, można tam było zarobić niezłe pieniądze na ochronie kupieckich statków, które żeglowały w dość niebezpieczne rejony w górę rzeki. Ale ten biedny głupek myślał, że zrobi karierę w Hez-hezronie. I kariera ta miała się zakończyć właśnie tutaj, w ruinach fortecy Sarevaald. Kiepskie miejsce na śmierć, ale z drugiej strony, jakie miejsce jest dobre, by umierać? O tym, że musi umrzeć, wiedzieliśmy wszyscy. Pytanie tylko brzmiało, czy będzie to śmierć łagodna i w miarę bezbolesna, czy też nasz zabijaka trafi pod piekielne bramy, wyjąc z bólu i poszatkowany na kawałeczki.

— Gdzie oni poszli? — spytałem.

Więzień nie odezwał się ani słowem, więc uprzejmie odczekałem chwilę. Potem Pierwszy kopnął go prosto w usta, tak żeby zadławił się krwią i własnym zębami. Przy okazji złamał mu nos.

— Gdzie oni poszli? Co tam jest? — powtórzyłem grzecznie.

— Nie wiem — wyjęczał, plując czerwienią — nie wiem, błagam. Ja tylko pilnuję. Oni w południe wrócą. Mają pieniądze... mnóstwo pieniędzy... Błagam, nie zabijajcie mnie, będę wam służył jak pies, błagam...

Kiedy patrzyłem na niego, widziałem, że nie jest już wielkim, silnym zabijaką, ale skrzywdzonym chłopcem pragnącym, by wreszcie przestano go bić. Lubiłem, kiedy w ludziach zachodziła taka przemiana, i choć miałem okazję ją widzieć nader często, to nieodmiennie odczuwałem satysfakcję, iż właśnie ja stałem się przyczyną stosownego przepoczwarzenia.

Kostuch spojrzał na mnie, a ja zastanawiałem się moment. W zasadzie zwykle wiem, kiedy człowiek kłamie. Ten zdawał się mówić prawdę. Kostuch miał, co prawda, wyraźną ochotę na chwilę zabawy, ale po pierwsze nie mieliśmy czasu, a po drugie nie lubię zbędnego okrucieństwa. A Kostuch pracował niegdyś na prowincji jako czeladnik jednego z tamtejszych mistrzów. Nauczył się paru sztuczek i polubił je robić. Zawsze twierdziłem, iż kaci i ich uczniowie zbędnym okrucieństwem maskują braki w Sztuce. Przecież nie chodzi o to, by ofierze zadawać cierpienie, często nawet nie o to, by wydobyć odpowiednie zeznania, lecz o to, by wywołać skruchę. By zbolały i skruszony przestępca padł w ramiona swemu inkwizytorowi i szlochając w głos, przyznawał się do winy, całym sercem kochając tego, kto zadał mu radosny ból i naprowadził na ścieżkę wiary. Oczywiście w tym wypadku skrucha i miłość nie były konieczne. Nam chodziło o zeznania. Szybki i rzetelny raport. Jeśli, oczywiście, taki da się pozyskać. Okazało się, że olbrzym niewiele wie, ale nie była to przecież kwestia braku dobrej woli, prawda? Dlaczego więc miał cierpieć?

Spojrzałem na Kostucha i pokręciłem odmownie głową. Potem uklęknąłem olbrzymowi na plecach i poderwałem mu głowę do góry. Trzasnęło. Szybka, bezbolesna śmierć. Kostuch był wyraźnie niezadowolony.

— *„Jeśli nawet zniszczeje nasz przybytek doczesnego zamieszkania, będziemy mieli mieszkanie od Boga, dom nie ręką uczyniony, lecz wiecznie trwały w niebie” —* zacytowałem Pismo, patrząc na zwłoki. Nie przypuszczałem, co prawda, by nasz gigant wylądował u niebieskich bram, ale cóż: zawsze trzeba mieć nadzieję.

Bliźniacy stoczyli ciało olbrzyma w dół zbocza i ugrzęzło ono gdzieś w gęstych krzakach. Nieprędko ktoś je znajdzie. Zadumałem się przez chwilę nad marnością ludzkiego życia... Ech!

Głaz zakrywający wejście do lochów był naprawdę ciężki. Ledwo we czterech daliśmy radę, aby go przesunąć. Kiedy mieliśmy schodzić, Pierwszy nagle się zatrzymał.

— A jak ktoś go, prawda, przesunie z powrotem? — spytał.

— A kto tu może przyjść? — wzruszyłem ramionami. — I kto będzie miał taką parę w łapie? Zresztą jestem pewien, że musi być drugie wyjście. Nie wierzyliby temu człowiekowi na tyle, aby oddać życie w jego ręce.

— Hh, kuhwa — warknął Kostuch, bo potknął się na schodach i o mało co, a zleciałby na sam dół.

Schody były kręte, długie i strome. Skończyły się tak nagle, iż Pierwszy wpadł na ścianę.

— Koniec — powiedział, przyświecając tu i tam latarnią. — A, prawda, jest — mruknął po chwili i sięgnął do przerdzewiałej dźwigni tuż przy podłodze.

— Zostaw — syknąłem.

Odskoczył jak oparzony.

— Pułapka? — zapytał.

— A czort go wie — odparłem, chociaż byłem prawie pewien, że to pułapka. Ja bym przynajmniej tak zrobił.

Zaczęliśmy uważnie przyglądać się ścianom. Cóż, w końcu zginęli tu ludzie i coś musiało ich zabić. Dlaczego nie miała to być na przykład pułapka na samym początku wędrówki? Kostuch dokładnie ostukiwał mur knykciami, potem uśmiechnął się i ostrożnie wyjął jedną z cegieł. Nisza była bardzo głęboka i zwężała się tak, że nie sposób było dojrzeć, co kryje się dalej. Kostuch wziął ode mnie kij i wsadził go do środka. Pchnął, kiedy napotkał opór. Coś zgrzytnęło przeraźliwie i mur po lewej stronie przesunął się, odsłaniając wąski, niski korytarz.

— No cóż, chyba naprzód — powiedziałem, ale cała sprawa przestała mi się podobać.

Oczywiście, jeżeli można powiedzieć, że kiedykolwiek mi się podobała. Sto pięćdziesiąt koron nie było znowu tak wielką sumą za narażanie życia. Poza tym, kiedy zajrzałem w korytarz odsłonięty przez Kostucha, zdałem sobie sprawę, że wesołe towarzystwo Elii z całą pewnością tędy nie szło. Tunel był niziuteńki, o ciągle zniżającym się stropie, a ściany mokre od wilgoci. W dodatku z wnętrza dochodził koszmarny smród, zgnilizny, tak jakby korytarz od wielu lat nie był wietrzony. Nie wyobrażałem sobie Elii Karrane brnącej na czworakach w tych ciemnościach i szorującej po brudnym stropie pięknymi i doskonale ułożonymi włosami. Powiedziałem o tym chłopakom, a oni przez chwilę milczeli, zastanawiając się nad moimi słowami. Myślenie nigdy nie należało do ich najmocniejszych stron, ale teraz wolałem nie podejmować decyzji samodzielnie.

Dałem im trochę czasu, a sam z lampą przy murze, dokładnie badałem kamień po kamieniu. I wreszcie zobaczyłem, co zobaczyć chciałem. Malutkie wgłębienie. Powiedzmy: dziurkę od klucza. Tyle, że dziurkę wymagającą bardzo specyficznego klucza. Może pierścienia, może amuletu, może w dodatku potraktowanego zaklęciami. Ta droga z całą pewnością była dla nas zamknięta. Oczywiście mogłem wykorzystać specjalne zdolności Pierwszego, ale potem nie nadawałby się już do dalszej podróży. A przecież niespodzianek mogło czekać na nas więcej. Czy w takim razie mieliśmy spróbować drogi tym niskim, obrzydliwym tunelem? Podróży w całkowitą ciemność? Co za problem przyszykować właśnie tam pułapki? Inna rzecz, że znając dawnych budowniczych, sądziłem, że tunel jest po prostu zapasową drogą przygotowaną na wypadek, gdyby osoba korzystająca z przejścia zapomniała lub zgubiła klucz. Wtedy tunel mógł być niewygodny, ale na pewno nie był zabezpieczony pułapkami. Trudno przecież pomyśleć, aby właściciel podziemi miał w mozole pokonywać wszelkie przeszkody, jakie przyszykowali wynajęci przez niego budowniczowie.

— Dobra, idziemy — zadecydowałem, bo moi towarzysze nadal tylko tępo wgapiali się w ciemność.

Kostuch musiał iść prawie na czworakach, żeby nie szorować łbem po sklepieniu, ale widziałem, jak bardzo ostrożnie posuwa się naprzód. Cóż, wiedział, że jeśli przyjdzie co do czego, oberwie mu się pierwszemu. W końcu jednak korytarz zakończył się ślepo. Wystarczyło jednak tylko mocno się zaprzeć, aby puściły sekretne drzwiczki. Znaleźliśmy się w obszernej sali. Jeśli mogłem cokolwiek wydedukować, właśnie do niej dotarlibyśmy, korzystając z magicznego klucza. Czyli, krótko mówiąc: miałem rację. Skorzystaliśmy z zapomnianej, zapasowej drogi. Przy jednej ze ścian zobaczyłem przerdzewiałe żelazne obręcze, przysiągłbym też, że gdzieniegdzie, ledwo widoczne, pojawiły się rude zacieki.

— Katownia? — spytałem Kostucha.

Kostuch przez chwilę wsłuchiwał się w mowę ścian. Może nie za mądrze wygląda ten mój Kostuch, ale ma swoje specjalne uzdolnienia. Ma genialną pamięć, a poza tym potrafi odczytać uczucia, emocje, myśli i słowa zaklęte w ścianach. Nie, nic specjalnego. Nie wejdzie do pokoju i nie zrelacjonuje rozmowy, która toczyła się w nim tydzień temu. Ale powie na przykład, czy zrujnowany dom był niegdyś karczmą, czy zamtuzem.

— Tak, chyba tak — odparł tym razem niepewnie. — Czuję tu dużo bólu, Mordimer, ale to było bardzo dawno temu.

Bliźniacy stanęli przed potężnymi stalowymi drzwiami. Lśniącymi, jakby nie ruszył ich upływ lat. Drzwi jak drzwi, tyle że nie było żadnej klamki ani zamka, ani rygla. Metalowa płyta wbudowana w ścianę. Kostuch ostrożnie dotknął metalu dłonią.

— Kto nie boi się śmierci? — spytał głos dobiegający zewsząd i znikąd.

Bliźniacy rozejrzeli się nerwowo i obnażyli sztylety.

— Umarli — odpowiedziałem, bo zagadka była prosta, a znajdowanie odpowiedzi na tego typu pytania było częścią mojej edukacji.

Niemniej sprawa przybierała poważny obrót. Jeśli podziemia były zabezpieczone nekromantycznymi zaklęciami, to była tu robota dla oddziału inkwizytorów, a nie dla biednego Mordimera Madderdina, który dopiero co otrzymał koncesję i miał zamiar po prostu zarobić kilka groszy na bochenek chleba i kubeczek wody.

— A więc wejdź do umarłych — powiedział głos i stalowa płyta bezszelestnie zniknęła w murze.

— Ja chromolę — mruknął Pierwszy. — Zmywamy się, brat?

— Ja ci się zmyję — powiedziałem, nie patrząc nawet na niego.

Drugi potrząsnął głową przecząco, a jego brat wzruszył ramionami.

— Tak tylko, prawda, pytałem — odparł.

Weszliśmy w korytarz, a przejście zamknęło się za nami równie bezszelestnie jak otwarło. Znaleźliśmy się przed następną metalową płytą i Kostuch znów dotknął jej dłonią.

— Kto umiera o świcie? — spytał ten sam głos.

— Sen — odpowiedziałem natychmiast, bo nie wiedziałem, jaka jest tolerancja zaklęcia.

Przeszkoda zniknęła tak samo jak pierwsza.

— Co będzie, jak nie zgadniesz? — zaniepokoił się Pierwszy.

— Na przykład zgniatarka — odparł Kostuch i zaśmiał się głupio.

Pokiwałem głową. Tak, to było bardzo prawdopodobne. Ale były rzeczy gorsze od mechanicznych pułapek i ja zacząłem je właśnie wyczuwać. Wbrew sobie zadrżałem, a cieniutki strumyczek zimnego potu spłynął mi po kręgosłupie aż do krzyża.

— A dlaczego, niby, nie odpowiedziałeś: noc? — zapytał Drugi.

— Strzelałem — wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się, choć wcale nie było mi do śmiechu.

— Kto gryzie, choć nie ma kłów? — spytał głos przy trzeciej płycie.

— Sumienie — powiedziałem bez wahania i właściwie byłem trochę zawiedziony łatwością zagadek.

Ale wiedziałem też, że przeciętny człowiek już dawno by nie żył. Znaleźliśmy się przed schodami. Bliźniacy śmiali się głupawo i poklepywali mnie po ramionach.

— Słuchajcie, idioci — osadziłem ich. — Płowy też tędy przeszedł, a więc prawdziwe kłopoty są dopiero przed nami.

— Dlaczego niby przeszedł?

Mój, Boże. Z kim ja pracuję? — pomyślałem.

— Bo nie było trupów. Ani nawet kości, gamoniu! — odparłem.

Faktem jest, że dobra passa Płowego zaskoczyła mnie. Przeszedł tunelem i odpowiedział na zagadki. Wierzyć mi się nie chciało, że jego wymacerowany gorzałą móżdżek mógł wznieść się na tak wysokie szczyty abstrakcji.

I kiedy tak sobie rozmyślałem nad losem Płowego, zobaczyliśmy na schodach cień. Odskoczyliśmy do tyłu, wszyscy przygotowani do walki, ale cień chwiał się spokojnie, jakby w rytm jakiejś tylko przez niego słyszanej muzyki.

— Po co wchodzicie w Mrok? — zaśpiewał. — Idźcie do światła, o dzieci Dnia. Zostawcie Noc tym, co umarli.

W śpiewie było coś tak przejmującego i żałosnego, że chciało mi się wyć. Pomyślałem o łące nad brzegiem rzeki i dziewczynie zbierającej niezapominajki, o soczystym smaku źdźbeł trawy rozgniatanych w zębach. O słońcu i szumie wody, i o błękitnym niebie. I o domku z czerwonymi dachówkami, stojącym w ogrodzie pełnym upojnie pachnących, obsypanych białym kwieciem lip. I wtedy jedna ze ścian otworzyła się. A tam, za nią, była i rzeka, i niezapominajki, i dziewczyna, i niebo, i słońce. Tam było miejsce, o którym marzyłem przez całe życie, więc bez wahania ruszyłem w jego stronę.

Drugi zbił mnie z nóg i strzelił kułakiem w żołądek. Upadłem i obrzygałem sobie kaftan. Kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem, że moim stopom zabrakło może jednego kroku do wyrwy w ziemi. A na dole tkwiły solidne, zaostrzone pale. Na palach dostrzegliśmy ciało mężczyzny w kolczudze. Hełm spadł mu z głowy i odsłonił burzę szarożółtych włosów.

— Oto i Płowy — powiedział Pierwszy.

— Co tam zobaczyłeś, Mordimer? — zapytał Drugi, bardzo zadowolony z siebie, bo nieczęsto zdarzało mu się wyciągać mnie z opresji.

— Posikałbyś się ze śmiechu — mruknąłem. — Bardziej jestem ciekaw, co zobaczył nasz przyjaciel Płowy.

Cień chwiał się jeszcze przez chwilę, jakby w oczekiwaniu na to, że ktoś jednak skusi się tworzonymi przez niego zwidami, ale potem zniknął ze schodów.

— Do cholery, w co myśmy wdepnęli? — szepnął Drugi.

Starannie ścierałem z kaftana wymiociny. Trzeba przyznać, że cholerny bliźniak przygrzał mi bez pardonu.

— W gówno — odparłem i po raz kolejny w tych lochach poczułem strach. — W nieliche gówno, mały.

— Wyprowadzisz nas stąd Mordimer, prawda? — Pierwszy miał oczy jak spodki. — Ja jeszcze nie chcę umierać! Proszę cię, Mordimer!

Kostuch chwycił go za ramiona i stuknął jego łbem o ścianę. Nie za mocno, ale na tyle, żeby bliźniak oprzytomniał. Coś tu musiało być, coś, co wzbudziło w Pierwszym tak paniczny strach. To samo, co pokazało mi łąkę i dziewczynę. Bo Pierwszy nie jest strachliwy. Zawsze był ostrożny, ale nie panikował. A tu zachowywał się jak dziewica przed pierwszym rżniątkiem.

— A co, chciałbyś żyć wiecznie? — zaśmiałem się, patrząc mu w oczy. — Nie w naszym zawodzie, bliźniak! Idziemy — rozkazałem i wszedłem na schody.

Stopnie były lepkie, tak lepkie, że idąc, z trudem odklejałem podeszwy. Obrzydlistwo.

— No co je, no? — usłyszałem z tyłu głos Drugiego.

— Spokojnie, chłopcy — powiedziałem, stając na szczycie schodów i spojrzałem wokół. — Do wyboru, do koloru — dodałem, gdyż dalej prowadziły cztery korytarze.

Usiadłem na kamieniach.

— Chwila odpoczynku — zarządziłem i łyknąłem z bukłaka, a potem podałem go chłopakom.

Kostuch zaklął, bo pił ostatni i nie za wiele dla niego zostało. Rzucił pusty bukłak za siebie, a naczynie odbiło się z hukiem od schodów. Ależ echo niosło w tych ścianach! Wyobraziłem sobie teraz, że Elia Karrane i jej towarzysze obserwują nas z zainteresowaniem i obstawiają zakłady, jak daleko dojdziemy. Czy to możliwe, że byliśmy tylko pionkami poruszającymi się po pełnej pułapek szachownicy? Raczej nie, po prostu mam zbyt wybujałą wyobraźnię. Ale może to i dobrze, bo ludzie pozbawieni wyobraźni bawią teraz w tym samym miejscu, co Wyrwald Płowy i jego druhowie.

— Pójdziemy na północ — stwierdził Kostuch, a ja nie zamierzałem się z nim sprzeczać.

Kostuch wie, co mówi, ale jak dla mnie, północny korytarz wyglądał paskudnie. Ściany miał wyłożone krwistoczerwoną cegłą. A w dodatku coś się w nim ruszało. Tak drgało, jak rozgrzane powietrze nad ogniskiem. Ale poszliśmy. Mur zdawał się falować, ściskać i rozszerzać, jakby leniwie się zastanawiał, czy nas zgnieść, czy też jeszcze poczekać. Korytarz wił się to tu, to tam, zakręcał pod jakimiś niespodziewanymi kątami, oplatał sam siebie.

— Na pewno myślałeś o tej drodze? — spytałem Kostucha, ale on nie raczył nawet odpowiedzieć.

A zaraz potem poczułem umarłych. Kiedyś, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, myślałem, że każdy człowiek ich czuje, bo ten zapach jest tak przenikliwy, tak ostry, aż do bólu. Ale potem się okazało, iż większość ludzi nie ma pojęcia, o czym mówię. Umarli tu byli, wiedziałem o tym, że czają się dosłownie krok od nas. Zacząłem więc modlić się do mojego Anioła Stróża i miałem nadzieję, że raczy słuchać tej modlitwy. Rzecz jasna, mogło się zdarzyć, iż Anioł Stróż wysłucha modlitwy, ale okaże się gorszy niż niebezpieczeństwo przed nami. Mógł uznać, że lekceważę go, wzywając w tak błahej sprawie, a Anioły nade wszystko nie znosiły lekceważenia. Wierzcie mi, że zagniewany Anioł jest gorszy niż wasze najstraszniejsze koszmary. A niezbadane są ścieżki, którymi podążają umysły Aniołów.

Zobaczyłem białą jak płótno twarz Pierwszego. On wiedział, kiedy zaczynam się modlić do Anioła i wiedział, jakie mogą być konsekwencje tej modlitwy. Ale z umarłymi nie mogliśmy się mierzyć sami. Nie tutaj i nie teraz. Nie bez świętych relikwii, błogosławieństw i czystości serca. A widzicie, o czystość serca u niektórych z nas było dość trudno... Jednak zapach jakby zelżał. Umarli wahali się. Modlitwa nie odstraszała ich, ale wiedzieli, że mogą mieć do czynienia z moim Aniołem. A to byłoby dla nich najstraszniejsze ze wszystkiego. Posłałby ich na samo dno piekielnych czeluści, gdzie smętne półbytowanie na ziemi wydawałoby się istnym rajem. Skąd umarli mogli wiedzieć, że mój Anioł nie jest zbyt chętny do pomocy? Przypuszczałem po cichu, że mógł być z Niego taki sam sukinsyn, jak i ze mnie, i starałem się nie nadużywać Jego cierpliwości.

Zagłębiłem się w modlitwie. Słowa płynęły ze mnie jak jasna, przejrzysta struga. Wyobrażałem sobie, że tak musiał się modlić nasz Pan, zanim nie zszedł z Krzyża i nie pokarał grzeszników mieczem i cierpieniem. W końcu poczułem, że umarli odchodzą. Zrezygnowali z polowania i tylko jeszcze przez chwilę wirowały mi w mózgu ich ból i tęsknota za utraconym życiem.

Nigdy nie miałem pojęcia, kim mogą być umarli i dlaczego nie zaznali szczęścia niebios lub ogni piekielnych czeluści, tylko włóczą się po ziemi. Nie raz i nie dwa czytałem spory teologów na ten temat, ale żadne wyjaśnienie nie przemawiało mi do wyobraźni. Zresztą my — inkwizytorzy — nie byliśmy od myślenia. W końcu jesteśmy ludźmi czynu i innym pozostawiamy szansę, aby w teorii udowadniali zasadność tych właśnie czynów. W każdym razie przeciwko umarłym nie było skutecznej obrony. Chyba, że szło się przeciw nim z orężem relikwii i błogosławieństw, ale i to nie zawsze skutkowało. Całe szczęście, że umarli trzymali się tylko miejsc zapomnianych przez Boga i ludzi, takich jak Sarevaald. Nigdy nie widywano ich tam, gdzie mogli być łatwo dostrzeżeni. Może ta samotność właśnie dawała im siłę? Któż może wiedzieć?

Kiedy poczułem umarłych, zrozumiałem już właściwie wszystko. Domyśliłem się, czemu piękna Elia i jej towarzysze schodzą do lochów Sarevaald, wiedziałem z prawie stuprocentową pewnością co nieśli w ciężkim tobole. I przyznam wam, że wszelkie wyrzuty sumienia, jakie mógł mieć wasz uniżony sługa, wyparowały w okamgnieniu. Teraz już wiedziałem, że połączę przyjemność zarobienia pieniędzy Rakshilela z obowiązkiem inkwizytora. To była pocieszająca myśl, bo odczuwałem jednak niesmak, służąc tępemu rzeźnikowi o napchanej złotem kabzie. Taki już jest nasz świat, w którym ludzie szlachetni, uczciwi i kierujący się porywami serca (że przez skromność zamilczę, o kim myślę) cierpią biedę, a różni obwiesie, oszuści i obłudnicy opływają we wszelkie dostatki. Ale mogły mnie jedynie pocieszać słowa Pisma, które mówią, że *„łatwiej wielbłądowi jest przejść przez ucho igielne, niźli bogatemu wejść do Królestwa Niebieskiego”*

— Jesteśmy prawie na miejscu — obwieścił Kostuch ponuro. — Gdzieś tu są wszyscy... — zamilkł na chwilę — niedaleko nas — dodał.

— Ha — Pierwszy odetchnął z ulgą.

Wiedziałem, iż pocieszająca jest dla niego myśl, że za chwilę będzie miał do czynienia z ludźmi. Z konkretnymi postaciami z krwi i kości, które można potraktować mieczem lub sztyletem, połamać im kości lub odrąbać głowy. Nie chciałem go wyprowadzać z błędu, gdyż ja wiedziałem, że za tymi ścianami możemy spotkać nie tylko ludzi. Ale cóż było robić? Musieliśmy iść dalej, skoro w ogóle weszliśmy na tę drogę.

— Sprawdź — rozkazałem Pierwszemu.

Pierwszy przylgnął do muru i rozpostarł ręce. Wyglądał, jakby go ukrzyżowali na ścianie. Wpadł w trans i nagle oczy zapadły mu się, pozostawiając same białka. Mruczał coś cicho do samego siebie, palce wbijał w mur tak silnie, że zaczęły krwawić, a z ust ciekła mu ślina zmieszana z krwią. W końcu opadł na ziemię niczym stary łachman.

— Widziałem — wyszeptał z trudem. — Jak się tu przebijemy... — urwał i zachłysnął się powietrzem.

— No! — ponagliłem go.

— Będziemy w ich sali... na górze.

Mieliśmy ze sobą oskard, ale trudno sobie wyobrazić, aby nikt nie usłyszał, że wyrąbujemy korytarz przez ten gruby, stary mur. Mogliśmy też iść dalej, tak jak prowadził tunel, ale głowę bym dał, że ukryto w nim jeszcze jakieś niespodzianki. No, i umarli drugi raz mogą się nie przestraszyć. W końcu, jak do tej pory mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu. Elia i jej towarzysze z całą pewnością poszli korytarzem prowadzącym w dół, ale oni byli chronieni od zła, które czaiło się w tych murach. Tymczasem my mogliśmy w każdej chwili zostać zaatakowani. A zaręczam wam, że nie chcielibyście nawet wiedzieć, jak wygląda atak umarłych. Tak więc Drugi musiał nam zrobić tunel i powiedziałem mu o tym.

— Proszę — jęknął — tylko nie to. Mordimer, proszę cię, przyjacielu.

Mój Boże, na jakie czułości mu się zebrało! „Przyjacielu”? Nie, bliźniak, nie jesteśmy przyjaciółmi, a nawet gdybyśmy nimi byli, wydałbym ci ten sam rozkaz. Chociaż doskonale wiedziałem, że Drugi może zginąć. Owszem, miał w sobie pewną moc, ale ogranicznikiem dla każdego, kto mocą dysponuje, jest fakt, iż każde jej użycie może go zabić. No, przynajmniej użycie mocy o tak wielkim natężeniu. A ja Drugiemu kazałem sięgnąć do samych rezerw ciała i umysłu. Do samego jądra, sedna i centrum.

— Zaczynaj — rozkazałem chłodno.

Jeśli Drugi umrze, zastąpi go Pierwszy. Miał mniej mocy niż brat, ale może da radę. A jeśli nie da, to na pohybel nam wszystkim! W końcu spytałem ich przed chwilą, czy chcieliby żyć wiecznie...

Pierwszy wsadził bratu w usta jakąś szmatę i przewiązał ją sznurem. Wiedzieliśmy jak to boli, a przecież nikt nie chciał, by krzyk Drugiego poruszył wszystkie kamienie w tych lochach. Odwróciłem się. Widziałem już raz, jak Drugi robi tunel i miałem dość tego widoku na całe życie. Te oczy wypełnione bólem i szalone. Krew i śluz wypływające z ust, nosa i uszu... Obiecałem sobie, że dam mu większą działkę niż innym. Należy mu się. Jeśli stąd wyjdziemy, rzecz jasna, a to wcale nie było pewne.

Usłyszałem stłumione wycie i wiedziałem, że Drugi zaczął. Knebel dobrze tłumił krzyk, ale w tym zduszonym, gardłowym wyciu było tyle cierpienia, że nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu spotkałem się z podobną męką. Nie jestem świętym i nie raz widziałem tortury, nie raz też torturowałem sam, ale nawet człowiek, któremu laliśmy na jądra płynną siarkę, nie cierpiał tak strasznie. W dodatku ja czułem jego ból. Nie tylko słyszałem. On świdrował gdzieś w głębi mojej głowy, pojawiał się w wybuchach oślepiających kolorów, żgał najczulsze obszary mózgu igłami o rozpalonych ostrzach. Zagryzłem wargi do krwi, aby nie zacząć krzyczeć samemu. Tego by jeszcze brakowało, gdybym to ja nie umiał zapanować nad swymi odczuciami!

W końcu Drugi zemdlał i jego ból jeszcze tylko przez chwilę wibrował mi pod czaszką. Odwróciłem się i spojrzałem. Bliźniak leżał na ziemi, a jego brat — pochylony nad nim — zraszał mu twarz wodą z manierki. Drugi wyglądał strasznie. Jego twarz była alabastrowo biała, a niebieskie węzły żył pulsowały pod skórą, jakby były wielkimi, ożywionymi dziwną siłą glistami, chcącymi wydostać się na zewnątrz. Na domiar złego Drugi, mimo omdlenia, miał otwarte oczy i teraz z ich kącików spływała krew. Dawniej jego twarz wydawała się pucułowata, teraz kości policzków zdawały się przebijać napiętą i cieniutką jak pergamin skórę. Ale tunel wykopał uczciwy. Wysoki na metr i szeroki tak, że postawny mężczyzna mógł w nim swobodnie uklęknąć. Wszystko odbyło się bezszelestnie. Kamienie, cegły, zaprawa — zniknęły. Nie było żadnej kupy gruzu, a jedynie troszkę kamienistego pyłu na ziemi. Gdzie podziały się resztki muru? Któż to mógł wiedzieć? I kogo to, tak naprawdę, obchodziło? Ważne, że mieliśmy otwartą drogę do głównej sali — tam, gdzie Elia Karane i jej towarzysze oddawali się grzesznym uciechom.

Prześlizgnęliśmy się przez tunel Drugiego. Samego bliźniaka zostawiliśmy pod murem, bo nie było po co targać go tam, gdzie za chwilę odbędzie się walka. Podejrzewałem, że nie wydobrzeje szybko i będziemy musieli go nieść w drodze powrotnej. Jeśli w ogóle będzie jakaś powrotna droga. Zresztą wiedziałem, że z Drugim może nie być dobrze, niezależnie od tego, czy zaniesiemy go do Hez-hezronu i powierzymy opiece lekarzy, czy też nie. Mógł oszaleć albo zamienić się w warzywo. Ale miałem nadzieję, że po prostu obudzi się jutro, splunie i zapyta: „jak poszło, chłopaki? Mamy już pieniąchy?”

Znaleźliśmy się na czymś w rodzaju balkonu dla orkiestry. Pod nami była ogromna, rzęsiście oświetlona sala o podłodze wyłożonej różowym marmurem. Pośrodku sali stał nie pasujący zupełnie do wnętrza czarny kamień, a na nim leżała naga kobieta. Zgodnie z moimi przewidywaniami. To ona właśnie była w tobołku, który nieśli przyjaciele Elii. Zobaczyłem, że ofiara ma ręce i nogi przyśrubowane do głazu, a z ran sączy się krew do czterech naczyniek.

— Ale dają — szepnął Pierwszy.

Wokół krwawego ołtarza kiwało się w dziwnym tańcu sześć osób w jaskrawoczerwonych tunikach. Pod sufit unosił się mdlący dym kadzideł. Tańczący coś śpiewali, ale była to dziwaczna pieśń bez słów i melodii. Wśród nich zobaczyłem Elię Karrane. Piękną, złotowłosą Elię. Kostuch spojrzał na mnie.

— Ona ma być moja — powiedział gardłowym szeptem.

— Ona jest już tylko Pana Boga — odparłem smutno.

Pierwszy spojrzał na mnie z pytaniem w oczach. No cóż, musieliśmy zejść i dlatego cichutko przywiązaliśmy trzy liny do balustrady. Zeskoczyć będziemy musieli jednocześnie, bo jeden tylko Bóg wie, jakie niespodzianki czekają jeszcze na dole. I ześlizgnęliśmy się. A potem już z krzykiem i bronią w dłoniach pędziliśmy w ich stronę.

Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyli nawet drgnąć. Kostuch trzasnął jednego z mężczyzn głownią szabli. Bliźniak przyładował następnemu pałką w podbrzusze, a ja rzuciłem trzeciemu w twarz garść shersken i jednocześnie z półobrotu stuknąłem czwartego w głowę końcem kija. Trochę za mocno. Pękła jak dojrzały arbuz. Ale to wszystko ze zdenerwowania. W tym samym momencie Elia Karrane zaczęła krzyczeć, mężczyzna trafiony w podbrzusze przeciągle wyć, a oślepiony przeze mnie tarzał się po podłodze i tarł powieki. Bardzo źle. Jeśli wetrze shersken w oczy, nie będzie widział do końca życia. Na przykład nie zobaczy płomieni ogarniających przesuszone szczapy na własnym stosie. Piątym z mężczyzn okazał się mój znajomy szuler — Lohemerr, nazywany Merrym. Stał i trząsł się. Patrzył na mnie przerażonym wzrokiem.

— Na litość Boską, Mordimer — wyjęczał, jakby mógł sądzić, że Bóg może się litować nad kimś takim, jak on.

Elia okazała się odważniejsza, bo skoczyła w moją stronę, celując paznokciami w oczy, ale Kostuch podciął jej nogi i runęła na moje buty. Kopnąłem ją z całej siły w twarz i coś chrupnęło. Potem dowiedziałem się, że złamałem jej nos i szczękę. Pierwszy w tym czasie przyglądał się dziewczynie przyśrubowanej do kamienia. Była martwa albo w bliskim śmierci transie i miała zamknięte oczy.

— Ale lalka — powiedział, przeciągając dłonią po jej piersiach. — Mogę... prawda, Mordimer?

Skinąłem głową, bo jej i tak nic już nie mogło zaszkodzić, a bliźniak lubił podobne zabawy.

— Ostrzegałem cię — zwróciłem się do Merriego — ale ty nie chciałeś słuchać słów przyjaciela. — Nie byłem co prawda jego przyjacielem, ale tak brzmiało lepiej.

Szuler usiadł na podłodze i ukrył twarz w dłoniach. Spod palców ciekły mu łzy. Było to zarówno żałosne, jak obrzydliwe.

— Nie robiliśmy nic złego — jęknął. — To zwykła ulicznica, Mordimer. Przecież jej nic nie warte życie nie mogło interesować Boga!

— Idioto — powiedziałem bez gniewu, bo Merry był już trupem. — Wzywaliście umarłych i składaliście ofiary z ludzi. Bogu i Inkwizytorium nie chodzi o życie tej dziewki, drogi przyjacielu. Chodzi tylko i wyłącznie o wasze nieśmiertelne dusze, które zbrukaliście i upodliliście. O wasze dusze, które bez naszej pomocy zawędrowałyby wprost do piekielnych czeluści!

— Jak mi możesz pomóc, Mordimer? — Oczy szulera były jak oczy skrzywdzonego psa.

— Będę z tobą rozmawiał tak długo, aż w głębi serca zrozumiesz swe winy, aż całym sobą, całą duszą, umysłem i ciałem, czy raczej tym, co z twego ciała zostanie, będziesz chciał odkupić grzechy i wyrzec się diabła. A wtedy, kiedy będziesz już pogodzony z Bogiem i ludźmi, oddam cię płomieniom, Merry.

— Czy warto, Mordimer? — wykrzyknął. — Dla niej? — Pokazał dziewczynę na kamieniu, nad którą sapał Pierwszy.

— Nic nie rozumiesz — odparłem i pokręciłem głową, bo wiedziałem już, że nasze rozmowy w Hez-hezronie, w lochach Inkwizytorium, przeciągną się. — Ale zrozumiesz, uwierz mi, zrozumiesz na pewno...

— Dostawaliśmy złoto, Mordimer. — Lohemerr uniósł głowę i widziałem, iż w jego oczach błysnęła nadzieja. Nie mógł się pogodzić z myślą, że tak naprawdę już umarł. — Dostawaliśmy złoto, dużo złota. Chcesz? Ile? Tysiąc koron? Pięć tysięcy? Dziesięć tysięcy? A może sto tysięcy, Mordimer?!

— Sto tysięcy? — zapytał Kostuch i widziałem, że w jego oczach zalśniły niebezpieczne błyski.

Założyłbym się, że nie do końca wyobrażał sobie, co można zrobić ze stoma tysiącami koron.

— Przynosiliśmy ofiary umarłym i dostawaliśmy pieniądze — wyjaśniał gorliwie Merry. — Raz tysiąc koron, potem pięć tysięcy, potem znowu dwa tysiące. Przyłączcie się do nas, do mnie, zabijcie ich, jeśli chcecie, ja wiem wszystko, ja...

Trzasnąłem go końcem kija w zęby i padł na plecy.

— Kostuch — powiedziałem łagodnie — nie bądź głupi. Za wszystko trzeba kiedyś zapłacić. Oni płacą już teraz.

Sprawdziłem, czy Pierwszy skończył i wezwałem Anioła-Świadka. Zjawił się, sprawdził moją koncesję i przez moment aż zamarłem na myśl, że Rakshilel sfałszował dokumenty. Anioł-Świadek nie zna się na żartach. Jeśli koncesja byłaby nieważna, mógł to zlekceważyć, uważając, że dokonaliśmy i tak wiele dobrego, ale równie dobrze mógł też nas zabić jednym ciosem ognistego miecza. Zresztą, nie sądzę, aby fatygował się, by wyjąć go z pochwy. W końcu karaczany zabija się pod butem, a nie z armaty. Na szczęście wszystko było w porządku i Anioł-Świadek pobłogosławił nas. Teraz, z jego błogosławieństwem, nie musieliśmy się już bać, że nadejdą umarli, chcąc się zemścić za to, że zniszczyliśmy ich wyznawców. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego umarli pragną ofiar z ludzi? Co im to daje? Czy wypełnia ich mocą, czy pozwala na zakosztowanie ochłapów życia, na przypomnienie sobie tego, co było dawniej? A może umykające życie koi choć na moment ich wieczny ból, a krew ofiar gasi piekielny ogień trawiący ich wnętrza? Ha, oto dobre pytania dla teologów i wierzcie mi, że próbowali na nie odpowiadać. Tyle, że jeśli jakikolwiek teolog byłby na moim miejscu, to posrałby się w gacie.

Anioł-Świadek przy okazji uzdrowił też Drugiego i postanowiłem zapamiętać jego uprzejmość. Mieć życzliwego Anioła-Świadka to wygrana na loterii. Być może też prosił mego Anioła Stróża, aby pilnował nas w drodze powrotnej, bo nic już nas nie niepokoiło. Ale kłopoty i tak były spore, gdyż niektórzy z więźniów nie mogli sami iść. Cóż, umiejętność chodzenia nie będzie im już potrzebna. Na stos przewiozą ich przez miasto na czarnych, drewnianych wózkach, ku radości tłumnie zgromadzonej wzdłuż ulic gawiedzi. Hez-hezron był prawowiernym miastem. Tu nie trzeba chronić więźniów, by ktoś ich nie odbił, lecz pilnować, aby ktoś targany bezrozumnym zapałem nie zechciał sam wymierzyć sprawiedliwości heretykom i bluźniercom.

Ale dla mnie rzecz się jeszcze nie skończyła. Ja miałem do załatwienia sprawę z Rakshilelem. Wiedziałem, że tłusty rzeźnik nie daruje mi, iż jego ukochana zamiast karocą na ślub, pojedzie czarnym wózkiem na stos. Zapewne żal mu będzie tych wszystkich nocy, w czasie których mógłby opasłym, spoconym brzuszyskiem przygniatać jej zgrabne ciało. Kto wie, jak daleko posunie się w swej niechęci? Stare powiedzenie mówi, że najlepszą obroną jest atak. I, wierzcie mi, że choć atakować nie miałem ochoty, wiedziałem, iż w innym wypadku mogę stracić życie. Może i ono jest podłe, ale przynajmniej póki żyję, mogę mieć nadzieję, że się zmieni. Dlatego też w drodze powrotnej do Hez-hezronu intensywnie myślałem, jak wypada sprawę załatwić, aby wszystko zakończyło się szczęśliwie. I wreszcie, co zresztą było do przewidzenia, wpadłem na odpowiedni koncept.

###### \* \* \*

W Hezie nasze przybycie wzbudziło sensację. Tak jak się spodziewałem, więźniów natychmiast przejęło Inkwizytorium i, również zgodnie z mymi oczekiwaniami, następnego dnia Jego Ekscelencja biskup Hez-hezronu powierzył prowadzenie sprawy właśnie mnie. To prawda, że byłem nowy w mieście, ale w końcu najważniejszy był fakt, iż posiadałem ważną koncesję. Bracia inkwizytorzy — kilku z nich zresztą nie najgorzej znałem — przyjęli mnie bez zawiści. W naszym fachu ważna jest solidarność. Zbyt wiele żyje wilków, które chciałyby zjeść Boże owieczki, abyśmy nie mieli trzymać się razem.

Praca w Inkwizytorium, w czasie prowadzenia wytężonego śledztwa, połączonego z przesłuchaniami, nie jest ani łatwa, ani przyjemna. Dzień rozpoczyna się od mszy o szóstej rano i wspólnego śniadania z inkwizytorami prowadzącymi inne sprawy. Potem medytacja i modlitwa, a dopiero potem rozpoczynają się właściwe śledztwa. Nie lubiłem tego stylu życia. Wasz uniżony sługa jest tylko człowiekiem, obarczonym licznymi słabostkami. Lubię popić do późnej nocy i spać długo w dzień, dobrze zjeść i odwiedzać domy płatnych uciech. Ale siła człowieka polega na tym, iż kiedy trzeba, potrafi zrezygnować z własnych przyzwyczajeń i poświęcić się Sprawie. Czymkolwiek ta Sprawa by nie była.

Jako pierwszą odwiedziłem piękną Elię. Nie była już piękna. Miała podartą suknię, skołtunione i zlepione krwią włosy, wybite zęby, rozbity na pół twarzy nos i policzek przypominający zgniłą brzoskwinię. Nie miała w celi lustra, ale przyniosłem jej jedno. Małe lusterko w oprawie z kości słoniowej. Kiedy zobaczyła w nim swoje odbicie, rzuciła lusterkiem o ścianę i rozpłakała się. Ale nie był to jeszcze taki płacz, jakiego się spodziewałem. Na razie płakała z nienawiści i wściekłości. Uwierzcie mi: nadejdzie jeszcze czas, iż będzie płakać z żalu. Usiadłem naprzeciw niej na zydlu przyniesionym przez ponurego strażnika z wyłupionym okiem.

— Elia — powiedziałem łagodnie. — Musimy porozmawiać.

Warknęła coś w odpowiedzi, a potem podniosła głowę. Spod opuchlizny było widać jedno, błyszczące oko. Pełne nienawiści.

— Zabiorą się za ciebie, Madderdin — rzekła zduszonym głosem. — Uwierz mi, zabiorą się za ciebie.

A więc żyła jeszcze złudzeniami. Skąd pochodziła ta wiara? Czy myślała, że może uratować ją dostojeństwo rodu, pieniądze, bracia, a może wpływy Rakshilela? Cokolwiek by nie myślała — myliła się. Jej ciało było już tylko drewnem, które spłonie w oczyszczającym ogniu. Patrzyłem na nią i zastanawiałem się, jak to możliwe, że kiedyś mnie pociągała. Owszem, nadal była piękna, a może raczej: mogłaby być piękna za kilkanaście dni, kiedy zagoiłyby się rany i zeszła opuchlizna. Ale, tak czy inaczej, była już martwa, a ja w przeciwieństwie do Pierwszego nie mam sentymentu do martwych lub umierających kobiet.

Wezwałem strażnika i kazałem zaprowadzić ją do sali przesłuchań. W niewielkiej komnacie wyłożonej ciemnorudymi cegłami stały stół i cztery krzesła. Dla mnie, protokolanta, medyka oraz, ewentualnie, drugiego z inkwizytorów. Na północnej ścianie znajdowało się obszerne palenisko, w którym żarzyły się węgle. Jednak najważniejszymi elementami wystroju tej sali były narzędzia. Drewniane łoże z żelaznymi klamrami, linami i kołowrotem. Hak zawieszony u sufitu. Żelazne buty ze śrubami. Na stoliku, obok paleniska, leżał komplet instrumentów. Szczypce i cęgi do szarpania ciała, wiertła i piły do dziurawienia i przecinania kości, bat o siedmiu sznurach z nanizanymi żelaznymi kulkami. Nic bardzo wyrafinowanego i nic bardzo skomplikowanego. Ale zwykle sam widok wystarczał, aby w sercach grzeszników obudzić trwożliwe drgnienie. Nie inaczej było z Elią Karrane. Rozglądała się po sali, a z jej twarzy odpłynęła krew. Patrzyłem na nią z satysfakcją profesora widzącego, że będzie miał pociechę z nowego ucznia.

Strażnik rozciągnął ją na łożu i zamknął przeguby rąk i nóg w żelaznych klamrach. Dałem mu znak, żeby sobie poszedł i zamknął drzwi.

— Tu uda nam się porozmawiać spokojniej — powiedziałem. — Rzeczowo i bez nerwów oraz oskarżeń. Czy mam ci wyjaśnić, w jaki sposób działają narzędzia?

Nie odpowiedziała, ale też nie spodziewałem się odpowiedzi. Leżała z głową opartą lewym policzkiem na nieheblowanym drewnie łoża. Przyglądała mi się zdrowym okiem.

— Zacznijmy od podwieszenia, tu na tym haku. — Wskazałem palcem pod sufit, a jej wzrok posłusznie powędrował za moją dłonią. — Najpierw zawiążą ci ręce z tyłu, a przez pęta przewiążą linę, którą przewloką przez właśnie ten hak. Wystarczy tylko pociągnąć drugi koniec liny, by twoje związane na plecach ręce zaczęły wyginać się w stronę pleców. Coraz wyżej i wyżej. W końcu puszczą stawy, pękną kości i zostaną zerwane ścięgna. Twoje ręce znajdą się równolegle do głowy.

Podszedłem i stanąłem tuż obok niej. Wziąłem w dłoń kosmyk jej włosów i zacząłem się nim bawić. Okręcać go na palcu i rozkręcać.

— Myślisz może, że pomoże ci omdlenie. Otóż nie. Nad tym czuwa nasz medyk. Kiedy trzeba, poda ci trzeźwiące lekarstwa. Poczekamy, aż znowu odzyskasz przytomność, i zaczniemy na nowo. Kiedy będziesz stała tak tutaj, z rękoma wyłamanymi ze stawów, możemy zacząć cię chłostać, by wzmóc ilość bodźców. Ten bat — wzrok Elii znowu posłusznie poszedł za moim palcem — jest naszpikowany małymi, żelaznymi kuleczkami. W ręku wprawnego człowieka, a wierz mi, że nasi kaci są wprawni, nie tylko wycina pasy skóry, ale może rozdzierać mięśnie, a nawet łamać kości. Taaak — przeciągnąłem. — kiedy zejdziesz z tego haka, droga Elio, zostanie z ciebie strzęp. I nie miej najmniejszych złudzeń, że ktoś ci pomoże. Wszystko zostało spisane przez Anioła-Świadka. Teraz od stosu nie uratowałby cię nawet papież. Czy mam mówić dalej?

— Nie — szepnęła. — Wystarczy. Co mam robić?

Była pojętną uczennicą, ale nie dość pojętną. Nie powinna pytać.

— To zależy tylko od ciebie — rzekłem. — Ja nie mogę cię do niczego zmusić. Skrucha i żal muszą płynąć z głębi serca.

Przymknęła oczy, jakby się nad czymś zastanawiała. Nagle otworzyła je.

— Rakshilel — powiedziała i spojrzała na mnie pytająco. Uśmiechnąłem się samymi kącikami ust. — On stał za tym wszystkim. Moja odmowa ślubu była tylko grą, aby ludzie myśleli, że się nienawidzimy. A to przecież on namówił mnie na konszachty z diabłem i czerpał z tego korzyści. Bo czyż dorobiłby się takich bogactw tylko na handlu mięsem?

Byłem dla niej pełen podziwu. Naprawdę. W jaki sposób wywnioskowała tak prędko, że chodzi mi o mistrza rzeźników? Zastanówmy się, jakim torem mogły biec jej myśli: „Mordimer śledził mnie na rozkaz Rakshilela i wyśledził. Ale sprawa przybrała poważny obrót i Rakshilel nie dość, że nie zapłaci reszty honorarium, to spróbuje wykończyć Mordimera, za to, że nie doprowadził mnie do ołtarza. Tak więc Mordimer musi znaleźć hak na Rakshilela i ten hak znajdzie dzięki mnie”. Wręcz widziałem, jak zadaje sobie pytanie, co otrzyma w zamian.

— Szczera skrucha, prawdziwy żal i wydanie wspólników są warunkami koniecznymi, Elio — powiedziałem poważnym tonem. — A inkwizytor może zadecydować w tym wypadku o nie poddawaniu oskarżonego torturom i spaleniu jego ciała już po powieszeniu lub ścięciu.

— Tak — odparła i znowu przymknęła oczy. — Tak — powtórzyła. — Dziękuję ci.

Wezwałem strażnika i kazałem odprowadzić Elię do celi.

— Przemyśl wszystko dobrze — rzekłem. — Po południu przesłucham cię w obecności protokolanta.

Kiedy wracałem do Inkwizytorium, myślałem o Elii. Była interesującą kobietą. Zimną i bezwzględną, ale umiejącą pogodzić się z klęską. Niemal żałowałem, że los nie pozwolił nam spotkać się wcześniej. Nie mogłem jej uratować. Nikt nie mógł. No, może prawie nikt, bo mówiąc, że nawet papież nie jest w stanie nic zrobić, znacznie przesadziłem. Jednak biskup Hez-hezronu nie miał dość władzy, aby nakazać dożywotnie zamknięcie jej w klasztorze. Tu wyrok mógł wydać tylko sąd papieski, a do stolicy droga była daleka. Zresztą zanim zakręciłyby się koła biurokratycznej machiny, nikt już nawet nie pamiętałby o stosie, na którym spłonęła. Cóż... wypadało pogodzić się z myślą, że Elii nie będzie już wśród nas. Szkoda. Jak zawsze, kiedy ze świata znika kawałek piękna.

###### \* \* \*

Wiedziałem, że słudzy Rakshilela próbują mnie odszukać, ale nawet oni nie mogli się przedrzeć przez straże pilnujące Inkwizytorium. W końcu jednak nadszedł czas, iż to ja mogłem odwiedzić mistrza rzeźników. Stałem przed drzwiami z mosiężną kołatką i zastanawiałem się nad tym, że od mojej niedawnej wizyty minęło tak niewiele czasu, a tak obfity był on w wydarzenia. Zastukałem. Przez chwilę wewnątrz panowała głucha cisza, ale wreszcie usłyszałem człapanie stóp.

— Kto? — warknął głos zza drzwi.

— Mordimer Madderdin — powiedziałem.

— Na miecz Pana, człowieku — wrzasnął ktoś. — Wchodź natychmiast, mistrz szuka cię po całym mieście.

— A więc jestem — odparłem.

Tyle, że kiedy otwarto drzwi, nie wszedłem do środka sam. Towarzyszyło mi czterech żołnierzy w czarnych płaszczach, nałożonych na kolczugi i z okutymi żelazem pałkami w rękach. Sługa, który otworzył nam drzwi, padł pchnięty pod ścianę, a jego wzrok pełen był przerażenia. Tak reaguje każdy, kiedy do jego domu wchodzi otoczony strażą inkwizytor w służbowym stroju. Miałem na sobie czarną pelerynę zawiązywaną pod szyją i czarny kubrak z ogromnym, złamanym krzyżem haftowanym srebrem. Niektórzy twierdzą, że nie powinniśmy czcić symbolu, na którym cierpiał nasz Pan, ale nie pamiętają o tym, iż to męka Krzyża dała Mu siłę, by złamał drzewce i zszedł pomiędzy nieprzyjaciół z mieczem i ogniem w dłoniach. Tak jak i ja z mieczem w dłoni oraz ogniem w sercu wchodziłem do domu bluźniercy oraz grzesznika.

Rakshilel był tylko w nocnej koszuli, kapciach o fantazyjnie zagiętych czubkach i szlafmycy, której koniec przewieszał mu się przez ramię. Wyglądał zabawnie, ale nawet się nie uśmiechnąłem.

— Rakshilel Dahn? — zapytałem. — Czy to wy jesteście Rakshilel Dahn, mistrz gildii rzeźników?

— Zapłacisz mi za to, Mordimer — wyszeptał przez zaciśnięte zęby, bo był na tyle mądry, aby zrozumieć wszystko.

— Jesteście aresztowani w imieniu Inkwizycji, na rozkaz Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu — powiedziałem. — Bierzcie go — rozkazałem żołnierzom.

— Mordimer! — wrzasnął. — Porozmawiajmy, Mordimer, proszę cię!

„Proszę cię” — brzmiało interesująco w jego ustach. Tak interesująco, że skinąłem dłonią, aby odszedł ze mną na bok. Weszliśmy do ogrodu, a Rakshilel trząsł się jak galareta. Szanowałem go za to, że nie groził mi i nie przeklinał. Rozumiał, że skoro został aresztowany za zgodą samego biskupa, sprawa jest więcej niż poważna.

— O co jestem oskarżony? — spytał drżącym tonem.

— Sam nam powiesz — odparłem, lekko się uśmiechając. — Będziemy mieli sporo czasu na pogawędki.

Obaj doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że w takiej sytuacji jak ta, od człowieka uciekają wszyscy stronnicy, a wrogowie podnoszą głowy. A Rakshilel wrogów miał wielu i nikt nie poda mu pomocnej ręki. Nie teraz.

— Dziesięć tysięcy — powiedział.

— Nie — pokręciłem głową — nawet za sto. Wiesz dlaczego?

Patrzył na mnie ogłupiały.

— Bo ty już nie masz czego kupić, a ja nie mam nic na sprzedaż.

— Więc dlaczego rozmawiamy? — Jednak tliła się w nim jeszcze jakaś resztka nadziei.

— Bo chciałem wiedzieć, jak wysoko cenisz życie i dowiedziałem się, że tylko na dziesięć tysięcy. Świat nie straci zbyt wiele na twojej śmierci.

Skinąłem na strażników i czekałem, aż dwaj z nich go zabiorą, a potem zabrałem się za rewizję domu, wspomagany przez tych dwóch, którzy zostali. Po godzinie dołączył do nas notariusz i zaczął spisywać wszystkie cenne przedmioty, jakie tylko znalazł. No cóż, wiedziałem, że praca zajmie mu wiele godzin. Ja w tym czasie znalazłem sejf Rakshilela i otworzyłem go bez specjalnego trudu, bo również tej sztuki mnie uczono. W sejfie piętrzyły się stosy złotych monet, przewiązane sznurkiem weksle, obligacje i zobowiązania. Przejrzałem je uważnie i część z nich, wystawionych na okaziciela, schowałem do kieszeni płaszcza. Wiedziałem, że mogę pozyskać wdzięczność wielu osób, oddając im te weksle. A wdzięczność w naszym fachu to ważna rzecz. Człowiek wdzięczny jest skłonny do pomocy i udzielenia informacji. A życie nas — inkwizytorów — zależy w dużej mierze właśnie od dostępu do informacji. Potem wyliczyłem sobie siedemdziesiąt pięć koron, bo tyle winien był mi Rakshilel. Siedemdziesiąt pięć koron i ani grosza więcej. W końcu nie jestem cmentarną hieną, a ten dom był już tylko grobem.

###### \* \* \*

Śledztwa nie ciągnęły się zbyt długo. Oskarżeni byli pomocni, a oskarżenie tak wyraziste, jak rzadko kiedy. Zgodnie z moją obietnicą nie torturowano Elii. Czas do wykonania wyroku spędziła w pojedynczej celi i kiedy jechała przez miasto, na czarnym wózku, była znowu tak samo piękna jak dawniej. Od biskupa Hez-hezronu otrzymałem oficjalne pismo z podziękowaniem i gratyfikację, której wysokość świadczyła o tym, że w Hezie nie tylko Rakshilel miał węża w kieszeni.

Kiedy na rynku płonęły stosy, my, inkwizytorzy staliśmy półkolem tuż obok podestu. W czarnych płaszczach i czarnych kapeluszach.

— Ciekaw jestem, ile na tym zarobiłeś, Mordimer — powiedział cichutko jeden z nich, o imieniu Thuffel. Na ustach miał szczery uśmiech, ale jego oczy były jak lód skuwający daleką północ. — Krupper pewnie sporo zapłacił za odsunięcie Rakshilela od interesów, co?

Krupper był głównym konkurentem Rakshilela na rynku mięsem i najpoważniejszym teraz kandydatem do stanowiska mistrza gildii rzeźników.

— Nie — odparłem, nie cofając wzroku. — Nie — powtórzyłem i on pierwszy odwrócił głowę.

— Czyż w płomieniach nie ma czegoś urzekającego? — zapytał wpatrzony w stosy. — Mogę zaprosić cię na kolację, Mordimer?

— Czemu nie? — odrzekłem. — Nie ma to jak szklaneczka wina w gronie przyjaciół.

Patrzyłem na bijące pod niebo płomienie i snop szarego dymu, wsłuchiwałem się we wrzaski rozentuzjazmowanego tłumu i myślałem o pytaniu Thuffela. Owszem, rozważałem przez chwilę myśl, by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. A Krupper zapłaciłby z radością, zwłaszcza że nie był takim skąpcem, jak świętej pamięci Rakshilel. Ale, widzicie, w mojej pracy nie pieniądze są najważniejsze, lecz świadomość, że służy się Dobru i Prawu. Czyż nie?

## Szkarłat i śnieg

Choćby były grzechy wasze jako szkarłat, jak śnieg wybieleją.

Proroctwo Izajasza

Wjechaliśmy na rynek miasteczka w trzy konie. Równiutkim stępem, pysk przy pysku. Po prawej ręce miałem Kostucha, któremu twarz zasłaniał obszerny kaptur. Bynajmniej nie z uwagi na delikatny żołądek bliźnich. Co to, to nie, moi drodzy. Kostuch jest dumny ze swojej twarzy, a i ja uznaję, że czasem przydaje się, kiedy ktoś na nią spojrzy. Teraz jednak sakramencko wiało, a w dodatku zacinał ostry, lodowaty deszczyk. Jak na wrzesień było wyjątkowo paskudnie, a nasze konie miały całe nogi i brzuchy utytłane w błocie. Po mojej lewej ręce, na potężnym gniadoszu, jechali bliźniacy. Czasami śmiano się z tego, iż jeden wielki koń dźwiga dwóch małych ludków, ale ten śmiech milkł zazwyczaj, kiedy żartownisie mieli okazję zobaczyć twarz Kostucha. Albo gdy ujrzeli niewielkie kusze, które bliźniacy zawsze nosili pod obszernymi pelerynami. W dodatku naładowane, co powodowało pewną nerwowość, w chwilach kiedy jechali za moimi plecami i potykał im się koń. Z tych kusz nie ustrzelilibyście rycerza w płytowej zbroi z odległości dwustu stóp. Ale z pięćdziesięciu, grot przebijał grubą, drewnianą deskę. A to najzupełniej wystarczało.

Tak więc wjechaliśmy stępa do tego zapomnianego przez Boga i ludzi miasteczka w nadziei, że znajdziemy w miarę przyzwoitą gospodę. Bliźniacy mieli ochotę jeszcze na małe co nieco, ale w tym miejscu mogli się najwyżej dorobić brzydkiej choroby albo parchów. Mnie przede wszystkim zależało na koniach. Żywię głęboki szacunek dla stworzeń, które zmuszone są dźwigać nas na grzbietach, i uważam, że powinnością każdego jeźdźca jest dbanie o wierzchowca. Kiedy miałem szesnaście lat, zabiłem człowieka, który znęcał się nad koniem. Teraz nie jestem aż tak pochopny, bo z wiekiem złagodniałem, ale sentyment jednak pozostał.

Tym razem nie dane nam było rozejrzeć się za gospodą. Pierwsze co zobaczyliśmy, to tłum. Pierwsze co usłyszeliśmy, to wrzask. Pierwsze co poczuliśmy, to smród nasmołowanych szczap. Na przeciwległym końcu rynku zebrała się tłuszcza, w środku której widziałem jakąś postać w białej koszuli. Wszyscy popychali ją, spluwali na nią, okładali kułakami. Opodal stało trzech żołnierzy z miejskiej straży. Glewie oparli o ścianę i dowcipkując, popijali piwo z dzbana. Tego, że dowcipkowali, rzecz jasna, nie słyszałem, bo hałas był zbyt duży, ale poznałem po ich roześmianych twarzach. Choć w tym wypadku wypadałoby raczej powiedzieć: roześmianych mordach. Wszyscy przypominali dobrze spasione świnie o tępych pyskach, a fakt, że na głowie mieli skórzane hełmy, o dziwo, tylko pogłębiał to wrażenie.

Na samym środku ryneczku stał dwumetrowy, osmolony i przeżarty rdzą pal, a wokół niego ustawiono stos nasmołowanych szczap. Bardzo niefachowo ustawiono, jakby ktoś się mnie pytał. Po zapaleniu tego stosu grzesznik zaczadzieje w parę chwil i nie zazna łaski oczyszczającego bólu. A przecież tylko ból może dać mu szansę na wkroczenie, w dalekiej przyszłości — rzecz jasna, do Królestwa Niebieskiego. Niemniej fakt, że słup był metalowy, świadczył o tym, iż podobne igraszki już się w miasteczku odbywały i środek rynku był miejscem do odgrywania pięknego teatrum ku uciesze serc miejscowej gawiedzi.

Strażnicy zobaczyli nas, ale nim zdołali się zorientować, już wjechaliśmy w tłum. Ktoś wrzasnął, kogoś Kostuch kopnął podkutym butem, ktoś inny wylądował twarzą w błotnistej kałuży.

— Stać! — ryknąłem na cały głos. — W imię Świętego Officjum!

Nie powiem, żeby tłum umilkł od razu i aby otoczyła nas nabożna cisza. Tłum jest tylko tłumem, i dość długo trwa, zanim ktokolwiek zdoła nad nim zapanować. Ale mój głos był na tyle donośny, a my na koniach i pod bronią wyglądaliśmy na tyle groźnie, że w końcu tłum odszedł od nas jak fala odpływu.

— Kto tu jest przy władzy? — spytałem.

Już niezbyt głośno, bo nie ja mam zdzierać gardło, tylko oni mają w pokorze słuchać.

— Jaż-żem jezd burmajssster — burknął ktoś i wyszedł przed innych.

Człeczek o szczurzej twarzy i w utytłanej błotem kapocie. Spojrzałem na niego.

— Znaczy się burmistrz — powiedziałem. — Ty wydałeś polecenie przygotowania stosu?

— Jaż-żem — powtórzył, choć po chwili zastanowienia — ale zz-gim mmmm-aaam przyjjj... cot?

Tym „cot” zakończył, jakby spluwał. Nie podobał mi się jego stosunek do życia. Coś nad wyraz pewnie czuł się, mając za plecami tłumek współmieszkańców. Nie zdawał sobie sprawy, jak szybko rozbiegną się, kiedy tylko zaświergoczą bełty kusz, a on sam zwali się w błocko z pierzastymi drzewcami sterczącymi z piersi. Ale na razie nie miałem ochoty ani potrzeby, by go zabijać, chociaż bliźniacy pewnie byli nie od tego.

— Jestem Mordimer Madderdin, licencjonowany inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. — Uniosłem się lekko w strzemionach i teraz wypowiedziałem swą kwestię głośniej, bo chciałem, by mnie słyszano.

I tym razem zapadła prawdziwa cisza, a burmistrz, czy burmajster, jak wołał się nazywać, nagle pozostał samiuteńki. I tylko obok, trzy kroki od jego stóp, leżała postać w białej koszuli (znaczy kiedyś białej, bo w tej chwili biel ledwie prześwitywała spoza plam błota). Tłum cofnął się, kto mógł, zniknął szybciutko w zaułkach, w dopiero co otwartych drzwiach. A ci, co nie zdążyli zniknąć, odwrócili się, udając, że trafili w to miejsce najzupełniej przypadkowo. A więc było tak, jak zazwyczaj.

— Dobrze, że się przyznajesz. Wiesz, jaka jest kara za uzurpowanie sobie praw sądu inkwizycyjnego? — zapytałem łagodnym tonem. — Karą tą jest kastracja, darcie pasów i palenie na wolnym ogniu.

Widziałem, jak krew odpływa z jego twarzy.

— A wierz mi, że stos będzie dobrze położony. Tak, abyś długo mógł oglądać spalone kikuty własnych nóg, zanim ogień dojdzie do witalnych części ciała.

Nie wiedziałem, czy rozumie, co oznacza słowo „witalne”, ale musiał mieć jednak choć trochę wyobraźni, bo o ile to możliwe, zbladł jeszcze bardziej.

— Nie straszcie go, inkwizytorze — usłyszałem nagle chłodny głos i jakaś postać w czarnym płaszczu wysunęła się przed burmistrza.

Człowiek ten miał bladą twarz okoloną smolistoczarną brodą i niepokojące oczy. Lewy policzek poznaczony śladami po ospie, a prawy po rozdrapanych pryszczach. Był jeszcze młody i chyba dlatego nosił brodę, by dodać sobie wieku i powagi.

— A kim ty jesteś, obsrajtuchu? — zapytał Kostuch i swobodnym ruchem odrzucił kaptur.

Naszemu rozmówcy oczy się tylko lekko rozszerzyły, gdy ujrzał Kostucha w całej krasie, ale nic nie powiedział, nie cofnął się i nawet nie zmienił wyrazu twarzy. Trzeba przyznać, że miał silną wolę, mili moi, bo nie każdy wytrzymuje spojrzenie w oblicze Kostucha tak dobrze.

— Jestem proboszczem parafii świętego Sebastiana w Thomdalz — powiedział takim tonem, jakby obwieszczał światu, że właśnie został wybrany papieżem.

— To jest Thomdalz, tak? — Machnąłem ręką. — Niezła dziura, księże, nie ma co... Cóżeś przeskrobał, że zesłali cię do podobnego gnojowiska? Zruchałeś kochankę swojego biskupa?

Kostuch i bliźniacy roześmiali się jak na komendę, a Kostuch trącił księdza czubkiem buta w pierś. Tylko trącił, ale czarnobrody zachwiał się i wylądował siedzeniem prosto w błocie. Bliźniacy tym razem zawyli ze śmiechu. Ech, te ich drobne radości... Kątem oka spojrzałem na trzech strażników stojących przy ścianie. To byli, wbrew pozorom, mądrzy chłopcy. Żaden nawet paluszkiem nie dotknął opartych o mur glewi.

Ksiądz, czerwony na twarzy, jakby zaraz miał dostać apopleksji, chciał się zerwać, ale Kostuch najechał na niego koniem i przewrócił go znowu. Tym razem na plecy.

— Nie wstawaj, klecho — poradził mu łagodnie Kostuch. — Pan Madderdin tak sobie teraz porozmawia z tobą, jak powinien rozmawiać inkwizytor z księdzem. On na koniu, ty leżąc w błocie.

Oj, nie lubił ten mój Kostuch księży. I nic dziwnego, bo kto ich niby lubił?

— Wybacz — powiedziałem. — Mój przyjaciel jest w gorącej wodzie kąpany. Ale wróćmy do rzeczy. Co to, kurwa twoja mać, ma być — podniosłem znowu głos i wskazałem stos przygotowany na rynku. — Czy ty myślisz, osłojebie, że to jest zabawa? Teatrum dla gawiedzi? Jak śmiesz palić kogoś bez zgody Officjum? Bez obecności licencjonowanego inkwizytora? Bez Sądu Bożego?

Ksiądz leżał w błocie i milczał. Bardzo słusznie, bo nienawidzę, kiedy mi się przerywa.

— Kto to jest? — czubkiem buta wskazałem na postać w białej koszuli.

Buty też miałem zabłocone ponad ludzkie pojęcie. Wiedziałem, że kobieta żyła, bo przed chwilą widziałem, jak spazmatycznie zagarnęła palcami ziemię.

— Czarownica — powiedział i słyszałem w jego głosie tajoną wściekłość. — Oskarżona o zesłanie uroków i trzy zabójstwa. Skazana przez ławę zgodnie z prawem i obyczajem...

— Od kiedy ława miejska ma prawo skazywać na stos i decydować, czy ktoś jest czarownikiem, czy nie?! — wrzasnąłem na niego.

Nie, żeby mnie to wszystko dziwiło. Na prowincji działy się gorsze rzeczy i nie mieliśmy innego wyjścia, jak przymykać oczy, kiedy się zdarzały. No, ale nie wtedy, kiedy zdarzały się w naszej obecności.

— Wy dobrzy jesteście, jak komuś krowę ukradli z pola — rzekł Kostuch — a nie brać się wam do czarów i herezji.

— Właśnie — przytaknąłem. — Miałem zostać tylko jedną noc w waszym parszywym miasteczku, ale czuję, że zabawię dłużej. Burmistrzu — spojrzałem na człowieczka, który stał przy nas i słuchał tej rozmowy, nie wiedząc, gdzie oczy podziać. — W imieniu Świętego Officjum obejmuję władzę do czasu wyjaśnienia wszystkich kwestii i wydania wyroku. Macie tu areszt?

— Jazzna spraw-wa, wielmożżż... — odpowiadał zgięty w głębokim ukłonie, i to mi się podobało.

— Zaprowadźcie tam kobietę, dajcie jej jeść, pić i niech nikt się nie waży nawet tknąć jej palcem. A dla nas — kwatera. Najlepsza, jaką macie. Aha, i jeszcze jedno. Na jutro, żeby stolarz wyrychtował mi stół. Długi na siedem stóp, szeroki na dwie. Na górze dwie żelazne klamry, na dole dwie następne. Każcie go wnieść do jakiejś izby w tym waszym areszcie. Jest tam palenisko albo kominek?

— Zzzz-najdź...

— Jutro o świtaniu chcę mieć wszystko gotowe. Protokoły z przesłuchania przez ławę są?

— Zzą, wielmożżżz...

— Dziś wieczorem chcę je widzieć w kwaterze. Zrozumiałeś wszystko?

— Tttak, wieee-el...

— To na co jeszcze czekasz?

Kostuch parsknął krótkim, złym śmieszkiem, a burmistrz zwinął połę kapoty i pogalopował przez błoto, jakby mu się paliło pod tyłkiem.

— A ona? — zapytałem, kręcąc głową, ale nie mógł mnie już usłyszeć.

— Podnieście ją — rozkazałem strażnikom — i zamknijcie w tym areszcie.

Chwycili glewie, jakby miały im się na coś przydać, i podskoczyli do leżącej kobiety. Szarpnęli ją za włosy i ramiona, aż krzyknęła głośno i jękliwie. Zdążyła osłonić piersi, bo koszula pękła z trzaskiem pod wpływem szarpnięcia. Twarz miała całą w błocie, ale nietrudno było zauważyć, iż to była ładna, młoda twarz. I ładne, młode piersi.

— Tylko jak mi się któryś do niej dobierze — powiedziałem bardzo cicho, ale strażnicy doskonale słyszeli — to własnoręcznie zedrę mu skórę ze stóp i podpiekę w ogniu. Zrozumiano?

Chwycili ją za ręce i za nogi jakoś tak ostrożniej niż przed chwilą i powlekli w stronę murowanego budyneczku po drugiej stronie rynku. Rozpaczliwie płakała.

— Teraz ty, klecho z błota — spojrzałem na księdza, który rozsądnie nie ruszył się z miejsca — możesz wstać.

Wstał, otrzepując i wycierając płaszcz, co wydawało się zadaniem beznadziejnym, bo cały był uwalany brunatno szarą mazią.

— Złożę oficjalną skargę na pańską działalność, inkwizytorze — powiedział i głos mu nawet nie zadrżał. — Zgodnie z artykułem dwunastym prawa o ściganiu czarowników...

Tym razem kopnąłem go prosto w twarz i poleciał na plecy już bez przednich zębów. Zeskoczyłem z siodła, błoto chlupnęło mi pod podeszwami, i nachyliłem się nad nim.

— Wiem, co mówi artykuł dwunasty — rzekłem, chwytając go za brodę. Teraz miał ją całą w czerwieni. Rzeczywiście wytłukłem mu dwa zęby. — Oraz wszystkie inne. A ty masz o świcie zjawić się na przesłuchaniu tej kobiety, zrozumiano? Jako, niech będzie, asystent kościelny. Wyrażam się jasno?

— Tak.

Gdyby nienawiść we wzroku mogła zabijać, leżałbym już martwy jak kamień. Baa, gdyby nienawiść we wzroku mogła zabijać, leżałbym już martwy jak kamień wiele lat temu! Nigdy się tym nie przejmowałem. Trzepnąłem go wierzchem dłoni w nos aż chrupnęła chrząstka.

— Tak jest, mistrzu inkwizytorze — podpowiedziałem, a on grzecznie powtórzył.

— O właśnie. — Odwróciłem się od niego, tylko po to, by zobaczyć, jak przez błocko na środku rynku biegnie kilkunastoletni chłopak i wrzeszczy:

— Wielmożni panowie, wielmożny burmajśter prosi na kwaterę.

###### \* \* \*

Kwaterą okazało się składające z trzech pokoików piętro gospody, z której naprędce wygoniono innych gości.

— Pościel — powiedział Kostuch z niedowierzaniem. — Jak ja dawno nie spałem w pościeli!

W moim pokoju, największym z wszystkich trzech, legały już na stoliku protokoły przesłuchania, obok oliwna lampka i zapasik oliwy, a także spory i mocno omszały gąsiorek wina.

— Mogę, Mordimer? — Kostuch spojrzał wygłodniałym wzrokiem, a ja skinąłem głową.

Łyknął potężnie, aż mu zagulgotało w gardle, a potem odjął gąsiorek od ust i przetarł je wierzchem dłoni.

— Boga się nie boją — powiedział z uczuciem.

— Takie złe? — zmarszczyłem brwi.

— Nie, Mordimer! Takie dobre! Istna małmazja.

— A skąd ty się nauczyłeś takich słów? Istna małmazja — powtórzyłem za nim i pokręciłem głową. — Zejdź lepiej do gospodarza i powiedz, że ma przynieść biegusiem kolację. Dla mnie dobrze wypieczony kapłon, kasza ze skwarkami, cebulowa polewka z grzankami i dzbanek świeżego, zimnego piwa. A bliźniakom niech podeśle jakąś dziewkę, bo w drodze rui już nie dawali spokoju tym swoim narzekaniem. Tylko... Kostuch. — Wstałem z zydla. — Żeby jej nie uszkodzili, pamiętaj.

— Nie, no jasne, Mordimer, co ty?

— Aha, już ja was znam, łajdaki. Żadnego umiaru w zabawie... Dobra, idź...

Usiadłem przy stoliku i zajrzałem do protokołów. Sądowy pisarz miał najwyraźniej kłopoty z kaligrafowaniem albo też nie był zupełnie trzeźwy, kiedy robił notatki, bo pergaminy były zabazgrane w niepojęty wręcz sposób. Na szczęście odcyfrowywanie podobnych gryzmołów należało do mojego wyszkolenia. Nie, żebym przepadał za tym zajęciem, ale cóż: mus to mus.

Lektura była na tyle ciekawa, że kiedy przyniesiono kolację, nawet nie oderwałem się od papierów. Prawą ręką przewracałem strony, a w lewej trzymałem kapłona (naprawdę był dobrze wypieczony!) i leniwie go sobie pogryzałem. Cebulowa zupa z grzankami stygła obok. Nic to, w razie czego przyniosą drugą...

W końcu odłożyłem papiery, odłożyłem też na tacę resztki kury i wyszedłem na korytarz. Zza drzwi bliźniaków dobiegały jakieś sapania, jęki i śmiechy. Westchnąłem i wszedłem. Na łóżku leżała dziewka w podkasanej koszuli, z obwisłymi piersiami wywalonymi na wierzch. Pierwszy uwijał się między jej nogami (nawet nie zdążył zdjąć spodni, tylko zsunął je do połowy ud), a Drugi siedział przy jej twarzy i leniwie bił ją po policzkach wyprężonym kutasem. Jak na takich małych ludków, bliźniacy mieli naprawdę potężne instrumenty, ale na dziewce nie zdawało się to robić większego wrażenia. Leżała spokojnie i tylko posapywała, a kiedy zobaczyła, że wchodzę, mrugnęła do mnie lewym okiem. Kostuch na razie siedział obok na zydlu i przypatrywał się wszystkiemu z głupim uśmieszkiem. Kostuch lubi patrzyć.

— Chodź — skinąłem, a on posłusznie wstał. Zamknąłem drzwi za nami i zostaliśmy na korytarzu.

— Ale dają, co Mordimer... — Kostuch wykrzywił twarz w uśmiechu.

I tak to właśnie jest. Biedny Mordimer pracuje i główkuje, jak zarobić pieniądze, a wszyscy wokół myślą tylko o zabawie.

— Słuchaj no — powiedziałem. — Słyszałeś kiedyś, żeby w Hezie skazano czarownicę, która nie przyznała się do winy?

Kostuch może nie dysponuje zbyt lotnym umysłem, ale z całą pewnością ma świetną pamięć. Potrafi cytować rozmowy, o których ja już nawet nie pamiętam, że się odbyły. Teraz na jego twarzy odbił się wysiłek twórczego myślenia. Mimo woli odwróciłem wzrok.

— Mam — rzekł radośnie. — Jedenaście lat temu sądzono Bertę Kramp, kramarkę. Trzy razy ją brali do mistrza, ale ona nic, Mordimer! — popatrzył na mnie ze zdumieniem.

— Nieźle — przytaknąłem.

Bo rzeczywiście nie zdarzało się prawie nigdy, by grzesznik nie pękł przy pierwszej, góra drugiej inwestygacji. Tylko prawdziwi zatwardzialcy tkwili w błędach nawet przy trzecim przesłuchaniu, ale zwykle ono okazywało się decydujące. A Berta Kramp wytrzymała trzy śledztwa. Zawsze twierdziłem, iż kobiety są twardsze niż mężczyźni. Mężczyźnie wystarczy pokazać rozpalony drut do przekłuwania jąder albo nadstawić nad przyrodzeniem kociołek z płynną siarką, by zaczął śpiewać jak z nut. A kobietę złamać już nie tak łatwo. Dziwne, prawda? Chociaż wasz uniżony sługa na wszystko miał swoje metody.

— Ale mieli na nią takie haki, że i tak ją spalili.

— Dzięki, Kostuch. Miłej zabawy.

Uśmiechnął się upiornie, a ja wróciłem do papierów. Oskarżona Loretta Alzig, wdowa, dwadzieścia sześć lat, żyła z majątku zmarłego męża, kupca zbożowego. Nie przyznała się do winy. Ani do morderstw, ani do uprawiania czarnej magii. A mimo to ją skazano. Gorzej, nie została poddana zwyczajowemu śledztwu. Mówiąc językiem prostych ludzi: nie torturowano jej. Dlaczego? Protokół pełen był luk, nie zadano podstawowych pytań, nie powiedziano nawet, jak umarli ci trzej mężczyźni. Nic o nich nie wiedziałem, poza tym, że przesłuchujący nazywali ich zalotnikami. A więc młoda, ładna wdówka miała trzech absztyfikantów. Dlaczego chciała ich zabić? Zapis testamentowy? O tym też nie było mowy w protokole. Pokręciłem głową. Ech, te miejskie sądy.

###### \* \* \*

Wstałem równo ze świtem. Słońce pobłyskiwało przez okiennice. Wiatr przegonił gdzieś ciężkie, burzowe chmury i kiedy otworzyłem okna, zobaczyłem, że rynek schnie w promieniach słońca. Zapowiadał się ładny, wrześniowy dzień. Dobra pora na auto da fe. Ziewnąłem i przeciągnąłem się, aż chrupnęło mi w kościach. Dojadłem wczorajszą, zimną zupę cebulową i zagryzłem ją resztkami kaszy. Czas wstawać do pracy, biedny Mordimerze — pomyślałem. Wszedłem do pokoju bliźniaków. Leżeli na łóżku spleceni z tą swoją dziwką, jak wielkie, trójgłowe zwierzę. Pierwszy wypinał w stronę drzwi blady, krostowaty tyłek i akurat pierdnął przez sen, kiedy wchodziłem. Szturchnąłem go czubkiem buta (karczmarz zapewniał, że sam je wyczyści i faktycznie, błyszczały, jak psu jajca), a on zerwał się na równe nogi. Chyba jeszcze był trochę wcięty, bo zachwiał się na nogach.

— Budź Kostucha i za dwa pacierze macie być na dole — powiedziałem sucho.

Wyszedłem przed karczmę (może śniadanko, dostojny mistrzu? — usłyszałem głos karczmarza, ale tylko machnąłem ręką) i zacząłem odmawiać Ojcze Nasz. Przy drugim *„daj nam siłę, Panie, byśmy nie wybaczali naszym winowajcom!”*, usłyszałem na schodach tupot, i bliźniacy wypadli na próg. Kostuch pojawił się dopiero przy *„Amen”.* Ale jednak zdążył.

Areszt mieścił się w podziemiach pod ratuszem. Ha, ratusz to szumnie powiedziane! Był to jednopiętrowy, murowany budynek z ciemnożółtej cegły, zdobiony drewnianymi gontami. W sali na parterze czekali już na nas brodaty ksiądz, burmistrz i dwóch strażników. Tym razem bez glewi.

— Dddostojjjjni pppa-panowie — zająknął się burmistrz, a ksiądz skinął nam głową, patrząc spode łba.

Przyjrzałem mu się i zauważyłem, że ma napuchnięty nos, a wargi pokryte świeżymi strupami.

— Siadajcie — wskazałem miejsca przy okrągłym stole.

Na blacie leżał talerz z zimnym mięsem i pszennymi plackami, a obok stał garniec piwa i gąsiorek, chyba z wódką. Odszpuntowałem go i powąchałem. O tak, to była mocna, śliwkowa wódka. Cóż, być może w trakcie przesłuchania przyda się tym z nas, którzy mają słaby żołądek.

— Przeczytałem protokoły. — Rzuciłem na stół plik papierów. — To jest gówno, panowie.

Ksiądz chciał już coś powiedzieć, ale w porę kłapnął zębami. Być może nie chciał znowu mieć przetrąconego nosa.

— W związku z tym, zanim zejdziemy do oskarżonej, chcę, żebyście udzielili mi informacji. Liczę, że będą wyczerpujące oraz szczere.

— Z-z-zzapew — powiedział burmistrz i chciał coś dodać, ale uniosłem dłoń.

— Zasady są takie: ja pytam, wy odpowiadacie. Zrozumiano? Kim byli trzej zamordowani?

— Di-di-di — zaczął burmistrz.

— Dietrich Golz, handlarz końmi. Balbus Brukdoff, mistrz farbiarski i Peter Glaber, mistrz rzeźnicki — odparł zamiast niego ksiądz. — Dwaj wdowcy i kawaler.

— Macie tu farbiarnię? — zdziwiłem się. — No proszę. Jak zginęli?

— Zża-zża-zża...

Spojrzałem pytająco na księdza.

— Zżarły ich robaki — wyjaśnił niechętnie i jakby z obawą w głosie.

— Wszy z waszej gospody? — zażartowałem sobie.

— Kiedy umarli, wyszły z nich długie, grube, białe glisty — rzekł ksiądz i przeżegnał się szybko. — Z wszystkich otworów.

Przyglądałem im się chwilę w milczeniu. Burmistrz uciekał wzrokiem, a ksiądz wręcz przeciwnie — patrzył mi prosto w oczy. Wziąłem ze stołu pszenny placek i ugryzłem. Dobry, świeżo wypieczony.

— Kto był świadkiem tego wydarzenia?

— W przypadku Golza tylko jego stajenny, ale robaki wypełzające z ciał Brukdoffa i Glabera widziało kilkanaście osób...

— Jjjja...

— Gdzie są te robaki?

— Schowały się w ziemi.

— Jasne — powiedziałem. — Kostuch?

— Nie pamiętam nic takiego, Mordimer — odparł, tak jak się spodziewałem.

— Czarna magia, księże, co?

— Tak sądzę — przytaknął poważnie.

— Kto wie... — odparłem w zadumie i podrapałem się po brodzie. — Chcieli się z nią żenić?

— Ttt-ttak.

— Zapisali jej coś w testamentach?

Burmistrz spojrzał na mnie, jakby po raz pierwszy usłyszał słowo „testament”, a ksiądz wzruszył ramionami.

— Chyba coś tam zapisali — rzekł niepewnie.

— A więc nic cennego, jak sądzę — skwitowałem. — Co znaleziono w czasie przeszukania? Pentagram? Zakazane księgi? Trucizny? Lalki?

— Nnn-nic.

— Nic — powtórzyłem. — Zabawne, prawda, Kostuch?

Nie odpowiedział, bo i nie spodziewałem się po nim odpowiedzi.

— Podsumujmy, co usłyszałem. — Wstałem od stołu, biorąc następny placek, bo były naprawdę smaczne. — W mieście ginie trzech szanowanych obywateli. Ginie, przyznaję, w niecodzienny sposób. Oskarżona o morderstwa dokonane za pomocą czarnej magii zostaje młoda wdowa, do której wszyscy trzej się zalecali. Nie ma śladów jej przestępstwa, nie ma motywów, podejrzana nie przyznaje się do winy. A wy nie wzywacie biskupiego inkwizytora, ba!, nie sprowadzacie chociażby kata, do czego, nawiasem mówiąc, i tak nie mieliście w tym wypadku prawa, i nie przesłuchujecie jej we właściwy sposób, tylko skazujecie od razu na stos. Wyrok wydany zostaje jednomyślnie przez burmistrza, dwóch ławników i księdza proboszcza, który występował jako asystent kościelny. Czy coś się nie zgadza w tym, co powiedziałem?

— Wszy-wszy...

— A więc: zgadza się. No cóż, czas porozmawiać z oskarżoną, prawda?

Skinąłem na Kostucha, bo obecność mego towarzysza przydaje się przy przesłuchaniach. Sam widok jego twarzy wywołuje u oskarżonych jakąś dziwną chęć zwierzeń.

Burmistrz zerwał się i odpiął od pasa klucz, którym otworzył solidne, dębowe drzwi w rogu pokoju. W mrok prowadziły strome, kamienne schody.

Areszt miejski składał się z trzech odgrodzonych przerdzewiałymi kratami cel (wszystkie oprócz tej jednej były puste) i większej komnaty, w której ustawiono zamówiony przeze mnie stół oraz mały stolik i cztery zydle. Na stoliku zauważyłem gęsie pióro, kałamarz oraz zwój czystych papierów i pięcioramienny świecznik z wypłakanymi do połowy grubymi, woskowymi świecami. W rogu komnaty stał żeliwny piecyk pełen żarzących się różowo węgli. Ale i tak było tam pioruńsko zimno i wilgotno.

Spojrzałem w głąb celi. Jasnowłosa kobieta, w sztywnej od błota koszuli, siedziała na służącym jej za posłanie wiechciu słomy i patrzyła na mnie ze strachem w oczach. Nasze spojrzenia spotkały się na moment.

— Wyprowadźcie oskarżoną — rozkazałem, a jeden ze strażników szybko podskoczył do zamka i zaczął się siłować z opornym kluczem.

Patrzyłem na niego przez chwilę, a potem usiadłem na zydlu przy stoliku.

— Kostuch, burmistrzu, księże — zaprosiłem pozostałych.

Strażnik wywlókł kobietę na środek pokoju. Nie krzyczała ani nie opierała się. Dawała sobą powodować, jakby była tylko szmacianą lalką.

— Połóżcie ją na stole i przy wiążcie dłonie i kostki do klamer — powiedziałem.

Strażnik zacisnął więzy, a ona syknęła w pewnym momencie z bólu.

— Nie za mocno — powiedziałem łagodnie.

— Wyjdź — rozkazałem, kiedy już skończył.

Wstałem od stolika i zbliżyłem się do niej, tak, aby mogła dobrze mnie widzieć. Próbowała unieść głowę, ale nie za bardzo jej to wychodziło, bo więzy mocno trzymały.

— Nazywam się Mordimer Madderdin — rzekłem — i jestem licencjonowanym inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Przybyłem tu, aby ci pomóc, moje dziecko.

Przez moment coś w rodzaju nadziei pojawiło się na jej twarzy. Ileż ja razy obserwowałem podobny widok! Ale zaraz potem ta nadzieja zgasła i kobieta się nie odezwała.

— Jesteś bardzo piękną kobietą, Loretto — powiedziałem. — A ja jestem przekonany, że twoja niewinność dorównuje twej piękności — usłyszałem, że ksiądz głęboko wciągnął powietrze. — Jednak musimy przejść przez ten nieprzyjemny proces. Rozumiesz, moje dziecko, ale takie są wymogi prawa...

— Tak — odezwała się wreszcie — tak, rozumiem.

Piękny, głęboki głos, a na samym jego dnie wibrowała jakaś niepokojąca nutka. Nie dziwiłem się, że miała trzech zalotników należących do najbogatszych obywateli miasteczka. Sądzę, że nawet szlachcic nie powstydziłby się takiej żony. Zresztą znałem szlachciców, którzy żon powinni raczej szukać w chlewie, a nie w mieszczańskich domach.

— Mam nadzieję, Loretto, że po naszej rozmowie wrócisz spokojnie do domu...

— Zniszczyli mój dom — wybuchnęła nagle i usiłowała podnieść głowę, ale znowu więzy ją powstrzymały. — Rozkradli wszystko, poniszczyli... — zaszlochała krótko.

— To prawda? — Obróciłem wzrok na burmistrza. — Od czego masz strażników, człowieku?

Nic nie odpowiedział, więc zwróciłem się z powrotem w stronę Loretty.

— Jeśli okażesz się niewinna, miasto poniesie wszelkie koszty — powiedziałem — i wypłaci ci odszkodowanie. Tak mówi prawo.

Tym razem burmistrz westchnął głęboko, a ja uśmiechnąłem się w myślach.

— Jest tylko jeden warunek naszej rozmowy, Loretto — ciągnąłem. — Wiesz chyba jaki?

— Mam mówić prawdę — powiedziała cicho.

— Tak, moje dziecko. Przecież Pismo mówi wyraźnie: *„I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi”*. Znasz Pismo, Loretto?

— Znam, panie.

— Wiesz więc, że Pismo mówi również: *„Jam jest pasterz dobry, a dobry pasterz duszę swą daje za owce swoje* ”. Ja jestem tym pasterzem, Loretto, i zjawiłem się, by dać za ciebie duszę. Aby cię wyzwolić. I wierz mi, że uczynię to...

W taki lub inny sposób — dodałem w myślach.

— Dobrze — powiedziałem. — Rozpocznij spisywanie protokołu, księże.

Czekałem spokojnie, aż ksiądz zapisze wszystkie nieodzowne formuły. Tego a tego dnia i roku pańskiego, w tym a tym mieście, ci a ci ludzie stawili się na rozprawie, by osądzić... I tak dalej, i tak dalej. Trwało to dość długo, więc miałem okazję, by przyjrzeć się dokładnie Loretcie. Leżała z zamkniętymi oczami, ale miałem dziwne wrażenie, że czuje mój wzrok. Z całą pewnością była piękna. Jasne, gęste włosy i delikatna twarz z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi, które tylko dodawały uroku. Kiedy mówiła, zauważyłem, że miała śliczne, jasne zęby, co, wierzcie mi, w naszych złych czasach jest wyjątkiem. Kształtne dłonie i stopy, smukłe łydki, duże, jędrne piersi... O tak, mili moi, Loretta Alzig nie pasowała do Thomdalz i ciekaw byłem, czy sama zdaje sobie z tego sprawę. Rzecz jasna, przesłuchiwałem już równie piękne kobiety, a może piękniejsze niż ona. Podstawowa nauka inkwizytorska brzmi: nie zwracaj uwagi na powabne kształty. *„Nie będziecie mieć względu na osobę żadnego” —* mówi Pismo i dodaje: *„Nie sądźcie według pozorów”.*

— Loretto — powiedziałem, gdy ksiądz skończył już formalności. — Ciąży na tobie oskarżenie o czarostwo i potrójne morderstwo. Czy przyznajesz się do któregoś z zarzutów?

— Nie — odparła nadspodziewanie mocnym głosem i spojrzała na mnie.

Jej oczy były pełne błękitu.

— Czy znałaś Dietricha Golza, Balbusa Brukdoffa i Petera Glabera?

— Tak. Wszyscy trzej chcieli mnie pojąć za żonę.

— Czy zapisali ci korzyści w testamencie?

Milczała chwilę.

— Zrozumiałaś pytanie?

— Tak — odparła. — Otrzymałam komplet srebrnych sztućców od Balbusa. Cztery widelce, noże oraz nożyki do owoców.

— Czy to wszystko?

— Dietrich zapisał mi siwą klaczkę, ale jego syn mi jej nie dał, a ja się nie dopominałam.

Znałem, co prawda, ludzi, którzy zabijali dla pary dobrych butów, ale jakoś nie przekonywało mnie, by Loretta mogła zamordować trzech ludzi dla kompletu srebrnych sztućców. Ile one mogły być warte? Trzydzieści koron? Może trzydzieści pięć...

— Nic więcej?

— Nic, panie.

— Czy nastawali na twoją cześć, grozili ci?

— Nie. — Jakby lekki uśmiech wykwitł na jej ustach. — Oczywiście, że nie.

Oczywiście. Czy wyobrażacie sobie, by piękna, młoda kobieta pozbywała się dobrowolnie trzech zakochanych i rywalizujących ze sobą bogaczy (przynajmniej byli bogaczami, jak na miejscowe warunki). Kto będzie zarzynał kurę znoszącą złote jaja?

— Czy otrzymywałaś od wyżej wymienionych, Dietricha Golza, Balbusa Brukdoffa i Petera Glabera, prezenty? Cenne przedmioty lub gotówkę?

— Tak — odrzekła. — Dietrich spłacił długi po moim zmarłym mężu, od Balbusa dostałam pierścionek złoty ze szmaragdem, suknię z adamaszku i wełniany płaszcz ze srebrną zapinką, Peter kupił mi...

— Wystarczy — przerwałem jej. — Czy którykolwiek żądał zwrotu prezentów?

— Nie. — Znowu ten leciutki uśmieszek.

Spojrzałem w stronę księdza i burmistrza. Ksiądz siedział zasępiony, bo rozumiał chyba w jakim kierunku zmierza śledztwo, a burmistrz słuchał wszystkiego z głupkowato rozdziawionymi ustami.

— Czy słyszałaś o czarostwie, Loretto?

— Tak.

— Czy wiesz, że używanie czarów jest grzechem śmiertelnym karanym na ziemi przez Święte Officjum, a po śmierci przez Boga Wszechmogącego?

— Tak.

— Czy znałaś albo znasz kogoś, kto rzucał czary lub uroki?

— Nie.

— Czy potrafisz wytłumaczyć, dlaczego twoi zalotnicy, Dietrich Golz, Balbus Brukdoff i Peter Glaber, umarli w męczarniach, a z ich ciał wypełzły białe robaki?

— Nie.

— Czy miałaś kiedyś włosy lub paznokcie któregoś z nich?

— Nie!

— Czy lepiłaś lalki w wosku mające ich wyobrażać, albo rzeźbiłaś je w drewnie, czy innym materiale?

— Nie! Nie!

— Czy modliłaś się o ich śmierć?

— Nie, na Boga!

Mówiła prawdę. Wierzcie mi. Dobry inkwizytor poznaje to w okamgnieniu. Być może trudniej bywa, kiedy chodzi o chytrego kupca, wykształconego księdza lub mądrego szlachcica. Ale nikt mi nie powie, że Mordimer Madderdin, inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu, nie rozpoznałby kłamstwa w słowach małej mieszczki z zapadłego miasteczka.

— Czy w domu oskarżonej znaleziono podejrzane przedmioty? Takie, które mogłyby służyć do zadawania uroków i odprawiania czarów? — Zwróciłem się w stronę księdza i burmistrza, chociaż znałem odpowiedź.

— Nie — odparł ksiądz za nich obu.

— Zarządzam przerwę w przesłuchaniu — powiedziałem. — Odprowadźcie oskarżoną do celi.

Strażnik rozwiązał Lorettę, tym razem nieco ostrożniej niż poprzednio, a my udaliśmy się na górę. Kazałem Kostuchowi, by nalał mi piwa, i łyknąłem sobie porządnie.

— Wasze oskarżenia walą się jak domek z kart — powiedziałem, a Kostuch pozwolił sobie na króciutki rechot. — Chociaż ktoś w tym miasteczku naprawdę bawi się czarami...

Burmistrz wyraźnie pozieleniał. I nic dziwnego. Nikt nie chce mieć czarownika w sąsiedztwie, chyba że ten czarownik właśnie skwierczy na stosie. A i wtedy, wierzcie mi na słowo, bywa to niebezpieczne.

— I z pewnością z waszą szczodrobliwą pomocą — nie wykrzesałem w głosie nawet grama ironii — uda nam się odkryć, kto to jest. Lecz zanim postawię swoją reputację, że nie jest to Loretta Alzig, przeszukamy jej dom. Czy co tam z jej domu raczyliście pozostawić...

— Ppprze-pprzesz... — zaczął burmistrz.

— Wiem, że przeszukaliście — odparłem — i ufam nawet, że znaleźliście wszelkie cenne przedmioty. Ale ja zajrzę tam raz jeszcze. Pierwszy — obejrzałem się na bliźniaków — idziesz ze mną i Kostuchem, a ty, Drugi, możesz się napić w gospodzie.

— Dziękuję, Mordimer — powiedział, chociaż tak jak i ja, zdawał sobie sprawę z faktu, że picie w gospodzie również może być pracą.

###### \* \* \*

Dom Loretty Alzig okazał się parterowym drewnianym budynkiem o szerokich okiennicach, które teraz smętnie zwisały na zerwanych zawiasach. Budynek otoczony był płotem, po lewej jego stronie zauważyłem podeptane grządki, na których rosły niegdyś kwiaty i zioła. Drzwi były do połowy uchylone, a wnętrze przedstawiało obraz nędzy i rozpaczy. Nie tylko zniknęły wszystkie cenniejsze przedmioty (widziałem ślady po kilimach, dywanach i lampach), ale to, co zostało, było zniszczone. Połamane krzesła, porąbany siekierą stół, futryny wyrwane ze ściany... Cóż, nawet jak Loretta opuści areszt, nie za bardzo będzie miała dokąd wracać.

— Ładnie, ładnie — powiedziałem, a burmistrz skulił się pod moim wzrokiem.

— Wy zostajecie na zewnątrz — rozkazałem, patrząc na księdza i burmistrza. — Pierwszy ze mną.

Zwiedziliśmy cały dom. Sypialnię, z której próbowano wynieść łoże, a kiedy rzecz się nie udała, porąbano je na kawałki. Kuchnię, pustą, z podłogą zasłaną skorupami pobitych naczyń. Pełen pajęczyn strych.

— Nic, Mordimer — rzekł Pierwszy. — Nic tu nie ma.

— Zobaczmy więc piwnicę — powiedziałem.

Klapa do piwnicy znajdowała się obok kuchni, w komórce o ścianach i podłodze wybrudzonych węglem. Szarpnąłem za metalowy uchwyt i klapa, ciężka jak cholera, podniosła się ze zgrzytnięciem. W ciemność prowadziły stare, drewniane schody. Wysłałem Pierwszego po lampę i zeszliśmy przy mdłym światełku. Piwnica była spora, składała się z wędzarni oraz składu pełnego węgla i równo przyciętych drewnianych bali. Pierwszy z przymkniętymi oczyma szedł wolno wzdłuż ścian, wodząc palcami po ich powierzchni. Nie przeszkadzałem mu pytaniami, bo wiedziałem, że musi się skoncentrować. Tylko koncentracja pomoże mu w znalezieniu tego, czego szukamy.

— Jessst — powiedział w końcu z satysfakcją. — Tu, Mordimer.

Zbliżyłem się i przyjrzałem ścianie.

— Nic nie widzę. — Wzruszyłem ramionami, ale nie zauważył, bo stał obrócony do mnie plecami.

— Jest, jest, jest — niemalże zaśpiewał, a potem zaczął delikatnie wodzić palcami, naciskając kamień to tu, to tam.

Czekałem cierpliwie, aż wreszcie Pierwszy stęknął, wbił paznokcie w mur i z wysiłkiem wyciągnął jedną z cegieł. Przyświeciłem lampką i zobaczyłem, że cegła skrywała małą, stalową dźwigienkę. Pierwszy szarpnął nią, a wtedy coś w ścianie chrupnęło i otworzyły się tajne drzwi prowadzące do niewielkiej komórki.

— Kto by pomyślał? — Pokręcił głową Pierwszy. — Na takim, prawda, zadupiu!

— Nooo — odparłem, bo faktycznie trzeba być dobrym rzemieślnikiem, by wykonać tak sprytnie zabezpieczony schowek.

Jasne, że w bogatym, kupieckim domu w Hezie byłoby to zupełnie normalne, ale tu nie oczekiwaliśmy takiej niespodzianki. Jednak prawdziwą niespodzianką było to, co ujrzałem w środku. Na równo zawieszonych półkach leżały słoiczki z ziołami, stały buteleczki z różnokolorowymi miksturami, a na wbitych w ścianę haczykach suszyły się następne rośliny.

— Proszę, proszę — powiedziałem i przyjrzałem się roślinom. — Tojad, sporysz, wilcza jagoda, ładnie, Pierwszy, co?

— Ładnie, Mordimer — przytaknął. — Ale właściwie: co ładnie? — spytał po chwili zastanowienia.

— Nasza śliczna Loretta jest trucicielką, mały — powiedziałem. — A cóż to takiego?

Zajrzałem do słoiczka i powąchałem zawartość.

— Shersken — naprawdę się zdziwiłem. — Skąd ona ma shersken?

Shersken był mieszaniną pewnych ziół, przygotowywaną w specjalny i dość skomplikowany sposób. Mieszaniną, którą bardzo sobie ceniłem, jako przydatną broń. Bowiem shersken ciśnięty w oczy wroga powodował niemal natychmiastową, choć tymczasową, ślepotę. Jednak mieszanina miała i inne walory. W małych dawkach, pita jako gorący wywar, leczyła wzdęcia i pomagała na kaszel.

W nieco większych dawkach powodowała powolną śmierć. Człowiek, któremu dodawano shersken do jedzenia lub napojów, wypalał się powoli, niczym woskowa świeca i tylko fachowiec potrafił poznać, że zabija go trucizna.

— Czyli to ona — powiedział Pierwszy.

— Zgłupiałeś? — westchnąłem. — Od kiedy pod wpływem trucizn twoje ciało zżerają robale, co?

— Ale spalimy ją, prawda, Mordimer?

— Na miecz Pana naszego! — nie wytrzymałem. — Dlaczego ją mamy spalić, mały? Ona jest cholerną trucicielką, a nie żadną czarownicą!

Cofnąłem dłoń z latarnią i zobaczyłem, że Pierwszy nie ma najmądrzejszego wyrazu twarzy.

— Ale kogoś spalimy, Mordimer, prawda?

— Ano tak — powiedziałem, zamykając drzwiczki. — Kogoś na pewno spalimy. Ale teraz morda w kubeł. Nic nie znaleźliśmy, zrozumiano?

Pokiwał gorliwie głową i dokładnie wpasował wyjętą z muru cegłę na właściwe miejsce.

###### \* \* \*

W celi Loretty śmierdziało jak diabli. Cóż, nawet piękne kobiety muszą gdzieś załatwiać naturalne potrzeby, a ona miała do dyspozycji tylko przerdzewiały cebrzyk. I tak dobrze, bo widziałem już więźniów śpiących na klepisku stworzonym z warstwy od lat nie sprzątanych i zaschniętych odchodów. Można powiedzieć, że tutaj miała jaśniepańskie wygody.

Kiedy usłyszała hurgot klucza w zamku (strażnik znowu sobie nie mógł z nim poradzić), poderwała się ze słomy, na której leżała.

— Jesteś wolna — powiedziałem. — Oskarżenie o czarostwo i zabójstwa zostaje oddalone.

Patrzyła na mnie, jakby do końca nie rozumiała, co mówię. Zgarnęła z czoła niesforny kosmyk splątanych włosów.

— Tak po prostu? — zapytała wreszcie cicho.

— A cóż więcej można powiedzieć? — Wzruszyłem ramionami. — Umiesz pisać?

Skinęła głową.

— Przygotuj więc listę wyrządzonych ci szkód. Dopilnuję, aby kasa miejska wypłaciła się co do grosza.

Uśmiechnęła się, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że to wszystko jest prawdą, a nie żartem bądź torturą.

— Przygotuję — powiedziała z zawziętością w głosie. — O, na pewno przygotuję...

— Aha i jeszcze jedno — powiedziałem, stojąc już na progu. — Twoja piwnica nie jest najbezpieczniejszym miejscem pod słońcem. Na twoim miejscu nie schodziłbym do niej bez zbędnej potrzeby.

Nie zadałem sobie nawet trudu, by obejrzeć się i zobaczyć jej minę.

Teraz mogłem spokojnie wrócić do oberży. Drugi siedział pijany w sztok i popijał na przemian to z kufla pełnego piwa, to z kubka pełnego gorzałki. Opowiadał jakąś wielce nieprzyzwoitą historię, a jego współbiesiadnicy zaśmiewali się do rozpuku. Drugi, jeśli tylko chce, potrafi zjednywać sobie ludzi. To przydatne w naszym fachu. Teraz siedziało przy jego stole sześciu mężczyzn, i założę się, że żaden z nich nie pamiętał już, iż Drugi jest pomocnikiem inkwizytora. Ciekaw tylko byłem, czy jego pijaństwo na coś przyda nam się w pracy. Znając Drugiego, mogłem mieć nadzieję, że jednak się przyda.

Wszedłem do oberży, starając się nie zwracać niczyjej uwagi, ale Drugi oczywiście dostrzegł mnie i ledwo zauważalnie skinął głową. Wspiąłem się po schodach do mojego pokoju i położyłem w butach na łóżku. Chciało mi się spać, ale wiedziałem, że jeszcze nie zakończyliśmy dnia. Potem będzie czas na sen, dobre picie, dobre żarcie, a może i małe co nieco. Chociaż kiedy przypomniałem sobie dziwkę, jaką burmistrz sprowadził chłopakom, uznałem, że lepszą zabawę można mieć z kciukiem i jego czterema córkami.

Już po chwili usłyszałem ciche pukanie i do środka wszedł Drugi. Teraz nie sprawiał wrażenia ani pijanego, ani rozbawionego.

— Co tam, mały? — zapytałem. — Siadaj sobie.

Usiadł na zydlu, potrząsnął butelką, po czym odszpuntował ją i łyknął solidnie.

— Jak już zacznę, to nie mogę przestać — powiedział tonem wyjaśnienia. — Bałem się podpytywać za bardzo, ale coś tam niby wiem...

— No? — zachęciłem go.

— Jest taki człowiek w miasteczku. Niby lekarz, podobno go kiedyś nawet wzywali do okolicznej szlachty. Ma książki, Mordimer, dużo książek...

— Ja też mam książki w Hezie. — Wzruszyłem ramionami. — I co z tego?

— Ty tak, ale tutaj? Mówią też, że smalił cholewki do tej małej, ale raczej był niby nie zanadto śmiały...

— To już coś — powiedziałem.

— I najlepsze, Mordimer — uśmiechnął się i pstryknął palcami.

— Wal.

— To brat pieprzonego burmajstera. Przyrodni, bo przyrodni, ale zawsze niby brat.

— Ha! — Spuściłem nogi z łóżka. — Dobrze się spisałeś, mały. Idź teraz spokojnie pić, a my złożymy wizytę panu doktorowi. Jak wszystko dobrze pójdzie, niedługo rozpalimy tu przyzwoity stos. Albo w Hezie — dodałem po chwili.

Doktor mieszkał niedaleko rynku, więc konie, rzecz jasna, zostawiliśmy w stajni. Niech sobie odpoczywają i żrą smaczny owiesek, bo niedługo czeka je znowu długa droga. I tak dobrze, że słońce wysuszyło nieco te przeklęte błota, i miałem nadzieję, że dalszą część podróży odbędziemy w przyzwoitszych warunkach. No, ale wcześniej należało załatwić wszystkie sprawy tutaj, w tym całym Thomdalz. Swoją drogą, co za barbarzyńska nazwa, mili moi.

Szliśmy przez rynek, a ja widziałem ścigające nas spojrzenia. Nie, żeby ktoś przyglądał się jawnie i bezczelnie, stał, mrużąc ślepia i obserwując nasze kroki. Co to, to nie, moi drodzy. Ludzie wyglądali zza okiennic, wychylali cichcem głowy z zaułków. Niedobrze jest być zbytnio ciekawym inkwizytorskiej pracy, bo zawsze inkwizytor może zaprosić do siebie, prawda? A przynajmniej tak właśnie sobie to wszystko wyobrażają prostacy.

Dom doktora był murowany i solidny. Zbudowany z dobrej, czerwonej, równiutko ułożonej cegły. Posiadłość otaczał drewniany płot, wysoki, bo sięgający ciut powyżej mojej głowy. W sadzie rosło kilka zdziczałych jabłonek i jedna wiśnia obsypana jak trądem zeschłymi, małymi wisienkami.

— Zawołany ogrodnik z doktora — rzekł Kostuch.

Pchnąłem drewnianą furtę i weszliśmy do ogrodu. Z rozchwierutanej budy wyskoczył pies o zjeżonej, skołtunionej sierści. Nawet nie zaszczekał, ani nie zawarczał, tylko od razu rzucił się na nas. Nie zdążyłem nic zrobić, a już usłyszałem cichutkie zawodzenie i grot trafił zwierzę prosto w pierś. Pies skręcił się w powietrzu i zwalił na ziemię martwy, z pierzastym bełtem sterczącym wśród brudnego futra.

— Dobra robota, mały — powiedziałem.

Weszliśmy na ganek po drewnianych, wygładzonych czasem i podeszwami butów schodach. Zastukałem silnie do drzwi. Raz, drugi, a potem trzeci.

— No cóż, Kostuch... — powiedziałem, ale nie zdążyłem dokończyć, kiedy ze środka usłyszeliśmy człapanie, a potem głos, który brzmiał jakby ktoś przeciągał pilnikiem po szkle.

— Kogo diabli niosą?

— Otwieraj, człowieku — powiedziałem. — W imieniu Świętego Officjum.

Za drzwiami zapanowała cisza. Długa cisza.

— Kostuch — rzekłem spokojnie. — Będziesz jednak musiał...

— Już otwieram — powiedział głos ze środka. — Chociaż nie wiem, czego może chcieć u mnie Święte Officjum.

Usłyszeliśmy chrobot odsuwanej zasuwy. Jednej, drugiej, potem trzeciej. Jeszcze potem szczęknął klucz przekręcany w zamku.

— Twierdza, co? — zadrwił Kostuch.

Drzwi uchyliły się i zobaczyłem mężczyznę o chudej, porośniętej siwawą szczeciną twarzy. Miał czarne, bystre oczy.

— Niech no się przyjrzę... Taaak, widziałem was, mistrzu inkwizytorze, na rynku. — Usłyszeliśmy brzęk zwalnianego łańcucha i drzwi otworzyły się szerzej. — Zapraszam do środka.

Z wnętrza buchnęło smrodem... I to nie zwyczajnym smrodem gnoju, niepranej odzieży, niemytych ciał, czy zepsutego pożywienia, którego można by się spodziewać. O, nie, moi drodzy, to był inny smród. W tym domu warzono zioła, palono siarkę, stapiano ołów. Nasz doktor zajmował się widać i medycyną, i alchemią. To zresztą często szło w parze, a Kościół nie widział w tym nic złego. Do czasu, rzecz jasna.

— Proszę, proszę... — Doktor zobaczył nagle twarz Kostucha i głos uwiązł mu w gardle.

Weszliśmy do sieni, a potem do wielkiego, zagraconego pokoju. Naczelne miejsce zajmował ogromny stół, a na nim piętrzyły się retorty, butelki i buteleczki oraz słoiki i kociołki. Nad dwoma palnikami, jednym dużym, a jednym maleńkim, coś wisiało w kotłach, bulgotało i wydobywał się stamtąd duszący smród. Zobaczyłem kilka rozrzuconych ksiąg, w rogu pokoju, w sporym stosie leżały następne. W klatce siedział przerażony szczur o małych, błyszczących oczkach, a na krawędzi stołu leżała zręcznie spreparowana głowa lisa. W ciemnym kącie szczerzył zęby wypchany wilczek. Zbliżyłem się i zobaczyłem, że wypychacz był prawdziwym mistrzem w swoim fachu. Szczenię wyglądało jak żywe, nawet cytrynowo żółte, szklane ślepia zdawały się pałać morderczym blaskiem.

— Świetna robota — powiedziałem.

— Miło mi — odchrząknął gospodarz. — Pozwólcie, mistrzu, że się przedstawię. Jestem Joachim Gund, doktor medycyny Uniwersytetu w Hez-hezronie i przyrodnik.

— Cóż sprowadziło uczonego do takiego miasteczka? — zapytałem uprzejmie.

— Pozwólcie, panowie — chrząknął znowu — do innej izby. Nie jestem zwyczajny gości, więc tak tu wszystko wygląda...

— Widziałem gorsze rzeczy — odparłem, a Kostuch roześmiał się.

— Tak, tak. — Doktor wyraźnie pobladł, chociaż miał ziemistą cerę.

Pokoik, do którego nas wprowadził, był również nad wyraz zagracony, ale przynajmniej nie śmierdziało tam tak bardzo, jak w dużej izbie. Kostuch i bliźniak usiedli na wielkiej, okutej mosiądzem skrzyni, ja rozparłem się w obstrzępionym fotelu, a doktor przycupnął na zydlu. Wyglądał niczym chudy, wygłodzony ptak, który zaraz zerwie się do lotu.

— Czym mogę wam służyć, dostojny mistrzu? — zapytał. — Może naleweczki?

— Dziękuję — odparłem. — Łatwo się chyba domyślić, że zgony Dietricha Golza, Balbusa Brukdoffa i Petera Glabera, dobrze zapamiętałem nazwiska, prawda?, wzbudziły niepokój Świętego Officjum. Rad bym wiedzieć, co człowiek uczony, jak wy, sądzi o tych przypadkach?

— Ha! — Zatarł dłonie, mimo że w izbie było ciepło.

— Od początku mówiłem, że Loretta jest niewinna, ale kto by tam chciał słuchać...

— Komu mówiliście? — zagadnął niewyraźnie Kostuch, bo obgryzał sobie właśnie paznokieć.

— Aaaa... komu? — stropił się wyraźnie doktor. — Tak w ogóle mówiłem. To wszystko ludzka głupota. Bajędy. Wymysły. Fantasmagorie. — Spojrzał na mnie, jakby chcąc się upewnić, czy rozumiem ostatnie słowo.

Rozumiałem.

— Czyli: nic się nie stało? — uśmiechnąłem się łagodnie.

— Nie tak, żeby nic, bo pomarli. Ale z naturalnych przyczyn mistrzu! Peter dawno chorował na kaszel i spluwał krwią, Dietrichowi nie raz przystawiałem pijawki, tymczasem Balbus obżerał się do nieprzytomności, a miał kłopoty z wypróżnianiem. Źle żyli, mistrzu. Niezdrowo.

— Taak — pokiwałem głową. — A białe, grube robaki?

— Robaki — wypluł to słowo, jakby było nieprzyzwoite. — Czego to ludziska nie wymyślą?

— Na przykład wasz brat, burmistrz — poddałem.

— No tak — przyznał niechętnie. — Ale ja w to nie wierzę.

— Nie wierzycie — powtórzyłem — no cóż... Pozwolicie, że rozejrzymy się trochę?

— Rozejrzycie? — Znowu pobladł. — Ja nie wiem, czy macie...

— Mamy — powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. — Wierzcie, że bardzo mamy.

— Cóż. — Zatarł po raz kolejny dłonie. Zauważyłem, że palce ma pokryte sinymi i białymi odbarwieniami. — Skoro tak...

— Skoro tak, to tak — uśmiechnąłem się samymi ustami i wstałem. — Zobaczmy najpierw strych i piwnicę.

— Na strychu tylko kurz, pająki i szczury — rzekł szybko doktor. — Wierzcie mi, że jedynie się wybrudzicie i namęczycie...

— Pokazuj ten strych — warknął Kostuch.

— Nie, Kostuch, spokojnie — powiedziałem. — Skoro doktor mówi, że strych taki nieprzytulny, zejdźmy do piwnicy.

— Dd-do piwnicy? — zająknął się Joachim Gund.

— Czemu nie? A zresztą — udałem, że się zastanawiam. — Wy, doktorze, pokażecie moim asystentom piwnicę, a ja w tym czasie rozejrzę się po obejściu.

Wiedziałem, że nic nie znajdziemy ani w piwnicy, ani na strychu. Doktor Gund celowo prowadził nas w maleńką pułapkę. Jego zakłopotanie wydawało się bardzo prawdziwe, ale dałbym sobie głowę uciąć, że tylko udawał. Oczywiście, był poruszony naszą wizytą, lecz liczył, że zmęczymy się, przeszukując piwnice oraz strych, i damy mu wreszcie spokój. W końcu mógł spodziewać się, że Inkwizycja prędzej, czy później zawita do domu lekarza, dziwaka i alchemika. I tego wszystkiego nie zamierzał przed nami kryć. Retort, doświadczeń, eksperymentów. Zobaczcie, nie mam nic, co warto byłoby zataić — wydawał się mówić. Bardzo sprytne, mili moi, ale czułem w tym wszystkim fałsz.

Wyszedłem na zewnątrz i rozejrzałem się. Martwy pies leżał w połowie drogi do furtki, tak jak go zostawiliśmy. Skierowałem się na tyły obejścia. Uchyliłem drzwiczki i zajrzałem do komórki, gdzie leżały równiutko ułożone sosnowe szczapy oraz dębowe bale z obłażącą korą. Przy ścianie stały widły, grabie z wyłamanym środkowym zębem i szpadel z łopatą poznaczoną zaschniętym błotem. Nic ciekawego.

W cieniu rozłożystego kasztana zobaczyłem starannie ocembrowaną studnię. Uniosłem drewnianą klapę i zajrzałem w głąb. Osiem, dziewięć stóp ode mnie lśniło oczko wody. Widywałem już kryjówki ulokowane pod powierzchnią wody w studni, ale nie wydawało mi się, aby szanowny doktor miał siłę i chęci na lodowate kąpiele. Nie mówiąc o tym, że na gładkim murze cembrowiny nie było żadnych uchwytów ani klamer, które pomagałyby przy wchodzeniu i schodzeniu. Gdzie więc kryła się jaskinia czarownika? Ha! Oto dobre pytanie. Czyżbym jednak się mylił, a Joachim Gund nie był tak cwany, na jakiego wyglądał, i zajmował się mroczną sztuką w piwnicy lub na strychu?

Przeszedłem się wolno wzdłuż drewnianego ogrodzenia, a potem przemierzyłem ogród wzdłuż oraz wszerz i po przekątnej. Nic nadzwyczajnego. Zaniedbany i zachwaszczony kwietnik, małe, przegniłe jabłuszka brązowiejące w nie koszonej trawie, kilka krecich kopczyków, paręnaście garści pękniętych kasztanów. Spacerując, uważnie patrzyłem pod nogi, ale wszędzie zwycięsko się pieniły trawa i chwasty. Szukałem jakiegoś śladu. Na przykład klapy przysypanej ziemią i przyłożonej wyciętym pasem trawy. Ale nie było nic. Cóż, nadszedł więc czas modlitwy. Uklęknąłem pod drzewem i starałem się wyciszyć myśli. Wsłuchałem się w leciutki szum wiatru, który przepływał obok mnie i przeze mnie.

— *Ojcze nasz —* zacząłem — *któryś jest w Niebie. Święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w Niebie, tak i na ziemi.*

Przymknąłem oczy i powolutku czułem, że spływa na mnie Moc. Pomimo zaciśniętych powiek zaczynałem widzieć. Gałęzie drzew majaczyły gdzieś pośród zielonych i żółtych rozbłysków.

— *Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, i daj nam też siłę, abyśmy nie przebaczali naszym winowajcom.*

Wybuchy czerwieni ogarnęły prawie wszystko, ale spod nich widziałem już zarys dachu domu i zieleń trawy. Cały obraz migotał, trząsł się i zmieniał, ale wiedziałem, że muszę wytrwać. Pomimo, że jak zwykle pojawił się brat modlitwy — ból. Uderzył niespodziewanie, wraz z falą czerwieni. Tak jakby przypłynął na galerze o szkarłatnych żaglach. Omal nie przerwałem modlitwy i nie otworzyłem oczu.

— *I* *pozwól nam odeprzeć pokusy, a zło niech pełza w prochu u stóp naszych. Amen.*

Ból zadomowił się na dobre, ale starałem się o nim nie myśleć. Starałem się też nie koncentrować wzroku na obrazach wyłaniających się z rozbłysków. Dobrze wiedziałem, że jeśli wpatrzę się w jakiś element, fragment tej rzeczywistości — nie rzeczywistości, to im bardziej będę próbował go zobaczyć, tym szybciej rozpłynie się on i zniknie. Obrazy przepływały przeze mnie, a ja modliłem się dalej, i czasem widziałem siebie samego, jakbym obserwował z góry ciemną, klęczącą postać pulsującą czerwienią bólu.

— *Ojcze nasz —* zacząłem znowu, choć modlitwa nie przynosiła ukojenia, a tylko wzmagała ból.

Ja jednak zdawałem się już płynąć gdzieś wśród kolorów i obrazów, otulony jaskrawym, żółtym blaskiem.

Musiałem siedmiokrotnie powtórzyć modlitwę, zanim poprzez zamknięte oczy wyraźnie dostrzegłem ogród i dom. Nie były takie, jak mogłem zapamiętać wcześniej. Dom pulsował mrokiem, zdawał się zbliżać i oddalać. Ogród jarzył się wściekłą, bolesną zielenią. Wyraźnie widziałem zeschnięte wiśnie uczepione gałązek drzewa, które teraz zdawały się brunatnymi potworkami o szczękach wypełnionych zębami w kształcie igieł. Widziałem krążące wokół tego domu istoty, których nie sposób opisać za pomocą słów. Stwory bez wyraźnych kształtów i barw, unoszące się nad ziemią i leniwie płynące w powietrzu. Obserwowanie ich budziło grozę, którą tylko modlitwa pozwalała mi przezwyciężyć. Modliłem się i wydawało mi się, że cały jestem już tylko ulepiony z bólu. Ale gdybym przerwał litanię w tym właśnie momencie, kto wie, czy nie znalazłbym się w polu widzenia bezkształtnych monstrów. A sama myśl, iż któryś mógłby spojrzeć w moją stronę, wywoływała paroksyzm przerażenia.

Teraz mogłem już swobodnie się rozglądać. Ba, mogłem, chwyciwszy za wieżyczkę na dachu, obracać dom, to w lewo, to w prawo, by zajrzeć do wszystkich jego zakamarków. I prawie od razu dostrzegłem miejsce, które powinienem dostrzec. Pulsującą błękitem iluzję. To była ściana w komórce na drewno. Stworzona za pomocą tak silnego zaklęcia, że cegły było nie tylko widać, ale można je też było poczuć pod palcami, a nawet skaleczyć się o ich chropawą powierzchnię. Ten mur można by dowolnie opukiwać i osłuchiwać. Brzmiałby jak zwykła, lita, ceglana ściana. Bo dźwięk też był w tym wypadku iluzją. Ostrożnie wypatrzyłem błękitno-srebrne nici utrzymujące iluzoryczną ścianę i przerywałem je powolutku, jedna po drugiej. Pulsujący błękit stopniowo blakł, szarzał, aż w końcu zgasł. Wiedziałem, że w tym samym momencie ściana z solidnej, ciemnoczerwonej cegły po prostu zniknęła. Rozpłynęła się w powietrzu.

Otworzyłem oczy i osunąłem się z kolan na ziemię. Poczułem na policzkach mokry, zimny dotyk trawy. Skuliłem się, podciągając nogi wysoko pod brodę. Byłem szczęśliwy, że wszystko przestało mnie boleć, ale jednocześnie wcale nie miałem ochoty wstawać.

— Mordimer — usłyszałem nad sobą. — Mordimer...

Skuliłem się jeszcze bardziej, ale wtedy ten ktoś, a po zapachu poznałem Kostucha, szarpnął mnie mocno za ramię.

— Mordimer? Modliłeś się?

Poczułem na wargach zimny dotyk metalu, a Kostuch siłą rozwarł mi szczęki. Mocna śliwowica o intensywnym aromacie i smaku wlała mi się w usta. I w gardło. Zakaszlałem. Kostuch przytrzymał mnie i lał wódkę dalej. Szarpnąłem się, uciekłem z głową i zwymiotowałem.

— Na... miecz... Chcesz mnie... zabić? — wyjąkałem i zwymiotowałem jeszcze raz.

Wyciągnąłem ręce w jego stronę.

— Daj — powiedziałem, a on nalał mi gorzałki w dłonie. Przymknąłem oczy i chlusnąłem sobie w twarz śliwowicą.

— Lepiej. — Usiłowałem wstać, ale zachwiałem się, i Kostuch musiał mnie przytrzymać.

Oparłem się o pień drzewa. Czułem, że cały drżę, tak jakbym obudził się w lodowatej izbie po mocno zapitej nocy. Nic mnie nie bolało, ale wydawało mi się, że każda część mego ciała rozpada się na kawałeczki.

— Kostuch. Dzięki.

Pokiwał głową.

— Co mam robić, Mordimer? — spytał.

— Aresztuj...cie go — powiedziałem. — Ja muszę tu zostać... chwilę.

Nie miałem siły, by mówić dalej, a było wiele do powiedzenia. Na szczęście Kostuch sam wiedział, co ma robić.

— Dyby, tak? Knebel? Straż przez całą noc? Zawieziemy go do Hezu, tak?

— Tak — odparłem. — Idź już...

Musiałem zasnąć, bo kiedy się ocknąłem, była już noc, a ja miałem płaszcz i włosy mokre od rosy. Spojrzałem w księżyc, który lśnił silnym, srebrnym blaskiem i wstałem. Odetchnąłem głęboko.

— Jeszcze jeden taki czarownik i będą cię zbierać łopatą, biedny Mordimerze — powiedziałem do siebie.

Dom Joachima Gunda stał ciemny i pusty. Powlokłem się w stronę komórki na drewno. Krótki sen przyniósł jednak wytchnienie, bo przynajmniej stawiałem prosto kroki, chociaż nadal kręciło mi się w głowie. Zajrzałem do schowka i zobaczyłem, że za równo ułożonymi dębowymi balami nie ma już ceglanej ściany, lecz stoi tam drewniane przepierzenie z małymi, uchylnymi drzwiczkami.

Nie spiesząc się, przeniosłem bale i utorowałem sobie drogę. Pchnąłem drzwiczki. Za nimi znajdowała się przytulnie urządzona komnatka. Stały w niej zdobiony adamaszkiem fotel i mahoniowy sekretarzyk oraz okrągły stolik. Na solidnych półkach leżały oprawione w skórę księgi, podłogę zaścielał dywan z grubym włosiem. I wszystko wyglądałoby naprawdę przyjemnie, gdyby nie fakt, że na dywanie wyhaftowany był pentagram. Zdjąłem z półki pierwszą z brzegu książkę. Gruba, cielęca skóra i błyszczące złotem litery tytułu.

— Demonologica — przeczytałem na głos. Zdjąłem drugi wolumin.

— Cursae Satanis. — Tym razem litery błyszczały srebrem, a oprawa była stara i zmatowiała.

— Piękny zbiór — powiedziałem znowu do siebie. Inne księgi były podobnego autoramentu. Większość traktowała o czarnoksięstwie, rzucaniu uroków i przyzywaniu demonów. Jedna poświęcona została astrologii, następna miksturom leczniczym oraz truciznom, znalazłem też tom wyjaśniający tajniki anatomii. Skądinąd ten nie był zakazany. Ale część ksiąg, od wielu lub nawet wielu dziesiątek lat, znajdowała się na kościelnym indeksie, a reszta nie trafiła tam nigdy, gdyż Kościół nie chciał nawet oficjalnie przyznać, że istnieją. Rzecz jasna, my inkwizytorzy, musieliśmy o nich wiedzieć, ale przed zwykłymi ludźmi pilnie ukrywano te sekrety. W jaki sposób Gund wszedł w posiadanie tak niezwykłego i bezcennego wręcz zbioru? Oto było pytanie, na które zyskamy odpowiedź w Hezie. Sprawa była zbyt poważna, bym mógł zajmować się nią na miejscu, a Joachim Gund zbyt niebezpiecznym człowiekiem, by pozwolono mu umrzeć bez dokładnej spowiedzi.

Usiadłem w fotelu i zamyśliłem się. Oto, jak plotą się ludzkie losy. Przypadkowa wizyta w obskurnym miasteczku, przypadkowe spotkanie tłumu wiodącego czarownicę, moja chęć wyjaśnienia sprawy. Może nie przypadkowa, ale wiedziałem, że nie każdy inkwizytor zawracałby sobie głowę śledztwem. I wśród nas były czarne owce... Przecież gdybyśmy przybyli dzień później, po Loretcie pozostałby tylko rozmiękły deszczem popiół wokół metalowego słupa na środku rynku. Gdybyśmy przybyli dzień wcześniej, przejechalibyśmy przez miasto, zatrzymując się tylko może na jedną noc w karczmie, a wtedy całe teatrum ukryto by przed naszymi oczami i sprawę przeprowadzono po naszym wyjeździe.

A jednak wylądowaliśmy w Thomdalz dokładnie w chwili, w której wylądować powinniśmy. I odkryliśmy niezłe bagno, mili moi. Któż teraz może powiedzieć, że Aniołowie nie dbają, by prostować nasze ścieżki?

Powoli wertowałem księgi. Dla człowieka nie szkolonego już samo zerknięcie na ich treść mogłoby być zgubne. Bo w jaki sposób wyrzec się władzy? Jak zrezygnować z panowania nad ludzkim życiem, nad uczuciami? Ha! Dobre pytanie. Zastanawiacie się, mili moi, czy inkwizytorów nie kusiło czasem, by skorzystać z zakazanej wiedzy? Och, kusiło i to bardzo. A niektórzy, ku swemu nieszczęściu, pokusie tej ulegali. Czasami nawet z zacnych pobudek, ale czarnej magii nie można wykorzystać w dobrych celach. Tylko nie każdy to rozumiał, mimo lat szkolenia i rad mądrych wykładowców. Inkwizytorium nie wyciągało tych (rzadkich, powiedzmy szczerze) wypadków na światło dzienne. Nie wyobrażacie sobie chyba, by inkwizytor mógł spłonąć na stosie ku uciesze gawiedzi? Po prostu zabierano go w jedno z naszych sekretnych, ustronnych miejsc, gdzie pracowali najwierniejsi z wiernych i najzaufańsi z zaufanych. I tam, w poczuciu miłości i współczucia, rozmawiano z nim tak długo, póki nie wyznał wszystkich grzechów i nie wyjawił, jak doszło do tego, że skręcił z drogi prawa na drogę występku. A kiedy nie miał już żadnej własnej myśli, pozwalano mu umrzeć śmiercią pełną oczyszczającego bólu.

Wreszcie znalazłem przepis, o który mi chodziło, a który z takim powodzeniem zastosował doktor Gund. Procedura rzucenia uroku „białych robaków” była skomplikowana, a sam przepis zawiły i nie do końca jasny. Nie szkodzi. Doktor opowie dokładnie, jak przeprowadził eksperyment. Wyznam wam w zaufaniu, moi mili, że nie tylko odnajdujemy czarnoksięskie księgi. Maluczkim wydaje się, że również je niszczymy. Nic bardziej błędnego. Na stosach płoną falsyfikaty lub egzemplarze dzieł, których kopie już mamy. Bo w najbardziej strzeżonej bibliotece Inkwizytorium są one wszystkie — wszystkie zakazane dzieła. O wskrzeszaniu martwych i przyzywaniu demonów, o klątwach i czarach, o bluźnierczych modlitwach, o urokach i truciznach. Tam, za grubymi murami jednego z klasztorów, stoją rząd przy rzędzie księgi, pieczołowicie konserwowane przez starych bibliotekarzy. Każdy inkwizytor na koniec szkolenia ma prawo wejść do biblioteki. Aby ujrzeć potęgę zła i po raz pierwszy z życiu zmierzyć się z jego ogromem.

Powiem więcej. Inkwizytorzy nie poprzestają na wiedzy czerpanej z kacerskich, heretyckich i demonicznych ksiąg. Po przesłuchaniach oskarżonych piszemy własne komentarze i wyjaśniamy niektóre z bardziej skomplikowanych receptur. Podobno część z nich jest nawet sprawdzana w praktyce. Podobno istnieje w Inkwizytorium specjalna, tajna grupa inkwizytorów, którzy wypróbowują każdy z przepisów. Podobno, bo o tym się nie mówi o tym nie powinniśmy nawet myśleć.

Westchnąłem. Czas było opuścić przemiły domek doktora Gunda. Pozostawały sprawy natury, powiedzmy, organizacyjnej. Wiedziałem, że trzeba zrezygnować z dalszej podróży i zawrócić do Hezu. Z bagażem w postaci czarownika oraz jego księgozbioru, co oznaczało, że burmistrz będzie musiał dostarczyć co najmniej dwa juczne konie. Cóż, zapewne stać go na to... Jeśli tylko przerażony przyłapaniem brata nie zwieje z miasteczka. Może jego należałoby również zabrać przed sąd biskupi? A może powinienem przeprowadzić pierwsze przesłuchanie jeszcze na miejscu? Tylko, widzicie, niezbyt to wygodne przewozić kilkadziesiąt mil człowieka, którego już przesłuchano. A nie chciałem, aby mi umarł po drodze. W końcu śmiem uważać się za profesjonalistę...

Wstałem, zamknąłem uchylne drzwiczki, potem całą komórkę. Powlokłem się do miasteczka, a była już noc i znowu zaczął siąpić deszczyk. Postanowiłem, że najpierw zajrzę do aresztu. Na górze, przy stole, siedział Kostuch, popijał coś z metalowego kubka i z bardzo poważną miną ćwiczył tasowanie kart. Na mój widok zerwał się na równe nogi.

— Mordimer! Jak się czujesz? — Spojrzał w moją twarz. — Ouaaa — dodał.

— Właśnie — powiedziałem. — Właśnie tak się czuję. Gdzie doktor?

— Na dole. Drugi go pilnuje.

— Dobra. Szoruj do domu doktora i waruj przy komórce na drewno. I niech Bóg cię broni, żebyś ruszył się stamtąd na krok. Rozumiesz? Nie w domu, w środku, tylko w komórce!

— Dobra, dobra, Mordimer, rozumiem. Znalazłeś coś?

Spojrzałem na niego takim wzrokiem, że nic już nie mówiąc, poderwał się i ruszył w stronę wyjścia. Zgarnąłem ze stołu klucze do aresztu i odemknąłem drzwi.

— Kto tu? — Usłyszałem czujny i trzeźwy głos Drugiego.

— Na miecz Pana, bliźniak, nie zastrzel mnie!

Zszedłem po schodach. Doktor Gund nie tkwił co prawda w dybach, bo widać nie znaleźli ich w mieście (Swoją drogą, co to za miasto? Dyb w nim nie znaleźli!), ale leżał nagi i rozciągnięty na stole przygotowanym poprzednio z myślą o przesłuchaniu Loretty. Czarownik miał zakneblowane usta, a dłonie i stopy mocno przytroczone do metalowych klamer. Bliźniak założył mu nawet pętlę na szyję, żeby nie mógł poruszać głową. Poza tym moi chłopcy ogolili całe ciało doktorka i nie zrobili tego specjalnie delikatnie, bo na podbrzuszu, głowie i pod pachami miał rany od tępej brzytwy i sine wybroczyny. Nie wierzyłem, co prawda, aby diabeł miał się ukrywać we włosach przesłuchiwanego i stamtąd udzielać mu dobrych rad, ale przesąd był na tyle silny, że nie zamierzałem z nim walczyć ani nikogo ganić.

— Ale ty wyglądasz, Mordimer — Bliźniak spojrzał na mnie z wyraźnym, choć niespodziewanym współczuciem.

— Daruj sobie — mruknąłem i spojrzałem w twarz Gunda.

Patrzył na mnie wybałuszonymi i pełnymi bólu oczyma, bo nikt nie zatroszczył się, by poluzować mu więzy. Sam więc to zrobiłem. Nie ze źle pojmowanego miłosierdzia. Po prostu będę miał z niego więcej pożytku, kiedy poradzi sobie z samodzielnym chodzeniem. W końcu czekała nas długa droga do Hezu.

— Idę się przespać — powiedziałem. — A ty siedź tutaj. — Drugi skrzywił się, słysząc moje słowa, ale nic nie powiedział. — Gdzie podziałeś brata?

— Niby śpi, cholera! Powiedział, że zmęczyło go szukanie...

— Ja mu się zmęczę — odparłem, ale machnąłem tylko ręką.

Przyjrzałem się jeszcze raz rozłożonemu na stole Rundowi. Nagi i chudy, z wystającymi żebrami, skurczonym przyrodzeniem i śladami po zacięciach tępej brzytwy nie wygnał na potężnego czarownika. A jakby nie patrzeć, był nim.

###### \* \* \*

Obudził mnie jednostajny łomot deszczu o okiennice. Cóż, niedługo trwała ładna pogoda. Oczywiście stos można przygotować i rozpalić również podczas ulewy, ale wierzcie mi, że najpiękniejsze widowisko odbywa się w czasie letniego, bezchmurnego wieczoru, kiedy czerwień płomieni współgra z czerwienią zachodzącego słońca. Ale tutaj — w Thomdalz — i tak nie mieliśmy zamiaru rozpalać stosu.

Otworzyłem okiennice. Rynek znowu przypominał bajoro. Dwie wychudzone świnie pałętały się na jego środku, a jedna ocierała się bokiem o metalowy słup.

— Co za dziura — mruknąłem do siebie i wyszedłem na korytarz zawołać karczmarza.

Nigdzie się nie spieszyliśmy, więc kazałem przygotować kadź z gorącą wodą, ług oraz brzozowe witki. I dobre śniadanie. Po modlitwie zawsze mam piekielny apetyt i teraz też czułem, że zjadłbym konia z kopytami. Pławiłem się do późnego rana i tylko od czasu do czasu wołałem służebną dziewkę, żeby doniosła gorącej wody. Leżałem tak sobie w drewnianej kadzi wypełnionej wrzątkiem, żarłem z glinianej michy kaszę z wieprzowym mięsem i zapijałem zimnym piwem. Och, było mi dobrze, mili moi, ale wiedziałem, że to tylko krótki moment wytchnienia w znojnym życiu Bożego sługi.

W końcu wyszedłem z kąpieli, kazałem Pierwszemu, żeby zmienił brata stróżującego w areszcie, a sam postanowiłem odwiedzić burmistrza. Co prawda zarówno on, jak i ksiądz próbowali dotrzeć do mnie poprzedniego dnia, ale surowo zakazałem karczmarzowi kogokolwiek wpuszczać na piętro. I, jak widać, spisał się dobrze.

Burmistrza i księdza nie musiałem długo szukać. Siedzieli w izbie, przy dzbanku piwa i nie wyglądali na zadowolonych z życia.

— Witajcie, panowie — powiedziałem, przygładzając mokre jeszcze włosy. — Cóż was sprowadza tak rano?

— Mmmm-ój bbraaa... — zaczął burmistrz.

— Mam nadzieję, że miał pan solidne powody, by uwięzić szanowanego obywatela naszego miasta, mistrzu inkwizytorze — powiedział ksiądz cicho.

Tym razem oczy miał spuszczone, patrzył w blat stołu i mówił z pokorą. I miał rację. W końcu przednie zęby już stracił.

— Doktor Gund jedzie wraz ze mną do Hez-hezronu, gdzie zostanie poddany dokładnemu badaniu...

Burmistrz jęknął głucho i opadł na krzesło.

— Do waszej wiadomości powiem tylko, że oskarżony jest o praktykowanie czarnej magii, posiadanie zakazanych ksiąg, potrójne zabójstwo i herezję. Ty, księże, również przygotuj się do drogi. Masz stawić się za trzydzieści dni od dzisiaj u Jego Ekscelencji biskupa. Zostaniesz poddany przesłuchaniu, mającemu na celu wyjaśnienie, jak się mogło stać, że pod twoim nosem praktykował czarownik. A ty — Podszedłem tak blisko niego, że mogłem go dotknąć. — Oskarżyłeś niewinną kobietę.

Cofnął się o krok i potrącił krzesło.

— Nnnie wiedziałem — zająknął się. — na Boga żywego, inkwizytorze...

— Cisza! — rozkazałem. — Nie zostałeś jeszcze o nic oskarżony.

— Burmistrzu — powiedziałem po chwili milczenia. — Oto rozliczenie kosztów, jakie ma pokryć kasa miejska.

Podałem mu kartę papieru, którą jeszcze wczorajszej nocy pieczołowicie wypełniłem cyframi.

Burmistrz wziął obojętnie dokument, ale kiedy na niego spojrzał, zbladł.

— Tttto nnnie możż-że...

— Może, może — powiedziałem. — Wszystko zgodnie z prawem i obyczajem. Potrzebne będą mi też trzy juczne konie. Tylko żadne tam kulawe, wygłodzone chabety, rozumiemy się?

— Rrrooo...

— I dobrze. Z nakazu Świętego Officjum nie wolno ci opuszczać Thomdalz — dodałem. — Złamanie tego zakazu równoznaczne będzie z przyznaniem się do współuczestnictwa w zbrodniach czarownika.

Jeśli to możliwe, pobladł jeszcze bardziej.

— To wszystko — powiedziałem. — Wypłata i konie mają być gotowe na jutro rano. O świcie wyruszymy.

— To ogromna suma, mistrzu inkwizytorze — znowu cicho rzekł ksiądz.

— Przysługuje wam zażalenie od mojej decyzji do Jego Ekscelencji biskupa — powiedziałem obojętnym tonem. — Ty, księże, stawisz się tam za miesiąc, więc będziesz miał okazję przedyskutować tę kwestię.

Wyszedłem z karczmy, zastanawiając się, czy proboszcz parafii świętego Sebastiana w Thomdalz odwiedzi nasz uroczy Hez-hezron. Jeśli tego nie zrobi, trzydziestego dnia biskup wyda za nim list gończy, który zostanie rozesłany do wszystkich oddziałów Świętego Officjum, do kościołów, do klasztorów i posterunków justycjariuszy. Świat stanie się bardzo malutki dla czarnobrodego księżuli, a i rozmowa, jeśli do niej dojdzie, będzie miała od razu nieprzyjemny przebieg.

Wysłałem Drugiego, żeby razem z Kostuchem spakowali wszystkie księgi doktora Gunda. W zasadzie powinienem to zrobić sam, ale coś powstrzymywało mnie przed złożeniem powtórnej wizyty w jego domu. Pamięć o modlitwie była jeszcze zbyt świeża i zbyt silna. Zresztą chłopcom mogłem zawierzyć. Książki nie były tym, co mogłoby ich zainteresować, chociaż wszyscy umieli czytać i nawet trochę pisać. Oczywiście mogłem sobie wyobrazić, że któremuś strzeli do łba zabrać cenny wolumin w celu sprzedania go na czarnym rynku. Mogłem sobie też wyobrazić, że kamień z nieba spadnie prosto do mojej kieszeni. Chłopcy doskonale wiedzieli, gdzie kończą się żarty z poczciwym Mordimerem, a gdzie zaczyna się praca, za której złe wykonanie, ten sam poczciwy Mordimer posłałby ich bez mrugnięcia okiem na stos.

Czekała mnie jeszcze pewna wizyta. Szczerze mówiąc, nie do końca konieczna. Ale chciałem zobaczyć, jak poradziła sobie na wolności Loretta. A poza tym uważałem, że powinniśmy na do widzenia zamienić kilka ostatnich słów.

###### \* \* \*

Drzwi domu Loretty były już całe i trzeba przyznać, że uwinęła się szybko z tym problemem. Miejscowy cieśla pewnie zdarł z niej, ile wlezie, chociaż może samą nagrodą był fakt, że jako jeden z pierwszych mógł porozmawiać z kobietą, której omal nie spalono na stosie? W każdym razie z całą pewnością będzie miał o czym gawędzić w karczmie.

Zastukałem grzecznie i spokojnie czekałem na odpowiedź. Usłyszałem w sieni szybkie kroki, a potem niespokojny głos.

— Kto tam?

— Mordimer Madderdin — odparłem, a ponieważ nie byłem pewien, czy zapamiętała moje imię, dodałem — inkwizytor.

Być może nie pokusiłem się o najszczęśliwsze wyjaśnienie, bo usłyszałem tylko jak szybko i gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca. Ale później otworzyła drzwi. Tym razem miała włosy spięte w wysoki kok i była blada jak trup.

— Przyszliście po mnie, inkwizytorze? — zapytała.

— Czy mogę wejść?

Usunęła się z progu, a potem starannie zamknęła za mną drzwi.

— Proszę do pokoju... tam nie jest... — urwała — ale sami widzieliście.

— Ano widziałem. — Wszedłem do środka i zauważyłem, że zdążyła już częściowo posprzątać bałagan, który zostawili ludzie burmistrza oraz kochający sąsiedzi.

— Chcecie mnie spalić? — Oparła się plecami o ścianę i widziałem, jak zagryza usta.

— Spalić, moje dziecko? — Wzruszyłem ramionami. — A za cóż to? Kara za trucicielstwo jest zupełnie inna. Prawo mówi, że przestępcę należy gotować żywcem w wodzie lub oleju, i nie ma prawa umrzeć zanim nie przyjrzy się dokładnie własnym ugotowanym stopom. Osobiście preferuję olej, gdyż ma wyższą temperaturę wrzenia, co skazanemu dostarcza niepowtarzalnych wrażeń.

Chyba zrobiło jej się niedobrze, ale nic nie powiedziała.

— Jednak tym, Loretto, zajmują się świeckie sądy. Ława miejska, burgrabia, czasem sądy książęce. Ja jestem inkwizytorem i nie myślisz chyba, że będę biegał za każdą małą trucicielką w Hezie i okolicach — zaśmiałem się, bo mnie samemu wydało się to dość zabawne.

— Nie chcecie mnie aresztować? — zdawała się nie rozumieć.

— Mąż? — zapytałem. — To był mąż, nieprawdaż? Teraz i tak nic by nie udowodniono, ale za samo posiadanie sherskenu napiętnowano by cię żelazem.

— Mąż — przyznała po chwili cicho. — Bił mnie, zaciągał długi...

— Nie interesuje mnie twoja historia. — Uniosłem dłoń. — Chciałem tylko się upewnić. Otrułaś męża, korzystałaś z wolności i hojności zalotników, a wtedy pojawił się Gund. Uczony doktor o wyglądzie złachanego ptaka. Czy ośmielił się w ogóle zalecać do ciebie, czy też pozabijał tych trzech małych, biednych skurwysynów z czystej zazdrości? Licząc, że kiedy będziesz sama, łatwiej pozyska twoje względy? Hmmm... Zresztą nie pytam ciebie, bo mam nadzieję, że nie wiesz. Wszystkiego dowiem się już w Hezie.

Spojrzała na mnie i wolno zaczęła rozpinać haftki wysokiego, zapiętego pod szyję adamaszkowego kaftanika. Sporo było tych haftek. Pod spodem miała białą bluzkę.

— Loretto — powiedziałem łagodnym tonem. — Nie musisz kupować mojego milczenia ani mojej przychylności, bo dla mnie twoja sprawa jest zamknięta. Znalazłem czarownika i tylko to jest teraz ważne. A ty... ty jesteś po prostu niewinna.

Zamarła w pół ruchu, z palcami na bluzce.

— Przyszedłem, by udzielić ci dwóch rad. Po pierwsze, wyczyść piwnicę i zapomnij o tym, że kiedykolwiek coś w niej było. I jeśli nie chcesz zobaczyć własnych ugotowanych stóp, nie baw się tak nigdy więcej, niezależnie od tego, czy mąż będzie cię bił, czy też nie. Bo bicie męża można jakoś przeżyć, a nie znam nikogo, kto wyszedłby cało z kąpieli we wrzącym oleju. Szczęśliwe zbiegi okoliczności są łaską od Pana, a Pan nasz nie zsyła swych łask pochopnie. Po drugie, przygotuj spis szkód, jakich doznałaś w wyniku niesprawiedliwego oskarżenia, i przynieś mi go do podpisu jutro rano. Miasto wypłaci ci rekompensatę, ale bez mojego podpisu sprawa mogłaby się ciągnąć w nieskończoność.

— Dlaczego... — Opuściła jakoś tak bezradnie dłonie.

— Dlaczego to robicie?

To było dobre pytanie i sam je sobie zadawałem, ale nigdy nie mogłem znaleźć stosownej odpowiedzi. Chociaż...

— Gdyż służę prawu, Loretto — odparłem, a była to tylko część prawdy. — Tak, jak pojmuję je mym wątłym umysłem.

Pokiwała głową, chociaż nie sądziłem, by zrozumiała. Nie sądziłem, by ktokolwiek rozumiał. Może tylko mój Anioł, gdyż czasem sądziłem, że jest równie szalony, jak ja sam. Zresztą skoro do tej pory nie doprowadził mnie do zguby, musiał uznawać mnie za pożyteczne narzędzie.

— Jesteście dziwnym człowiekiem. — Spojrzała mi prosto w oczy i znowu zaczęła rozpinać guziki. — Zostańcie ze mną, proszę. To nie zapłata, to...

Podszedłem bliżej, a ona nadal śmiało patrzyła. Wydawało mi się, że nawet lekko się uśmiecha.

— Pragnienie? — podpowiedziałem, a Loretta wolno skinęła głową i rozpięła bluzkę do końca.

###### \* \* \*

Kiedy się obudziła, ja już nie spałem. Leżałem na wznak, z otwartymi oczami i wpatrywałem się w ciemne, drewniane belki sufitu.

— Mordiiimer — Wkręciła się we mnie całą sobą. — Wiesz, co sobie pomyślałam?

— Wiem — odparłem.

— Żartujesz? — Parsknęła krótkim, urywanym śmieszkiem.

— Pomyślałaś sobie, że interesująca byłaby odmiana w twoim życiu. I podróż. Na przykład do Hez-hezronu. — Przekręciłem się na bok i spojrzałem na nią. Naprawdę była zaskoczona.

— Piękna byłaby z nas para — ciągnąłem dalej. — Inkwizytor i trucicielka.

— Czemu nie? — odpowiedziała po chwili chłodnym tonem.

— Bo to nie wyszłoby ci na dobre — odparłem. — Możesz mi wierzyć.

— Założę się, że będziesz tego żałował. — Oparła się pięściami na mojej piersi i zbliżyła twarz do mojej twarzy.

— Będziesz tego żałował już pierwszej, nudnej, samotnej nocy w drodze do Hezu.

— Założę się, że masz rację — przytaknąłem. — Ale niezależnie od tego, odpowiedź nadal brzmi: nie.

— Masz kogoś, co? Tam, w Hezie? Żonę? Kochankę?

— Od czasu do czasu dziwki z burdelu — burknąłem — i nie sądzę, aby miało się to w najbliższym czasie zmienić...

Zastanawiała się chwilę.

— Przecież się chyba nie boisz — powiedziała — że urządzę cię, jak mojego męża? To nie o to chodzi?

Roześmiałem się, bo sama myśl, że miałbym jej się bać, wydała mi się naprawdę zabawna.

— Nie byłabyś w stanie mnie otruć, nawet gdybyś chciała — odparłem. — Potrafię rozpoznać smakiem lub węchem większość znanych na świecie trucizn. To jedna z rzeczy, których mnie uczono. W końcu sama wiesz, że żyjemy w niebezpiecznym świecie.

— To może ja ci się po prostu nie podobam, Mordimer? Jestem za stara? Za brzydka? Za głupia? Wstydziłbyś się mnie w wielkim mieście? Przecież nie chcę, żebyś, się ze mną żenił. Mogę ci sprzątać, gotować...

— Loretto. — Położyłem jej palce na ustach i zamilkła. — Powiedziałem: nie.

— Dlaczego? — zapytała już teraz z prawdziwą złością w głosie. — Nie zasłużyłam sobie choćby na odpowiedź?

— Nie zrozumiałabyś — powiedziałem po chwili. — I dajmy spokój tej rozmowie.

Odwróciła się gwałtownie na bok, jej piersi przeleciały nad moją twarzą.

— Idź już sobie — burknęła. — Weź tego czarownika i jedź go spalić do Hezu.

Chwyciłem ją za ramię i przekręciłem z powrotem w swoją stronę. Stawiała opór, a potem ugryzła mnie w rękę. Roześmiałem się, tym razem szarpnąłem mocniej, wyrwałem dłoń z jej ust i unieruchomiłem jej ramiona.

— Mamy jeszcze trochę czasu — powiedziałem.

— Nie! — warknęła. — Nie chcę!

— I to jest właśnie podniecające — powiedziałem, zbliżając usta do jej ust.

Kiedy już skończyliśmy, leżała na wznak z zaczerwienioną twarzą i piersiami. Pod lewym sutkiem puchła jej skóra i widać już było siny ślad po ugryzieniu. Dyszała ciężko, a kropelki potu błyszczały na jej skórze.

— Mordim-mer — szepnęła. — Co ja bez ciebie zrobię?

Uśmiechnąłem się, a potem wstałem i zacząłem zbierać rozrzucone na podłodze ubranie.

###### \* \* \*

Przed karczmą, uwiązane do płotu, stały już trzy konie podesłane przez burmistrza. Sam burmistrz, jak zwykle w towarzystwie nieodłącznego księdza proboszcza, stał pod okapem, na zewnątrz karczmy. Znowu mżył, ciepły tym razem, deszczyk, a niebo zasnuwały sine chmury.

— Panowie — rzekłem na powitanie. — Miło was widzieć.

Przyjrzałem się uważnie wierzchowcom. Być może wstydziłby się na ich grzbiet wsiąść możny szlachcic, ale biednemu Mordimerowi na pewno wystarczą. Zwłaszcza, że będą wieźć nie nas, lecz nasze pakunki.

— Z koników jestem zadowolony — powiedziałem. — Przygotowaliście gotówkę?

Burmistrz skinął ponuro głową i wyciągnął zza pazuchy pękaty mieszek z koźlej skóry. Duży był ten mieszek. Zważyłem go w dłoni i schowałem do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

— Nie przeliczycie, mistrzu? — spytał ksiądz.

— A po co? — Wzruszyłem ramionami. — Ufam, że nie chcecie, bym wrócił po brakującą sumę.

Przed drzwi wyszedł Kostuch. Ubrany już do podróży, z trudem dźwigał duży wór z księgozbiorem doktora Gunda.

— Cóż — powiedziałem. — Teraz tylko po czarownika i do domu.

Kostuch uśmiechnął się, wyszczerzając zęby.

— Trzy? — przyjrzał się koniom. — Dwa by starczyły, Mordimer.

Pokręciłem tylko głową. Zawsze mówiłem, że Kostuch nie ma zbyt lotnego umysłu.

— Idziemy — rozkazałem.

Doktor Gund siedział na parterze miejskiego aresztu. Dobrze związany i zakneblowany. Nie, żebym bał się jego czarów, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Brat burmistrza miał bladą twarz, podkrążone oczy i zakrwawiony, chyba złamany nos.

— Przecież mówiłem, żeby go nie bić — skrzywiłem się. — Który to?

— Strasznie wył, Mordimer — wyjaśnił Pierwszy. — Już słuchać tego nie mogłem.

— I czego wyłeś? — Spojrzałem na Gunda. — Uwierz mi, że w Hezie nawyjesz się za wszystkie czasy.

Burmistrz splótł ze sobą palce lewej i prawej dłoni. Ksiądz odwrócił wzrok.

— Wsadźcie go na konia i zawiążcie liny przy popręgu — rozkazałem.

— Uwolnić mu ręce? — spytał Pierwszy.

— Nie, ale zawiąż je z przodu, żeby mi nie spadł z siodła. — Spojrzałem jeszcze raz prosto w twarz doktora.

— Musimy przecież dbać o ciebie. Ale jak będziesz czegoś próbował, czarowniku, albo choćby zacznę przypuszczać, że czegoś próbujesz, to wiedz, że potrafię ci sprawić ból bez okaleczania ciała. Więc lepiej ciesz się miłą podróżą, bo założę się, że jest ostatnia w twoim życiu...

Burmistrz przetarł oczy wierzchem dłoni. Mój Boże, jak mało odporni są ludzie. Powinien się cieszyć, że jego brat otrzymał szansę godnej śmierci. Być może umrze skruszony i pogodzony z Bogiem, mając nadzieję, że po wiekach czyśćca trafi w końcu do Królestwa Niebieskiego. W każdym razie my, inkwizytorzy, uczynimy wszystko, by pojął swe grzechy i szczerze, z rozpaczliwą tęsknotą ich żałował. A potem przyjmował płomienie stosu zarówno z bólem, jak i radosną ekstazą.

###### \* \* \*

— Wyślesz tu inkwizytorów, Mordimer? — Kostuch spojrzał w tył, przez ramię, kiedy wyjechaliśmy już z miasteczka.

— Ja nie — odpowiedziałem. — Ale kto wie, czy nie przyślą ich tak lub inaczej.

Wiedziałem, że wielu znalazłoby się chętnych, by rozpętać tu piekło przesłuchań, tortur i stosów. Nie wszyscy spośród nas byli ludźmi godnymi nosić płaszcz ze srebrnym krzyżem. Wielu czerpało radość z posiadania jakże ulotnej władzy nad ludzkim życiem. Byłem jak najdalszy od takich myśli. Może dlatego, iż żywiłem niezachwianą pewność, że doktor działał samotnie, a przynajmniej nie pomagał mu nikt z Thomdalz. Gund nie był człowiekiem, który chętnie dzieliłby się mrocznymi sekretami z innymi ludźmi. W Hezie wyjaśnimy, skąd pochodziły jego księgi, skąd zaczerpnął wiedzy potrzebnej do korzystania z czarnej magii. Wyjaśnimy wszystko. Powoli, cierpliwie i z bezlitosną miłością. Ale nie widziałem powodu, z jakiego mielibyśmy całe miasto karać za grzechy jednego człowieka.

Być może byłem zbyt miłosierny, być może zbyt głupi. Być może moje zdanie nic nie będzie znaczyć, bo biskup, tak czy inaczej, wyśle mych braci, aby oczyścili Thomdalz, jak Bóg w niebiesiech miłosierny oczyścił Sodomę i Gomorę. Ale ja musiałem postępować zgodnie z tym, co nakazywało mi sumienie.

Spojrzałem na doktora, który z przymkniętymi oczami kołysał się w siodle. Co popycha ludzi ku złu? Co sprawia, iż rezygnują z szansy na wieczne zbawienie i decydują się splugawić swe dusze? Widziałem już tylu grzeszników. Słyszałem ich jęki i płaczliwe wyznania, czułem ich ból i żal za utraconym życiem, wdychałem smród ich ciał skwierczących w płomieniach stosów. A jednak nie potrafiłem tak naprawdę zrozumieć, dlaczego to robili. Z żądzy władzy? Z miłości? Dla doczesnych korzyści? To wszystko nie były właściwe odpowiedzi. Być może kiedyś pojmę, skąd wypływa zło i zrozumiem, w jaki sposób powinienem z nim walczyć. Na razie mogłem modlić się do Pana, by raczył oświecić mój nędzny umysł i zesłać mi łaskę zrozumienia. Pozostawała mi tylko modlitwa, więc ująłem paciorki różańca i zacząłem się modlić. Kiedy skończyłem i odwróciłem wzrok, nie zobaczyłem już Thomdalz za naszymi plecami.

###### \* \* \*

Rozbiliśmy obóz o zmroku. Na niewielkiej, leśnej polance, tuż przy wątłym strumieniu, opływającym wielkie, wygładzone przez czas i wodę białe kamienie. Rozpaliliśmy ognisko i piekliśmy właśnie cebulę z mięsem, kiedy Kostuch uniósł głowę.

— Ktoś jedzie — rzekł, nasłuchując.

— Wiem — odparłem i spojrzałem w mrok.

Zza zasłony drzew wyłonił się najpierw biały koń, a potem zobaczyliśmy kobietę, która go dosiadała.

— O! — powiedział Drugi. — To niby nasza czarownica.

— Ona nie jest czarownicą — wyjaśniłem łagodnie i wstałem.

Biała klacz, prowadzona wprawną ręką, pokłusowała w naszą stronę. Loretta zręcznie zeskoczyła z siodła. Była ubrana w ciemny płaszcz z kapturem i miała wysoko upięte włosy.

— Co za spotkanie, Mordimer — uśmiechnęła się. — Co za spotkanie...

— Dlaczego za nami jechałaś? — spytałem.

— Pomyślałam, że może nie będziesz chciał samotnie spędzać nocy w drodze do domu — odparła, śmiało patrząc mi w oczy.

Pierwszy zarżał chrypliwym śmiechem. Nawet Kostuch, jak widziałem, skrzywił usta w czymś, co miało imitować uśmiech.

— Jesteś głodna? Jeśli tak, zjedz z nami kolację — powiedziałem.

Zerknąłem na Gunda. Związany i zakneblowany leżał na wojłokowym worze. W końcu nie chciałem, żeby zachorował, przeziębił się od leżenia na ziemi i chłodnej rosy. Musiałem go dowieźć do Hezu w dobrym zdrowiu i zamierzałem dbać o to, by tak właśnie się stało.

Loretta rzuciła coś w moją stronę. Złapałem i zachlupotało.

— Wino — powiedziała, siadając na pieńku. — Może nie najsmaczniejsze, ale w taką noc lepsze to niż nic.

Podziękowałem jej skinieniem głowy i odszpuntowałem bukłak. Łyknąłem. Wierzcie lub nie, ale zastanawiałem się, czy nie poczuję przypadkiem smaku trucizny. Zresztą rozpoznawanie i neutralizowanie trucizn było elementem mojego szkolenia. Ale nie. Wino jak wino. Lekko kwaskowate i faktycznie nie najwyższej próby, lecz zwykłe wino. Bez zbędnych domieszek. Przypatrywała mi się z uśmiechem, jakby znała moje myśli.

Siedzieliśmy czas jakiś przy ognisku, jedząc, pijąc i milcząc. Kostuch grzebał w ogniu kijkiem o rozżarzonym czerwono końcu i widziałem, jak jego spojrzenie biegnie od czasu do czasu w stronę doktora Gunda. Doskonale wiedziałem, co chodzi mu po głowie, ale nie zamierzałem ani na to pozwolić, ani do tego dopuścić. Po pierwsze, doktor musiał zachować pełnię sił, a po drugie, zapewne mówiłem wam już, że zbędne przysparzanie cierpień nie jest w moim stylu. Męka musi mieć uzasadnienie, inaczej jej zadawanie jest tylko grzechem. I hołdowaniem własnym słabościom. A na słabości nie możemy sobie pozwalać.

— Przejdziemy się, Mordimer? — zapytała Loretta.

— Lepiej dla ciebie będzie, jeśli wrócisz do domu — powiedziałem.

— Nie chcę — rzekła po prostu.

— Skoro tak...

Wstałem i podszedłem do Kostucha. Nachyliłem się nad nim.

— Odpowiadasz za wszystko — powiedziałem cicho, a on uciekał ze wzrokiem. — Kostuch, popatrz na mnie!

Spojrzał i miał minę skrzywdzonego dziecka.

— Kostuch, przyjacielu. — Dotknąłem jego ramienia. — Jeśli doktorowi coś się stanie, własnoręcznie wypruję z ciebie flaki, rozumiesz? I rozwieszę je na okolicznych krzewach, a ty będziesz się przyglądał jak schną w porannym słońcu.

— A co ma się stać? — burknął niezadowolony.

Kostuch jest jak zły pies. Trochę niebezpieczny, trochę niesforny, ale do opanowania silną ręką. Może zresztą zły pies, to niedobre porównanie. Bo jednego mogłem być pewien: nie musiałem uważać na własne plecy, póki miałem za sobą Kostucha. No, przynajmniej dopóki jestem mu potrzebny. Zresztą, sądzę, że na swój sposób nawet mnie lubił, a sam z całą pewnością nie potrafiłby określić, ile w tym wszystkim było prawdziwego uczucia, a ile chłodnej kalkulacji i obawy.

— Ty wiesz i ja wiem — odparłem. — Pilnuj go jak własnego życia. No, to zresztą dobre porównanie. — Klepnąłem go i podniosłem się.

Objąłem Lorettę w pasie.

— Przespacerujmy się — powiedziałem.

###### \* \* \*

Leżeliśmy na moim, a przykryci jej płaszczem. W zupełnej ciemności, bo księżyc i gwiazdy zniknęły za czarnymi chmurami.

— Dlaczego ty mnie nie chcesz, Mordimer? — spytała.

— Nie chcę? — zaśmiałem się. — Jeśli to, co robiliśmy trzy razy, ma być objawem braku chęci, to nie wiem, co nim jest...

— Nie o to mi chodzi. — Nie widziałem jej twarzy, ale po głosie poznałem, że się nachmurzyła. — Przecież wiesz... Dlaczego nie chcesz mnie zabrać?

Westchnąłem. Być może, by nie słyszeć podobnych pytań? Pretensji? Doniesień o codziennych kłopotach? Mordimer, czekałam cały wieczór, a ty się gdzieś bawiłeś?! Mordimer, znowu jesteś pijany! I śmierdzi od ciebie, jak z rynsztoka! Mordimer, spójrz, dobrze mi w tej sukni? Mordimer, dlaczego my nigdzie nie chodzimy? Nie mogę cały czas siedzieć i się nudzić. Mordimer, jak długo można mieszkać w gospodzie? Czy nie moglibyśmy mieć domu? Mordimer, wiesz, że będzie nas więcej? Tak, tak, połóż mi dłoń na brzuchu, czujesz? Mordimer, nie sądzisz, że powinieneś zająć się swoją kobietą, a nie ciągle gdzieś znikać? — i tak by właśnie było, mili moi. Komu to potrzebne?

— Nie pasujemy do siebie, Loretto — powiedziałem. — Uwierz mi na słowo, bo nie chciałbym ci tego udowadniać

— Nie wiesz, póki nie spróbujesz. — Poczułem, jak jej paznokcie wbijają się w moją pierś. Chyba bezwiednie chociaż czułem złość w jej głosie.

— Daj spokój — odparłem. — Cieszmy się tą nocą i tą chwilą, a jutro grzecznie pojedziesz do domu. I na pewno znajdziesz kogoś, kto zapewni ci lepsze życie niż ja.

Odwróciła się do mnie plecami.

— Nie pójdzie ci tak łatwo — powiedziała z jakąś zawziętością w głosie. — Chcę, żebyś chociaż spróbował! Żebyś przestał się bać!

— Bać? — roześmiałem się. — To niedobre określenie.

Ale kiedy myślałem o jej słowach, wpatrując się w ciemność, wiedziałem, że najprawdopodobniej ma rację. Tyle, że tak czy inaczej, nic z tego wyniknąć nie mogło.

###### \* \* \*

Usłyszałem czyjeś ostrożne kroki w krzakach i momentalnie się obudziłem. Nie otwierałem jednak oczu. Wolniutko przesunąłem dłoń i zacisnąłem palce na rękojeści sztyletu. Ale potem powiew wiatru przyniósł w moją stronę charakterystyczny zapach, i wiedziałem już, że to zbliża się nie kto inny, lecz Kostuch. Otworzyłem oczy i ostrożnie wysunąłem się spod płaszcza, tak, aby nie obudzić Loretty. Słońce stało już wysoko, ale było chłodno, a trawa pokryła się rosą. Loretta jęknęła coś przez sen i przekręciła się na bok. Spod płaszcza wysunęła się jej noga. Zgrabne, kształtne udo i pięknie zarysowana pęcina.

— Czego budzisz ludzi, Kostuch? — spytałem cicho i podszedłem do niego. — Czego się skradasz?

— Tak tam cię szukałem — mruknął. — Czas już jechać, nie?

— Pewnie czas — odparłem i spojrzałem w stronę śpiącej kobiety.

— Zostawiasz ją tu? Zabierasz do Hezu?

Uśmiechnąłem się.

— Kostuch... do Hezu? Zwariowałeś, chłopie? Co ja tam z nią robił?

— Już ja wiem, co byś robił... — Widziałem, że nie może oderwać spojrzenia od jej nagiej nogi. Oblizał się bezwiednie.

— Może mógłbym, co, Mordimer? — wskazał Lorettę krótkim ruchem podbródka.

— Na miecz Pana! Zupełnie ci odbiło?

— Pilnowałem Gunda — mruknął naburmuszony. — Nakarmiłem go i odprowadziłem w krzaki, żeby się wysrał. Nawet palcem go nie tknąłem, Mordimer. Jest zdrowy, nażarty i wyspany.

— I co? W związku z tym uważasz, że ci się należy nagroda? — Rozbawiła mnie jego argumentacja, bo był jak dziecko.

Wzruszył tylko ramionami. Loretta znowu poruszyła nogą, gdyż jakaś mrówka spacerowała po jej łydce. Kostuch głośno przełknął ślinę.

— A w zasadzie, wiesz co — powiedziałem nagle. — Weź ją sobie, jak chcesz.

Spojrzał na mnie, a oczy mu się rozjaśniły.

— Naprawdę, Mordimer? Mogę?

— Naprawdę, naprawdę — odparłem. — Tylko, Kostuch — Podszedłem tak bliziuteńko do niego, że ostra woń jego skóry i potu zalała mi nozdrza. — Możesz się pobawić, ale nie wolno ci jej skrzywdzić, rozumiesz?

— Ej, no znasz mnie przecież...

— Właśnie dlatego to mówię, że cię znam, łobuzie. — Uśmiechnąłem się, ale zaraz spoważniałem. — Nie zawiedź mnie, Kostuch.

Milczał przez chwilę.

— Wiesz, Mordimer — powiedział cicho. — Myślę, że kiedyś mnie zabijesz...

— Co takiego?!

— Kiedyś mnie... — zmarszczył brwi, bo szukał właściwego słowa — poniesie. A ty mnie wtedy zabijesz... chyba.

— Co ty w ogóle, Kostuch, gadasz? — żachnąłem się, bo nie tylko zdumiały mnie jego przemyślenia, ale zastanawiałem się, czy przypadkiem nie ma racji. — Daję ci ładną dziewkę, więc się zabaw i nie zawracaj sobie głowy głupotami. Wiesz, że ty tu nie jesteś od myślenia.

— Wiem — odparł. — Dziękuję, Mordimer — dodał po chwili.

— Aha, Kostuch — odwróciłem się jeszcze. — Tylko nie zapomnij później mojego płaszcza.

— Jasssne — odmruknął, znowu wpatrzony w Lorettę.

Szybkim krokiem poszedłem w stronę obozowiska. Kiedy byłem mniej więcej w połowie drogi, usłyszałem przeraźliwy kobiecy krzyk.

— Nie, nie! Moooordimer!

Przystanąłem na moment, ale zaraz zagryzłem wargi i poszedłem dalej.

— Jeeeezu, proszę, nie! Moordimeeee... — Krzyk urwał się nagle, jakby ktoś zatkał jej usta.

Kiedy doszedłem do naszej polanki, zobaczyłem, że bliźniacy są już gotowi do drogi, a doktor Gund siedzi na siodle swego konia.

— Dobra, chłopaki, jedziemy — powiedziałem.

— A co tam niby z Kostuchem? — spytał Drugi.

— Zabawia się. — Uśmiechnąłem się, choć nie wiem czemu, ale wcale uśmiechać się nie chciałem. Minęła jednak już wieczność i było za późno, by wracać. — Dogoni nas.

— Z tą tam, niby czarownicą? — Czyżbym usłyszał zdumienie w głosie Drugiego?

— A co? Z dziuplą? — warknąłem — jedziemy!

Koło południa dogonił nas Kostuch. Zziajany i zadowolony.

— Pamiętałem o płaszczu — powiedział, podjeżdżając do mnie i wręczył mi zwinięty materiał.

— Dzięki — odparłem, a on uśmiechnął się szeroko i ruszył w stronę bliźniaków.

Rozwinąłem płaszcz i zobaczyłem smugę krwi. Wpatrywałem się przez chwilę w szkarłatny ślad na ciemnej materii, po czym przewiesiłem płaszcz przez siodło.

Odetchnąłem głęboko i ścisnąłem mocniej wodze. Nie miałem sobie nic do zarzucenia. Ostrzegałem ją, że nie pasujemy do siebie, mówiłem, aby za nami nie jechała i namawiałem, by powróciła do domu. Ale Loretta dokonała wyboru i musiała za ten wybór zapłacić. Miałem tylko nadzieję, że żyła, ale nie zamierzałem wracać i tego sprawdzać.

— Hej, Mordimer — wrzasnął Kostuch. — Pośpiewamy sobie?

— Czemu nie? — odparłem pytaniem i odetchnąłem głęboko.

A potem zaczęliśmy śpiewać, by umilić sobie nudną podróż i zapomnieć o miasteczku Thomdalz, do którego z całą pewnością nigdy już nie wrócimy.

## Siewcy grozy

Wytracę mądrość mędrców, a przebiegłość przebiegłych zniweczę.

Św. Paweł, I List do Koryntian

Zabłądziliśmy. Cholernie zabłądziliśmy. Brodziliśmy od świtu w tak gęstej mgle, że ledwo co widzieliśmy pyski koni. Mgła, jak szary kłąb gazy, otaczała nas i otulała, wciskała się pomiędzy gałęzie drzew i krzewy, pokrywała leśne przecinki. Ale byliśmy już bardzo spóźnieni, więc podjąłem błędną decyzję, by jechać dalej. A należało przeczekać. Rozbić obozowisko na polanie, rozpalić ogień i poweselić się przy bukłaku wina. Niestety. Również Mordimer Madderdin popełnia błędy. Jestem, co prawda, licencjonowanym inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu, ale nawet to nie daje mi koncesji na nieomylność. W końcu wszyscy jesteśmy ludźmi, a mylić się jest rzeczą jakże ludzką.

— I co teraz? — zapytał Kostuch, który jechał strzemię w strzemię ze mną.

Spod kaptura płaszcza widziałem tylko ostry zarys jego twarzy. I mgłę. Mgłę, w której nie czułem nawet specyficznego zapachu — zwykle sygnału rozpoznawczego Kostucha. Głos mego towarzysza dobiegał tak, jakby nie był on oddalony na wyciągnięcie ręki, ale wołał z drugiego brzegu rzeki.

— Co teraz? Co teraz? — mruknąłem rozdrażniony. — Podobno wiedziałeś, gdzie jest zachód...

Na zachodzie był brzeg rzeki i tam właśnie mieliśmy dotrzeć. Potem przeczekalibyśmy mgłę i znaleźli bród. A teraz Bóg tylko jeden wiedział, czy nie zrobiliśmy całej podróży w zupełnie innym kierunku. W każdym razie rzeki nie było. Żaden z nas nie znał okolicy, a zresztą w tej piekielnej mgle nawet najlepszy zwiadowca nie poradziłby sobie z określeniem prawidłowego kierunku marszruty.

Obiecywałem sobie, że odpoczniemy zaraz, kiedy tylko gąszcz starych drzew i krzewów ustąpi miejsca jakiejś łące albo polanie. Bo tu mogliśmy po prostu zatrzymać się w środku głuszy i czekać na zmiłowanie pośrodku białego całunu. A chłopcy nie mieli na to ochoty. Woleli już jechać. W byle jakim kierunku, lecz jechać. Nie podzielałem ich obaw, bo wasz uniżony sługa nie jest człowiekiem przesądnym, ale przyznam, że ta gęsta, wilgotna, biało-szara mgła przejmowała mnie niepokojem. Sama myśl o tym, iż mógłbym siedzieć w bezruchu pośrodku niej, budziła jakiś irracjonalny sprzeciw. A ja zwykłem słuchać głosu instynktu. Nie raz i nie dwa uratował mi przecież życie. Nie raz i nie dwa również zawiódł, ale to już zupełnie inna historia.

Podróżowaliśmy wolno, noga za nogą, i miałem nadzieję, że nie przydarzy się nam nic złego. W końcu nie zobaczylibyśmy na przykład brzegu urwiska, nawet gdyby wyrósł tuż pod kopytami naszych koni. A biedny Mordimer, oczywiście, jechał jako pierwszy. Za mną i Kostuchem wlekli się na wielkim, karym ogierze bliźniacy, którzy zawsze jeździli na jednym wierzchowcu i mieli nawet specjalnie przystosowane do tego celu siodło.

— Może się zatrzymamy? — zaproponowałem wbrew sobie, a mgła zdusiła moje słowa.

Ale usłyszeli je. I nic nie odpowiedzieli. Mogłem po prostu wydać rozkaz, bo Kostuch i bliźniacy byli po to, by słuchać. Ale z jakiegoś nieznanego bliżej powodu, wydawać takiego rozkazu jednak nie chciałem.

I nagle mój koń parsknął, a potem zatańczył na ścieżce. Ściągnąłem mu wodze i poklepałem lekko po szyi.

— No, stary — powiedziałem. — Co jest?

Ale zwierzę nie chciało iść. Przerażony wałach szarpał głową i widziałem, jak jego uszy przytulają się do łba. Zeskoczyłem z siodła i wdepnąłem w coś. W ciało. W martwe ciało. W martwe ciało młodego mężczyzny, mówiąc dokładniej.

— Co za cholera... — Oddałem wodze Kostuchowi i nachyliłem się nad trupem.

Zwłoki były nagie, a ciało ohydnie poszarpane. Nie przez kły i pazury zwierząt, mili moi. Ktoś nieźle pokiereszował tego młodzieńca. Wyglądał jak kawał mięsa w rzeźni. Zaschnięta krew, rozcięty brzuch, prawie oberżnięta przy samym ramieniu lewa ręka, czaszka zmiażdżona tak, że prawe oko wypłynęło z oczodołu. A w lewej źrenicy, martwej i pustej, zastygł porażający strach.

— Chodź tu, Kostuch... — rozkazałem.

Nachylił się koło mnie i gwizdnął przeciągle. A raczej starał się gwizdnąć, bo wyszło mu coś w rodzaju dmuchnięcia przez usta.

— Ale dali — mruknął.

— Milutko, co? W tej cholernej mgle nawet nie usłyszymy, jak ktoś nam wsadzi miecz pod żebro.

Kostuch kucnął i uważnie oglądał ciało.

— Ależ go tłukli, Mordimer — powiedział, kręcąc głową. — Patrz tu. — Dotknął palcami obojczyka umarłego. — Nawet go pogryźli...

Rzeczywiście, obok plam krwi i ran zadanych jakimiś narzędziami, wyraźnie dostrzegłem ślady po zębach i kawał wyszarpanego ciała. I to faktycznie były ślady po ludzkich zębach.

— Znowu ktoś się bawi w wilkołaka? — spytałem. — Nieee — odpowiedziałem sam sobie. — Nie używaliby wtedy broni.

Kostuch szarpnął ciało, tak że złączone do tej pory nogi rozdzieliły się.

— Patrz tu — powiedział.

Pomiędzy udami mężczyzny ziała czerwona, szarpana rana. Tam niegdyś były genitalia, teraz nie zostały po nich nawet strzępy. Widziałem w życiu gorsze rzeczy, ale ta bezsensowna śmierć robiła jednak wrażenie. Bezsensowna, bo nie widziałem celu w masakrowaniu w ten sposób człowieka i porzucaniu ciała w głuszy. Zwłaszcza, że obrażenia sprawiały wrażenie, jakby zadano je prawie jednocześnie. A więc nie tortury, a potem śmierć, tylko najpierw zwierzęco dzikie masakrowanie żywego ciała, a potem pastwienie się nad zwłokami.

— Zabrali? — zapytałem. — Jego fiuta?

— Raczej zjedli — mruknął Kostuch i wskazał następne ślady po zębach, tym razem widniejące na udach i podbrzuszu. — Mówię ci, Mordimer, to wilkołaki.

Słowo „wilkołaki” być może nie było nazbyt dobrym określeniem. Za bardzo kojarzy się ono z różnymi głupstwami, bajędami i legendami, którym ludzie racjonalnie myślący (tacy jak wasz uniżony sługa) nie dają posłuchu. Przemiana człowieka w wilka jest niemożliwa ze względów czysto anatomicznych. Wiem to dobrze, mili moi, gdyż studia anatomiczne należały do mego wykształcenia. Nie sądzicie chyba, że można wygrywać muzykę ludzkiego ciała, nie posiadając stosownego wykształcenia oraz przygotowania?

Tyle, że niektórzy koniecznie chcieli się w takie wilki jednak zamieniać. Ganiali więc po polach i lasach, nadzy lub ubrani jedynie w zwierzęce skóry i napadali Bogu ducha winnych podróżnych albo miejscowych wieśniaków. Nieraz już takiego wilkołaka — nie wilkołaka zdarzało się nam schwytać i posłać tam gdzie jego miejsce — na szubienicę. Czemu nie na stos? — zapytacie. Ano dlatego, by pokazać, że zwykła konopna lina zupełnie wystarcza na przebierańca, i niepotrzebne są do tego święte płomienie.

— Jakoś dziwnie zaopiekowali się jego rzeczami, jak na wilkołaki — powiedziałem sarkastycznym tonem. — Myśl czasami, Kostuch, co?

Parsknął tylko, ale nic nie powiedział, bo wiedziałem, że w gruncie rzeczy się ze mną zgadza.

— Co robimy? — zapytał.

— A co mamy robić? — wzruszyłem ramionami. — Jedziemy dalej. Wilki będą miały obiadek.

Przeprowadziliśmy konie obok trupa i wskoczyliśmy na siodła. Tyle zdążyliśmy zrobić, kiedy zobaczyliśmy następne ciało. Tym razem młodej, nagiej dziewczyny. Jej jasne, skołtunione włosy były zlepione krwią, skóra twarzy niemal oderwana od kości, a prawa pierś wygryziona tak, że wisiały z niej jedynie strzępy. Zauważyłem, że nie miała również palców u jednej z dłoni.

— To bez sensu, Mordimer — powiedział Kostuch, kiedy znowu kucaliśmy obok zwłok. — To nie ma żadnego sensu.

Nie musiał mi tego mówić. Ale ludzie, moi mili, nie zawsze kierują się rozumem. Uczucia i emocje rządzą naszymi zachowaniami, jak świat światem, i rządzić będą do końca tegoż świata. A tu widać uczucia i emocje podpowiadały mordercom, iż ciała należy zmasakrować, a potem częściowo zjeść. Zresztą z całą pewnością nie chodziło o głód, lecz o perwersyjną rozkosz wbicia się zębami w ludzkie mięso i szarpania go na strzępy. Szkoda, że na świecie jest tylu osobników złych i zdegenerowanych. Cóż, Pan doświadcza rodzaj człowieczy, ale stworzył również nas — inkwizytorów, którzy jesteśmy strażnikami porządku i siewcami miłości.

###### \* \* \*

Mgła ustąpiła. Nadal przy ziemi snuły się szarawe strzępy, a powietrze było przesycone wilgocią, ale w porównaniu z wczorajszym dniem pogodę można byłoby nazwać wręcz uroczą. Przynajmniej widzieliśmy teraz las i przecinki wśród drzew oraz słońce próbujące prześwitywać zza mglistego całunu.

Siedzieliśmy przy śniadanku złożonym z jęczmiennych placków, mięsa i wina, kiedy usłyszałem dobiegający z lasu hałas, jakby ktoś nieostrożnie i w pośpiechu przedzierał się przez krzaki. Drugi spojrzał również w tamtą stronę i położył kuszę na kolanach. Być może był to zbytek ostrożności, gdyż hałas wywołany został przez jednego człowieka lub duże zwierzę, ale zważywszy na doświadczenia poprzedniej nocy... Jeden tylko Kostuch nie zareagował i, mrużąc oczy, obgryzał spokojnie pieczyste, a tłuszcz skapywał mu po brodzie.

Hałas się zbliżał, aż wreszcie na polanę wpadła kobieta w podartej kapocie. Miała rozwichrzone włosy i wyraz obłędnego przerażenia na twarzy. Kiedy nas dojrzała, najpierw stanęła jak wryta, a potem pobiegła w naszą stronę krzycząc i szlochając.

— Ratujcie, szlachetni panowie, ratujcie w imię Jezusa!

Wpadła w nasz krąg, przewróciła bukłak z winem i wylądowała w objęciach Kostucha. Ale kiedy uniosła głowę, zobaczyła twarz mego towarzysza i musiała sobie zdać sprawę, iż być może wpadła z deszczu pod rynnę. A ścigające ją niebezpieczeństwo mogło okazać się niczym w porównaniu z tym, przed czym stanęła twarzą w twarz. Szarpnęła się w tył, ale Kostuch przytrzymał ją mocno w pasie.

— A dokąd to, turkaweczko? — zapytał słodkim głosem. — Spieszno ci gdzieś?

Jego ręka już błądziła w okolicy piersi dziewczyny. A miała wokół czego błądzić, bo piersi te prezentowały się pierwszorzędnie. Przynajmniej, jeśli mogłem to ocenić, patrząc na jej porwany kaftan.

— Zostaw, Kostuch — rozkazałem. — Chodź tu! — Szarpnąłem dziewczynę za rękę, klapnęła na ziemi obok mnie.

— Uspokój się — powiedziałem. — Masz! — Podniosłem bukłak, w którym ocalały jakieś resztki, i wlałem wino w jej usta.

Zauważyłem, że kobieta, chociaż ma zmierzwione włosy i podrapaną twarz, to jest nawet całkiem ładna. Nie taka znowu młoda, ale jednak ładna. Ona przyssała się do wina, opróżniła bukłak, splunęła, a potem zwymiotowała za siebie. Kostuch parsknął zniecierpliwiony, a dziewczyna przetarła wargi wierzchem dłoni i znowu zaczęła przeraźliwie szlochać. Obróciłem ją do siebie i strzeliłem w policzek otwartą dłonią. Raz, drugi, mocno. Zaskowyczała, a potem umilkła i wtuliła się we mnie całym ciałem. Teraz chlipała mi gdzieś pod pachą. Pierwszy roześmiał się.

— Mordimer został, prawda, niańką — powiedział.

— Zamknij się, matole — mruknąłem i poklepałem dziewczynę po plecach. — No mów, moje dziecko, co się stało — zwróciłem się do niej, nadając głosowi łagodne brzmienie. — Pomożemy ci, jeśli tylko będziemy mogli.

— O tak, pomożemy. — Drugi wykonał charakterystyczny ruch biodrami.

Mój Boże — pomyślałem — muszę pracować z gromadą idiotów i zwyrodnialców. Czemuż, ach czemuż, mój Panie, w tak okrutny sposób pokarałeś biednego Mordimera? Dlaczego nie mogę siedzieć w Hezie, popijać winka w karczmach i chędożyć swawolnych dziewek? Tylko muszę obijać się po wertepach, oglądać zwłoki zmasakrowanych i częściowo objedzonych ludzi, pocieszać przerażone niewiasty oraz wysłuchiwać idiotycznych żartów towarzyszy podróży. Wiem, że Bóg jest samym dobrem, ale czasami ciężko mi w to uwierzyć.

— Moje dziecko — przemówiłem znowu. — Proszę, powiedz, co cię trapi?

— Jesteście księdzem, panie? — odezwała się, unosząc głowę, a Pierwszy parsknął śmieszkiem.

— Taaa i ochrzci cię, prawda, swoją kropielnicą, córeczko — zadrwił.

— Nie jestem księdzem — odparłem, nie zwracając uwagi na bliźniaka — ale inkwizytorem.

— O, Boże! — wykrzyknęła, a w jej głosie była prawdziwa radość. — Jak to dobrze! Jak dobrze! Bóg mnie wysłuchał!

Niemal słyszałem, jak Pierwszy kłapnął zębami ze zdumienia. Bo widzicie, mili moi, ludzie rzadko kiedy witają inkwizytora okrzykami radości i nieczęsto okazują mu, jak bardzo są szczęśliwi z jego obecności. Słysząc, iż w pobliżu jest inkwizytor, większość osób ma ochotę szybko znaleźć się w innym miejscu. Tak, jakby nie wiedzieli, że zajmujemy się tylko winnymi herezji, kacerstwa oraz czarów, a nie mamy powodów, by niepokoić prawych i bogobojnych obywateli.

Oni się zdumieli, a ja się zaniepokoiłem. Kiedy prosta, przerażona kobieta uważa, że największym szczęściem dla niej będzie spotkanie inkwizytora, oznacza to, iż ujrzała coś naprawdę strasznego. Coś odbiegającego od normy. Coś budzącego lęk swoją nienaturalnością.

— Powiesz mi wreszcie co się stało?

— Napadli na nas... Oni... Ci, ci, ci... — zająknęła się, więc potrząsnąłem nią.

— Kto, na miecz Pana!?

— Nie wiem. — Jej twarz wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia. — Byli jak ludzie i nie jak ludzie. Zabijali... wszystkich... gryźli, odrywali mięso... — zatchnęła się, a potem zwymiotowała znowu. Tym razem tuż obok mojego buta.

Poklepałem ją uspokajająco po plecach.

— Już dobrze, moje dziecko. Nie damy ci zrobić krzywdy. Kim jesteś?

— Mieszkam tu w wiosce — powiedziała, chlipiąc. — Wszystkich zabili. Wszystkich. Dzieci też.

— Kim byli? Jak wyglądali?

— Jak ludzie — spojrzała na mnie, a w jej wzroku było jakieś potworne niezrozumienie. — I nie jak ludzie. Mieli takie oczy... i tak krzyczeli... Boże mój, tak krzyczeli... Śmiali się i zabijali, rzucali oderwanymi głowami, wyrywali flaki... — Znowu ukryła głowę pod moją pachą.

— Zaprowadzisz nas tam — powiedziałem.

— Nie! — wrzasnęła, aż zaświdrowało mi w uszach. Próbowała się wyrwać, ale przytrzymałem ją bardzo mocno.

— Spokojnie, moje dziecko — powiedziałem. — Popatrz na mnie. No, popatrz na mnie! — rozkazałem ostrzej.

Podniosła wzrok.

— Jestem licencjonowanym inkwizytorem biskupa Hez-hezronu — powiedziałem. — Nazywam się Mordimer Madderdin. Całe lata uczono mnie nie tylko przesłuchiwać ludzi, nie tylko prawd naszej wiary. Uczono mnie też walczyć. Spójrz tutaj. — Wziąłem w dłonie jej głowę i obróciłem ją twarzą w stronę Kostucha. — To mój pomocnik. Żołnierz i morderca. Zabił więcej ludzi, niż potrafiłabyś zliczyć, a nawet pomyśleć...

Kostuch skłonił się ironicznie, ale na jego twarzy pokazał się lekki uśmiech. Dzięki temu wyglądała ona jeszcze straszniej niż zwykle.

— I spójrz też na nich. — Wskazałem bliźniaków. — Nieduzi są wzrostem, prawda? Ale nie znajdziesz lepszych w kuszy i sztylecie. To nie my lękamy się potworów i ludzi, moje dziecko. To potwory oraz ludzie umykają przed nami. I wiesz dlaczego? Nie tylko dlatego, że jesteśmy silni i szkoleni. Z nami jest chwała i miłość naszego Pana Boga Wszechmogącego oraz Jezusa Chrystusa, który, schodząc w chwale z krzyża swej Męki, mieczem i ogniem ukazał nam, jak rozprawiać się z wrogami.

Nie wiem, czy moje słowa w pełni do niej docierały, ale z całą pewnością ją uspokajały. W jej oczach nie było już takiego obłędu, a rysy twarzy wygładziły się.

— Jak ci na imię, moja miła? — zapytałem. — Masz jakieś imię, prawda?

— Elissa — powiedziała, mrugając nerwowo. — Mam na imię Elissa, panie.

— Zaprowadzisz nas więc, Elisso, do wioski. To niedaleko stąd, prawda?

— Kilka mil — odparła cicho i rozejrzała się. — Biegłam przez las...

— A teraz pójdziemy spokojniutko. Wsadzę cię na mojego konia...

Drugi, słysząc te słowa, parsknął głupim śmiechem i poklepał się po udach, ale spojrzałem na niego w taki sposób, że uśmiech zgasł mu na twarzy. Bliźniak odwrócił wzrok i udał, że strzepuje coś z nogawic.

— ... i pojedziesz jak dama, dobrze?

— Dobrze, panie — odparła.

— Będziemy cały czas koło ciebie i nikt nie wyrządzi ci krzywdy, rozumiesz?

— Tak, panie — powiedziała. — Ale co ja zrobię? Co ja zrobię, kiedy wszystkich zabili?

— Kto tu jest panem? — spytałem. — Kto włada tymi ziemiami?

— Pan hrabia — odparła.

— Jaki hrabia? — westchnąłem.

— Hrabia de Rodimond — zagryzła język, żeby sobie przypomnieć.

Nigdy w życiu nie słyszałem takiego nazwiska, ale nie było w tym nic dziwnego. Cesarz ostatnimi laty przyznawał tytuły hrabiowskie tak często, jakby je wyciągał z kapelusza. I teraz prawie każdy właściciel zamku oraz paru wiosek już mienił się hrabią lub lordem lub nawet księciem. Sam znałem książąt, którzy nie mieli nawet gotówki, by kupić drewno na zimę, ale za to z zapałem rozprawiali o rodowych koligacjach i szlachetnym pochodzeniu, a córki chętnie wydawali za majętnych mieszczan, pod warunkiem, że ci odpowiednio podsypali złotem. Więc pewnie de Rodimond należał właśnie do takiego pokroju ludzi.

— Wiesz, gdzie jest jego zamek? — spytałem.

— Dzień drogi stąd — powiedziała po chwili. — Trzeba iść wzdłuż rzeki.

— Dobrze — odparłem. — Umówmy się tak, Elisso. Kiedy pokażesz nam już wioskę i opowiesz o napadzie, pojedziemy do zamku twego pana, gdyż musi on dowiedzieć się o tym, co stało się na jego ziemiach. A ja poproszę, by znalazł dla ciebie pracę i dach nad głową w zamku. Dobrze?

— Och, dziękuję ci, panie — krzyknęła z prawdziwą radością w głosie i przycisnęła moją dłoń do ust.

Uśmiechnąłem się, bo lubię ludzi, którzy potrafią okazywać wdzięczność. Pogłaskałem ją po zmierzwionych włosach.

— Jedźmy więc — rozkazałem i wstałem z miejsca.

###### \* \* \*

Do wioski Elissy dotarliśmy w kilka pacierzy. Osada leżała w rozszerzeniu rzeki i była typowa dla cesarskiego pogranicza — terenów niezbyt bezpiecznych, słabo zaludnionych, a zimą nawiedzanych przez hordy głodnych wilków, albo, co gorsza, wygłodniałe niedźwiedzie (jeśli ktoś był na tyle głupi, by je budzić z zimowej drzemki). Domy były solidnie zbudowane, wzniesione z potężnych bierwion. Budowniczowie wycięli jedynie niewielkie wyloty okienne i równie małe wyloty drzwiowe. Widać, że każdy z tych domów został przystosowany do tego, by mieszkańcy mogli łatwo obronić się przed niespodziewanym napastnikiem. Jakże inne to było od chatynek z darni i gliny, tak częstych w bezpiecznych okolicach Hezu, gdzie zimy były łagodne, a biskupi justycjariusze na gardle karali każdego, kto byłby skory do gwałtów lub rabunków.

Trupy leżały wszędzie. Przy studni i na progach domostw. Ktoś próbował uciekać do rzeki i leżał teraz na płyciźnie, z wybałuszonymi, omywanymi przez fale, oczami. Ktoś inny widać stawiał opór, bo miał jeszcze w ręku zakrwawioną siekierę o dwóch ostrzach. Nic mu to nie pomogło. Dwie kobiety leżały zwinięte w kłąb, jak porzucone szmaty, i widziałem, że do końca próbowały chronić dzieci. Jedno z nich miało oderwaną od tułowia głowę, drugie przytulało się do oberżniętego ramienia matki, a czaszkę strzaskał mu potężny cios. Tak mocny, że czaszka ta była tylko rudoczerwoną galaretą z wystającymi szpikulcami kości i szarymi naciekami rozlanego mózgu.

Widziałem wiele rzeczy w życiu. Widziałem ludzi umierających w salach tortur i ludzi smażonych na stosach, wdychających smród własnego, palonego tłuszczu. Widziałem spustoszone i spalone wioski. Widziałem, jak karze się buntowników i ich rodziny. Widziałem gwałty oraz rzezie. Ale ten widok był inny od wszystkiego. Dlatego, że ta masakra nie miała sensu. Kobietom i mężczyznom nie zdarto ubrań ani ozdób. Nie zabrano broni lub narzędzi. Nie widziałem śladów gwałtu, przesłuchań ani tortur. Wszystko wskazywało, że gromada napastników wdarła się do wioski i wymordowała mieszkańców dla czystej radości mordowania. Nie było im potrzebne nic, co mieli ci ludzie. Nie był to też sposób ich ukarania za jakieś winy. Buntowników karze się przecież w inny sposób. Zaskoczyło mnie tylko jedno. Dlaczego ciała napotkane w lesie zostały rozebrane, a tutaj wszystkie zwłoki nadal były w ubraniu? A może mężczyzna i kobieta w lesie zostali napadnięci, kiedy nago oddawali się cielesnym przyjemnościom? I dlatego nie znaleźliśmy ubrań? Tak czy inaczej, napastnicy nie byli wilkołakami. Wilkołaki nigdy nie używają broni. Ich przekonanie o tym, że są dzikimi zwierzętami nie pozwoliłoby im skorzystać z pałki, siekiery, czy włóczni. A na ciałach pomordowanych wyraźnie widziałem kłute, cięte oraz miażdżone rany.

— Jessa. — Dziewczyna jadąca na moim koniu wskazała palcem kobietę, której głowę rozbito o cembrowinę studni. — Moja przyjaciółka. — Chlipnęła i przetarła nos palcami. — Miała wychodzić za mąż...

Zsiadłem z konia i podałem jej rękę. Zawahała się przez moment, ale potem zeskoczyła. Widziałem, że stara się odwracać wzrok od trupów.

— Obejrzyjcie tu wszystko — rozkazałem chłopakom. — I meldujcie mi o każdej dziwnej rzeczy, którą dostrzeżecie.

— Tu wszystko jest dziwne — mruknął Kostuch.

Pchnąłem drzwi jednego z domów i zajrzałem do środka. We wnętrzu było pusto, tylko na palenisku leżał wywrócony kociołek. Skinąłem na Elissę.

— Zostań tu — rozkazałem. — A ja rozejrzę się po wiosce.

— Wrócicie po mnie, panie? Prawda? Wrócicie? — zabełkotała z przerażeniem.

— Elisso. — Wziąłem ją za rękę. — Oczywiście, że wrócę. Nic ci już nie grozi. Usiądź i czekaj na mnie.

Wyszedłem na zewnątrz i starannie zamknąłem za sobą drzwi. Nie przypuszczałem, by cokolwiek zagrażało nam w tej chwili, ale dziewczyna była jedynym świadkiem zbrodni. I być może, kiedy przyjdzie co do czego, rozpozna napastników. A wtedy nadejdzie czas Mordimera i jego w pokorze stawianych pytań. Wyjaśnijmy sobie jednak pewną kwestię, mili moi. Mordimer Madderdin — licencjonowany inkwizytor biskupa Hez-hezronu — nie jest rycerzem na białym koniu, obrońcą uciśnionych i biczem na złoczyńców. Świat rządzi się swoimi prawami, z których jedno mówi, iż słabi zawsze padają łupem silnych. Dlatego nie przejąłbym się specjalnie, gdyby chodziło o bandę maruderów albo opryszków grasujących po wsiach i ściągających haracz lub zabawiających się z miejscowymi dziewkami. Ale tu rzecz zdawała się o wiele poważniejsza i zastanawiałem się, czy w grę nie wchodzą czary lub wyznawanie jakiegoś pogańskiego kultu.

Podszedłem do Kostucha, który przykucnięty, oglądał z uwagą ciało starego mężczyzny z rozciętą na pół czaszką.

— Słyszałeś kiedyś o czymś podobnym? — zapytałem.

Kostuch ma znakomitą pamięć. Nie jest może zbyt bystry, ale potrafi przytoczyć co do słowa rozmowy sprzed lat, a wszystkie plotki i ploteczki urządziły sobie w jego głowie przytulny magazyn.

— Nie, Mordimer — podniósł na mnie wzrok. — O niczym, co przypominałoby tę wieś.

— Rytualne mordy? Kult siły i wojny? Ofiarny kanibalizm? — poddałem sam, nie za bardzo wierząc we własne słowa.

— Nie zgadza się, Mordimer — pokręcił głową.

— Wszystko jest nie tak.

— Znalazłeś coś? — Spojrzałem na zwłoki starego człowieka.

— To samo. Bity, kłuty, siekany, potem pogryziony...

— Pastwili się nad martwym już ciałem, prawda? Nic ci to nie przypomina?

Znowu pokręcił głową.

— Przykro mi, Mordimer.

Ja myślę. Mnie też było przykro. Nienawidzę nierozwiązanych zagadek, tajemnic i sekretów. Prawdziwą satysfakcję odczuwam dopiero wtedy, kiedy znajduję światełko w ciemnym tunelu. I teraz też wiedziałem, że nie spocznę, póki nie dowiem się, kto i dlaczego zabił tych ludzi. Nie zależało mi na ich życiu czy śmierci. Wieśniacy to tylko wieśniacy. Dobry Pan stworzył ich, by pracowali w znoju i trudzie, a potem umierali. Wszak Pismo mówi: *„oddajcie każdemu, co mu się należy. Komu podatek — podatek, komu cło — cło, komu uległość — uległość, komu cześć — cześć”.* I oni tak właśnie przez całe życie oddawali. A teraz, wreszcie, przyszło im oddać życie. Dla czyjejś zabawki.

Na czym mi, w takim razie, zależało, skoro ani nie litowałem się nad tymi ludźmi, ani nie miałem ambicji, by zamienić się w sprawiedliwy miecz prawa? Ano, zależało mi na sprawdzeniu własnych sił. Jak mógłbym w przyszłości spokojnie myśleć o tych dniach, wiedząc, że poddałem się i nie odnalazłem wytłumaczenia? Że nawet nie próbowałem odszukać światełka, i rakiem, chyłkiem wycofałem się z tajemniczego tunelu?

— A może — Kostuch zastanawiał się przez chwilę. — Może byś pogadał z nimi, Mordimer?

— Z kim? — nie zrozumiałem go.

— No... z nimi. — Powiódł ręką wokół.

— Ty chyba oszalałeś! — Nawet się na niego nie rozgniewałem. — Mam rozmawiać z umarłymi? Tego byś chciał, Kostuch? Na miecz Pana, dlaczego ja się z wami zadaję?

Wstałem i odszedłem od niego. Oczywiście, że mogłem próbować porozmawiać z umarłymi. Ich duchy unosiły się jeszcze tu gdzieś w pobliżu, pełne bólu, gniewu, żalu i niezrozumienia. Przywołanie tych duchów było mniej więcej tak samo bezpieczne, jak wejście do klatki z rozjuszonymi lwami. Zresztą, lwy najwyżej pozbawią cię życia, a zemsta umarłych może być dużo gorsza. Nie mówiąc już o tym, że nekromancji zabraniały święte zasady naszej wiary. Owszem, my inkwizytorzy, mieliśmy prawo łamania zasad w imię wyższej konieczności. Ale z całą pewnością konieczność taka nie zachodziła w tej chwili. Nawet, gdybym poradził sobie z duchami pomordowanych, z całą pewnością podobne zabawy nie spodobałyby się mojemu Aniołowi. A gniew Aniołów jest straszniejszy niż całe zło, które potraficie sobie wyobrazić i całe zło, którego wyobrazić sobie nie potraficie.

I kiedy odchodziłem od Kostucha (coraz bardziej zdumiony, iż śmiał w ogóle coś takiego zaproponować), nagle dojrzałem trzech jeźdźców otaczających zaprzężony w dwa konie wóz. Kawalkada nadciągała od północy.

— Mamy gości! — zawołałem.

Kostuch i bliźniacy spojrzeli we wskazanym przeze mnie kierunku. Potem wszyscy czterej stanęliśmy pośrodku wioski, tuż obok cembrowanej studni, przy której leżały jeszcze zwłoki młodej kobiety.

— Mają barwy — powiedział półgłosem Kostuch.

Rzeczywiście, trzech konnych wyraźnie ubierało się w barwy jakiegoś magnata. Mieli szarozielone kubraki z amarantowymi naszywkami, a ich konie były dobrze utrzymane, z bogatą uprzężą. Na wozie jechało następnych trzech mężczyzn, zapewne ze służby. Ale zauważyłem też, iż wszyscy byli dobrze uzbrojeni, w miecze i oszczepy. Słońce mieliśmy za plecami, więc przybysze dostrzegli nas później niż my ich. Ale nasza obecność wyraźnie ich zaniepokoiła. Zatrzymali się i naradzali przez chwilę, a potem znowu ruszyli w stronę wioski. Tym razem jednak zmienili szyk. Na koźle został tylko woźnica, a dwaj pozostali piesi szli po bokach wozu. Jeźdźcy zostali nieco z tyłu.

— Zdejmiemy ich? — zapytał Kostuch.

— A może przedtem porozmawiamy? — zaproponowałem. — Czyś ty dzisiaj do reszty zdurniał?

Kostuch warknął coś niezadowolony, a bliźniacy roześmieli się jednym głosem.

Na skraju wioski wóz zatrzymał się, a wszystkich sześciu mężczyzn podeszło do nas. Widziałem, że starają się zachować ostrożność, chociaż rozbawił ich widok bliźniaków. Jasnobrody, starszy mężczyzna o twarzy zasuszonego sępa, powiedział coś półgłosem, wskazując moich towarzyszy palcem, i wszyscy się zaśmiali.

Śmiejcie się, śmiejcie — pomyślałem. — Jak dojdzie co do czego, minie wam ochota do śmiechu. Bowiem ja, mili moi, nie zabieram ze sobą bliźniaków z uwagi na ich wygląd lub towarzyską atrakcyjność. Pierwszy i Drugi nie tylko dysponują interesującymi zdolnościami, które człowiek prosty mógłby nazywać magią. Obaj są mordercami. Wyćwiczonymi, pozbawionymi skrupułów i mocnymi, niczym przybrzeżne trzemy.

— Kim jesteście, ludzie? — zakrzyknął jasnobrody.

— Sam się opowiedz — rzekłem spokojnie.

— Jestem porucznik Rons ze straży pana hrabiego de Rodimond — odparł, a na jego blade policzki wypełznął rumieniec. — Gadaj lepiej kim ty jesteś, zanim nie każę was ubić.

Kostuch roześmiał się i odrzucił kaptur z głowy. To zrobiło wrażenie. To zawsze robi wrażenie.

— Co tu się stało? — Powiodłem dłonią wokół. — Dlaczego ci ludzie zginęli i skąd ty się tu wziąłeś?

— Na Boga, człowieku. — Koń porucznika zatańczył spięty ostrogą. — Nie usłyszałeś, co mówię? Gadaj kim jesteś!

— Jestem Mordimer Madderdin — rzekłem, wstając z cembrowiny. — Licencjonowany inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu.

Przez chwilę przyglądał mi się badawczo.

— Zmykajcie stąd — rzekł wreszcie. — Inkwizytor, czy nie, nie masz tu nic do roboty.

— Nie? A może jednak? — powiedziałem zimno, bo nie podobał mi się ani ten człowiek, ani jego ton. — Twój pan będzie mi musiał odpowiedzieć na kilka pytań.

— Hrabia nie zadaje się ze śmieciami — warknął towarzysz porucznika, młody mężczyzna o gładko wygolonej twarzy i niebieskich oczach.

— A ty co? Jesteś jego laleczką? — burknął Kostuch.

Młodzieniec spiął konia i ruszył w stronę Kostucha. Stanąłem mu na drodze.

— Pokój! — zawołałem drwiąco. — Pokój między chrześcijany!

— Zostaw! — warknął porucznik do towarzysza. — Skoro chcesz — zwrócił się w moją stronę — możecie jechać z nami. Ale powiem ci od razu, inkwizytorze, że pan hrabia nie przepada za tobie podobnymi.

Cieszyłem się, iż nie wybrał walki. Nie wiem, czy uznał, że próba zabicia inkwizytora mogłaby mu mocno zaszkodzić, czy też zrozumiał, że inkwizytor oraz jego towarzysze nie mogą być łatwymi celami. Tak czy inaczej, wydawał się człowiekiem postępującym rozsądnie.

— Nie jesteśmy od tego, by nas lubić — odparłem ze szczerym uśmiechem. — Jesteśmy od tego, by dawać ludziom słodką radość wyznania grzechów. A tu widzę ich sporo. — Znowu zatoczyłem krąg dłonią.

— Ano tak — porucznik zeskoczył z siodła. — Ładujcie trupy — rozkazał służbie. — Nie zadawaj mi pytań, inkwizytorze, bo nie wolno mi na nie odpowiadać. Ale jeśli pan hrabia uzna, że jesteś przydatnym narzędziem, być może wyjawi ci, co się tutaj dzieje.

— Wszyscy jesteśmy narzędziami tylko w ręku Boga — odparłem, patrząc mu prosto w oczy, a on nie odwrócił wzroku.

Wiedziałem, że w posiadłości hrabiego będę szukał odpowiedzi na jedno pytanie: jak to się stało, że wóz zbierający trupy i żołnierze hrabiego przybyli do wioski w kilka godzin po masakrze? Skoro do zamku był dzień drogi?

###### \* \* \*

W czasie podróży do letniego dworu hrabiego (tak nazywał tę posiadłość porucznik Rons) nie wydarzyło się nic godnego wzmianki. Towarzysze porucznika i służba musieli dostać ścisły zakaz rozmawiania z nami, bo odzywali się jedynie zapytani, a i to niechętnie oraz półgębkiem. Ale ja również nie starałem się być wścibski. W końcu tak czy inaczej, wszystkiego dowiemy się na miejscu. Na razie jechaliśmy w przemiłym towarzystwie kilkunastu trupów (zauważyłem, że służba pozbierała wszystkie zwłoki, jakie napastnicy pozostawili we wsi) i całe szczęście, iż droga była krótka, a na dworze dość chłodno, gdyż w innym wypadku moje delikatne powonienie mogłoby zostać narażone na pewnego rodzaju dyskomfort. Nie jestem może człowiekiem nadmiernie wrażliwym, ale jakoś wolę zapach lasu i łąki od smrodu rozkładających się ciał. A są ludzie, którym to nie przeszkadza. Jak chociażby mój drogi Kostuch, który sam zwykle cuchnie niczym kilkudniowy trup.

Jednak zanim wyjechaliśmy z wioski, wykorzystałem czas, kiedy ludzie porucznika zajęci byli zbieraniem ciał i wszedłem do chaty, w której zostawiłem Elissę. Kiedy usłyszała kroki rzuciła się do kąta i przywarowała tam niczym bity pies, ale zaraz uspokoiła się, kiedy zobaczyła, że to ja wchodzę do środka. Zawsze miła odmiana, bo ludzie na ogół nie odczuwają ulgi i radości widząc, że ich odwiedzam. Trudno zrozumieć, czemu lękają się inkwizytorów, którzy poświęcają przecież życie, by przysłużyć się zbawieniu każdego mężczyzny i każdej kobiety zamieszkujących ten padół płaczu.

— Posłuchaj mnie, dziecko — powiedziałem. — Posłuchaj bardzo uważnie, bo od tego może zależeć twoje życie.

Patrzyła na mnie w napięciu, bezwiednie wzięła w swe ręce moją dłoń i przycisnęła ją do piersi. Mówiłem już, że miała do czego przyciskać?

— Przyjechali tu ludzie twojego pana i jedziemy z nimi do zamku. Jesteś moją kobietą i wyruszyliśmy razem z Hezu, rozumiesz? Nigdy przedtem nie byłaś w wiosce i nie widziałaś, jak zabijano ludzi, ani żadnego z nich nie znałaś. Czy wyrażam się jasno?

— Tak, panie — odparła cicho.

— Trzymaj się blisko mnie i nie odzywaj się, choćby cię o coś pytano, rozumiesz? Nigdzie nie odchodź i nie dawaj się wyciągnąć na spytki. Staraj się nawet nie słuchać, jeśli cokolwiek będą mówić. Jeśli ktoś będzie chciał coś ci kazać albo zapyta, milcz i patrz na mnie. Jasne?

— Tak, panie — powtórzyła. — Ja nic nie rozumiem, ale...

Przerwałem jej, unosząc dłoń.

— Nic nie musisz rozumieć — rzekłem. — Słuchaj moich poleceń, a może uda ci się przeżyć.

Być może zastanawiacie się nad nadmierną czułostkowością i uczuciowością waszego uniżonego sługi. W końcu, jaki miałem interes w tym, by ratować nic nie warte życie dopiero co poznanej wieśniaczki? Otóż, mili moi, jak najdalszy jestem od tego, by odmawiać wartości czyjemukolwiek życiu. Zwłaszcza życiu kogoś, kto ocalał ze strasznej masakry, udowadniając tym samym, iż taka była właśnie wola Boga. A poza wszystkim Elissa była jedyną osobą, która widziała morderców. I kto wie, może w stosownej chwili jej wiedza mi się przyda? A może nawet ocali mi życie? Przyznam też — szczerze, z pokorą i niejakim zakłopotaniem — iż bardzo byłem ciekaw pełnych i kształtnych piersi Elissy. Miałem wrażenie, że całkiem przyjemnie będzie je zobaczyć falujące nad sobą i poczuć je w dłoniach. Zwłaszcza, że kobiety, wdzięczne wybawcy, odnajdują w sobie niewiarygodnie wielkie pokłady namiętności. Och, ja wiem, jakie to niskie i przyziemne myśli, ale po pierwsze, nie miałem już od kilku tygodni kobiety, a po drugie, jestem tylko człowiekiem ubogim duchem. I jak mówi Pismo, to właśnie dla takich jak ja przygotowano Królestwo Niebieskie.

Jednak wbrew moim obawom porucznik oraz jego ludzie nie zwracali szczególnej uwagi na Elissę. Dałem jej mój zapasowy płaszcz, pod którym skryły się wieśniacze szatki i trzymałem ją przez całą drogę blisko siebie. Była posłuszną dziewczyną i milczała przez całą podróż, a odpowiadała tylko wtedy, kiedy zadałem jej pytanie. Usłyszałem nawet, jak jeden ze służących mówi półgłosem do drugiego:

— Patrz, jak wytresował tę swoją kobitę — w jego głosie był podziw. — A moja strzępi ozór z byle powodu.

Przenocowaliśmy spokojnie, choć oczywiście nie omieszkałem rozkazać chłopcom, by na zmianę trzymali straż. Zauważyłem zresztą, iż tak samo postąpił porucznik Rons, co świadczyło o tym, że albo chciał mieć oko na nas, albo obawiał się pojawienia morderców. Choć ciężko było mi wyobrazić sobie bandę, która zaatakowałaby dziesięciu zbrojnych. Ja sam postanowiłem się wyspać, ale mam wrodzoną zdolność niezwykle czujnego snu, a zbliżające się niebezpieczeństwo działa na mnie niczym kubeł zimnej wody. Tym razem jednak spokojnie przedrzemałem do świtu, a w południe zobaczyliśmy położone w zakolu rzeki wzgórze, na którego zboczu wznosił się zgrabny, nieduży zameczek z dwoma wieżycami.

— Oto i jesteśmy — rzekł porucznik Rons, chyba tylko po to, by coś powiedzieć, bo sam przecież widziałem.

###### \* \* \*

Hrabia de Rodimond był zażywnym, łysiejącym czterdziestolatkiem z wyblakłymi, wyłupiastymi oczyma. Przyjął nas ubrany w skórzany, poplamiony fartuch, a na jego palcach zobaczyłem żółte ślady po kwasie. Gabinet, do którego weszliśmy, był jednym z najlepiej urządzonych laboratoriów alchemicznych, jakie zdarzyło mi się widzieć. Na stołach stały wielkie palniki, retorty, kociołki i chłodnice. Na półkach tłoczyły się setki słoików i buteleczek z kamionki, gliny lub brązowego szkła. Z alkowy obok dobiegał zapach ziół i zobaczyłem tam setki suszących się roślin. Poza tym, cóż, jak w każdym szanującym się laboratorium alchemicznym pełno tu było przedmiotów cudacznych i nikomu nie potrzebnych: wypreparowany łeb krokodyla, róg hippopotamusa, zasuszony nietoperz z rozpostartymi skrzydłami i wyszczerzonymi kłami, pazurzasta niedźwiedzia łapa oraz dwa ludzkie szkielety, jeden duży, drugi mały, a w dodatku pozbawiony czaszki. Na drewnianej półce, wzdłuż ściany, stało kilkanaście oprawnych w skórę książek.

Hrabia krzątał się przy stołach i szczypcami zdejmował właśnie z palnika tygielek, z którego walił upiornie śmierdzący i duszący dym. Na pewno substancja miała domieszkę siarki, bo bardzo wyraźnie czułem ten charakterystyczny zapach.

— Nie mam czasu, nie mam czasu... — Obrócił się w moją stronę. — Rons, kto to jest, u Boga Ojca?

— Mówiłem już, panie hrabio. To inkwizytor z Hezu.

— Mordimer Madderdin, do usług pana hrabiego — skłoniłem głowę, a de Rodimond obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem.

— Czyja prosiłem o inkwizytora, Rons?

— Nie, panie hrabio.

— To powiedz mu, żeby sobie pojechał.

Machnął ręką i obrócił się w stronę tygli.

— Za pozwoleniem, panie hrabio — powiedziałem uprzejmie, lecz twardo, bo nie miałem zamiaru dać się zbyć.

Porucznik Rons chciał mnie pociągnąć za rękaw, ale, spojrzałem na niego w taki sposób, że cofnął dłoń. Jego oczy pociemniały.

— Czego? — de Rodimond nie krył już zniecierpliwienia.

— Zakładam, że pan hrabia zechce jednak porozmawiać ze mną, a nie z oficjalną delegacją biskupa Hez-hezronu, która przyjedzie badać tu praktyki pogańskich kultów.

Drgnął, postawił tygiel na blacie i odłożył szczypce. Zakasłał.

— Pogańskich kultów? — prychnął, ale widziałem, że jest zaniepokojony, gdyż każdy wiedział, iż przysłanie oficjalnej komisji z Inkwizytorium nie wróżyło niczego dobrego.

— Widzieliśmy trupy — powiedziałem. — Zmasakrowane zwłoki mieszkańców jednej z wiosek. Porucznik przywiózł je do zamku pana hrabiego.

— Bandyci — burknął de Rodimond. — Wszędzie pełno tej hołoty. Jego Ekscelencja lepiej przysłałby mi justycjariuszy, a nie inkwizytora.

Zwalił się ciężko na obite wypłowiałym adamaszkiem krzesło.

— Przynieś wina, Rons — rozkazał — i trzy kielichy.

— To nie bandyci, panie hrabio — powiedziałem, będąc przekonany, że sam o tym doskonale wie. — Bandyci nie wyżerają mięsa ofiar, nie masakrują zwłok i nie zostawiają łupów. Domów w tej wiosce nikt nawet nie obrabował, a ciał nie obdarto z butów, ubrań ani ozdób.

Spojrzał na mnie spode łba.

— Może tak, może nie — powiedział. — Bandyci to bandyci, i nie wiadomo, co im strzeli do łbów.

— Bandyci, panie hrabio, zachowują się zwykle zdumiewająco racjonalnie — rzekłem. — Gdyż żyją z występku. I nie mordują dla samej radości mordowania. A przynajmniej nie w taki sposób. Czy pan hrabia wyobraża sobie rozbójników obgryzających zwłoki? Po co mięliby to robić?

— Zwłoki obgryzły zwierzęta — warknął i nie wiedziałem, dlaczego kłamie, gdyż sam nie wierzył we własne słowa.

— Pan hrabia wybaczy, ale jestem w stanie poznać ślad ludzkich szczęk i odróżnić je od zwierzęcych — odparłem uprzejmie. — Byłbym też niezwykle szczęśliwy, gdyby pan hrabia raczył mi wyjaśnić, jak to się stało, że żołnierze pana hrabiego zjawili się w wiosce już kilka godzin po masakrze, pomimo że zamek jest oddalony od wioski o dzień drogi.

Porucznik Rons musiał słyszeć te słowa, gdyż właśnie wracał z tacą, na której stał srebrny dzbanek i trzy szerokie kielichy. Widziałem jednak, że nawet brew mu nie drgnęła.

— Nalej — rozkazał de Rodimond. — Czy pan chce mnie przesłuchiwać, inkwizytorze? — wstał z krzesła. — Mnie, hrabiego de Rodimond?! Czy waży się pan poddawać w wątpliwość moje słowa?

— Szukam prawdy, wasza dostojność — odparłem grzecznie.

— To cesarskie pogranicze, inkwizytorze — rzekł — i nie podlega twej jurysdykcji.

— Czy wasza dostojność ma ochotę tłumaczyć to biskupiemu poselstwu, które przybędzie z Hezu, czy też woli porozmawiać ze mną?

— Grozisz mi? — Widziałem, że jest wściekły. Ale jednocześnie gdzieś w głębi jego oczu wyczytywałem lęk.

— Nigdy bym się nie ośmielił, panie hrabio, grozić przedstawicielowi tak znakomitego rodu — powiedziałem. — Mam tylko zaszczyt poinformować pana hrabiego o tym, jak przedstawia się sytuacja.

— Znakomitego rodu? — prychnął. — A to paradne! Założę się, że nie słyszałeś wcześniej o hrabiach de Roditmond, nieprawdaż?

— Z pokorą i żalem przyznaję, że moja wiedza na temat wielkich rodów arystokratycznych jest nader nikła — skłoniłem głowę.

— Umie słodzić ten inkwizytor, co, Rons? — hrabia roześmiał się i podał mi napełniony kielich. — Nie musisz mi pochlebiać, Madderdin, czy jak ci tam. Hrabiowski tytuł i nadanie lenn dostaliśmy, bo mojej świętej pamięci mamusia puszczała się z cesarskim koniuszym. Tak to już w życiu bywa, inkwizytorze. Mój pradziadek był uczciwym bednarzem, dziadek mniej uczciwym żołnierzem, ojciec przekupnym oficerem straży, który dorobił się wielkich rogów, a ja jestem hrabią. Jak mówią: szaleńcem, alchemikiem i konfratrem diabła. Kim będzie mój syn? — roześmiał się, obnażając żółte i nierówne zęby.

— Cenię ludzi zajmujących się alchemią — powiedziałem uprzejmie, ignorując jego wywody na temat rodziny — gdyż nauka ta wymaga wielkiej wiedzy i cierpliwości działania. Kościół nie widzi w niej nic złego.

Była to tylko połowiczna prawda, ale nie zamierzałem tłumaczyć hrabiemu niuansów podejścia Kościoła do wiedzy alchemicznej.

— Tak, tak, tak — upił solidny łyk. — Twoje zdrowie, inkwizytorze. Nie widzi nic złego, póki nie spali. Już ja to znam.

Przechyliłem kielich do ust. Wino było młode i kwaśne, ale zdarzało mi się pijać gorsze trunki.

— No i co, Rons? — zagadnął de Rodimond. — Powiesz mu, co się dzieje?

— Jak pan hrabia sobie życzy — odparł chłodno oficer.

— Powiedz, powiedz, może on coś poradzi. W każdym razie lepsze to, niżby miał przysłać swoich przyjaciół w czarnych płaszczach. Zaraz by mi spalili połowę ludzi.

Westchnąłem tylko, gdyż niezrozumienie działań i celów Inkwizytorium zawsze mnie rozstrajało. Dlaczego ludzie sądzą, że istniejemy, by kogokolwiek palić? To tylko ostateczność, a nie codzienna rutyna.

— Siadaj, inkwizytorze — wskazał mi zydel pod ścianą. — I słuchaj, bo to ciekawa historia.

Porucznik Rons chwilę się zastanawiał.

— To już trzecia wioska — rzekł w końcu. — Zawsze przedtem dostajemy list. Tym razem mówił on, żeby wziąć wóz i jechać do Brzozowca...

— Tak się nazywała osada, którą widziałeś — wtrącił hrabia.

— I zawsze to samo. Zmasakrowane trupy i żadnego świadka.

— List? — powtórzyłem. — Ciekawe. Czy mógłbym go zobaczyć?

— Czemu nie? — hrabia sięgnął do sekretery i wyjął z niej złożony na pół pergamin.

Czarnym inkaustem ktoś napisał: „Weź wóz i jedź do Brzozowca. Pospiesz się, zanim zaśmierdną”.

— Dowcipniś — powiedziałem, przyglądając się uważnie karcie. — To pismo człowieka kształconego, panie hrabio. Wyraźny krój liter... Proszę zauważyć, jak eleganckie jest „B” z tymi dwoma brzuszkami i laską zakończoną zawijasem.

— Wspaniałe — powiedział ironicznie hrabia, rzucając okiem na pismo.

— To ważny ślad, panie hrabio — nie dałem się zbić z pantałyku. — Świadczy, że wróg pana hrabiego nie jest zwykłym bandytą. Bandyci nie piszą eleganckich listów.

— I co z tego?

— Nie sądzi pan hrabia, że to zawęża listę podejrzanych? Zły sąsiad?

— Nie, Madderdin — powiedział. — My tu żyjemy spokojnie. Mamy duże włości i mało rąk do pracy. Porwać komuś ludzi, przekupić ich, by opuścili moje ziemie i poszli pracować dla kogo innego — to bym zrozumiał. My tu cenimy ludzkie życie, inkwizytorze. Tu się nawet nie wiesza złoczyńców, tylko oddaje ich w niewolę. Żaden z moich sąsiadów nie zrobiłby czegoś podobnego.

— Rozumiem, panie hrabio. Tak więc żadnych sporów?

— Zawsze są spory, inkwizytorze — wtrącił Rons. — Ale nikt nie odważyłby się na coś takiego.

— Ośmielę się zapytać, czy pan hrabia zawiadomił prefekta? Dwór cesarski?

— A co ich to obchodzi? — warknął de Rodimond. — Do ściągania podatków są pierwsi, ale co innego? Pewnie, że zawiadomiłem. Nawet mi nie odpisali.

Pokiwałem głową, bo tego właśnie należało się spodziewać. Cesarz i jego urzędnicy mieli ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się kłopotami prowincjonalnego hrabiego, który dostał tytuł w zamian za rogi ojca. No, ale niechby nie ośmielił się zapłacić podatku. Zaraz by miał na głowie prewota i jego poborców.

— Z radością pomogę panu, hrabio — powiedziałem — bo choć nie wiem, czy rzecz dotyczy herezji lub czarów, to mogę założyć, że istnieje takie prawdopodobieństwo.

— Czary — prychnął hrabia. — Też mi coś...

— To tylko przypuszczenia. — Rozłożyłem dłonie. — Czy pan hrabia byłby łaskaw opowiedzieć mi całą historię od początku?

— Rons — de Rodimond spojrzał na porucznika.

— Słucham, panie hrabio. — Oficer odłożył pusty już kielich, po czym dolał wina z dzbana, najpierw hrabiemu, potem mnie, a na końcu sobie.

— Wszystko zaczęło się od zniknięcia ludzi z Niedźwiednika... — zaczął.

— Takie tu barbarzyńskie nazwy — mruknął hrabia. — Niedźwiednik, Brzozowiec, Mchowe Górki, Bagniskowo, Sfornegace, Utopowa Czeladź...

— Sfornegace? — uśmiechnąłem się. — Faktycznie, barbarzyńskie. Ale, jak to, poruczniku: od zniknięcia? Nie znaleziono ciał?

— Ano nie — odparł. — Myśleliśmy, że ktoś ich podkupił, tak jak mówił pan hrabia, bo tu brakuje rąk do pracy. Trzeba karczować puszczę, ziemia twarda i nieurodzajna, więc miejscowi panowie prześcigają się w wolniznach.

— Jednak potem już mordowano osadników?

— Tak jest. Trzy razy. Trzy wioski. I za każdym razem przychodził list zawiadamiający, gdzie mamy jechać po zwłoki.

— Szukaliście morderców?

— Szukaj wiatru w polu — mruknął Rons. — To wielka puszcza. Bagna, rozlewiska, ostępy, labirynt jaskiń na południu. Jak chciałbyś, całą armię byś mógł ukryć, a nie kilkunastu zbójów. Tyle, że do tej pory nawet zbójować tu się nikomu nie chciało. A ja mam ośmiu żołnierzy i kilkunastu zbrojnej służby. Miałbym dziesięciokroć więcej i jeszcze nic bym nie zrobił. A przecież nie możemy zostawić zamku bez straży.

— I tak mi będą wyrzynali ludzi! — Hrabia huknął pięścią w stół, aż przewrócił się kamionkowy kociołek i na blat wypłynęła ciemnozielona masa.

— Żadnych żądań? Nic? — zapytałem.

— Czego oni by mogli żądać ode mnie? — zapytał z jakąś niespodziewaną goryczą. — Dwa lata już zalegam z podatkiem. Jak długo mi służysz darmo, Rons?

— Prawie rok, panie hrabio.

— No właśnie. Za wikt i dach nad głową. Taki to i ze mnie hrabia.

— *Upokorzcie się więc pod mocną ręką Boga, aby was wywyższył w stosownej chwili —* odpowiedziałem mu słowami Pisma.

— Tylko ciekawe, kiedy ta chwila nadejdzie — de Rodimond spojrzał na mnie wyblakłym wzrokiem. — Myślicie, że możliwe jest odkrycie kamienia filozoficznego? Tinktury czerwonej?

— Nie, panie hrabio. Myślę, że nie — odparłem zgodnie z prawdą.

— I ja tak sądzę — pokiwał głową. — A ile Cornelius złota ode mnie wyłudził na te doświadczenia... Mój Boże...

— Cornelius? — poddałem.

— Taki oczajdusza — wyjaśnił niechętnie Rons. — Ostrzegałem pana hrabiego, ale ja oczywiście jestem jedynie prostym człowiekiem. Nie mam wykształcenia i nie rozumiem umysłów, które unoszą się na wyżynach nauki — powiedział z ironią, wyraźnie kogoś cytując.

— Alchemik, prawda? Kazał go pan hrabia powiesić?

— Przydałoby się — roześmiał się niewesoło Rons. — Wyczuł pismo nosem i zemknął.

— Książę Haggledorf piętnaście lat czekał na wyniki prac swego alchemika — powiedziałem. — Zastawił połowę włości na jego badania. No, a piętnastego roku stracił cierpliwość i kazał go usmażyć w żelaznym fotelu...

— O, na to nie wpadłem. — de Rodimond klasnął dłońmi w uda. — Chciałem go tylko powiesić.

— Kiedy uciekł ten Cornelius? — spytałem.

— Pół roku temu? — Hrabia spojrzał pytająco w stronę porucznika, a oficer skinął głową.

— Czyli przed zaginięciem ludzi z wioski i pierwszymi atakami?

— A co ma wspólnego jedno z drugim? — de Rodimond wzruszył ramionami.

— List, panie hrabio — wyjaśniłem. — Mówiłem, że pisał go człowiek wykształcony. Poza tym, nadzwyczaj wyraźne jest, iż miał o coś żal do pana hrabiego. Przecież to zawiadamianie o popełnionych zbrodniach, to czysta złośliwość. Sądzę, iż bawiła go bezsilność pana hrabiego, jeśli wolno mi być szczerym.

— Już sobie wyobrażam, jak Cornelius obgryza zwłoki — parsknął ironicznie de Rodimond. — No, ja dziękuję, ale jeśli tak działa nasza Inkwizycja...

— Cornelius to słaby, mizerny człowiek — wyjaśnił Rons. — Jak mógłby wybić drwali, rybaków, pasterzy? W dodatku uzbrojonych i znających się na walce? Ponosi was fantazja, inkwizytorze.

— Proszę o wybaczenie, panie hrabio — powiedziałem, skłaniając głowę. — Staram się tylko objąć całą sprawę mym wątłym umysłem i niechybnie popełniam liczne błędy.

— Niebezpieczny człowiek — rzekł po chwili milczenia de Rodimond, zwracając się do oficera — z tego naszego inkwizytora. Naprawdę niebezpieczny. — Pokiwał głową i obrócił wzrok na mnie. — Więc sądzisz, że doktor Cornelius jest zamieszany we wszystko?

— Z braku innych przesłanek, przyznam z pokorą, iż taka myśl zaświtała w mojej głowie.

— Daruj sobie... — burknął — te uniżoności. Bo ufam, że nie za gładkość mowy zostałeś inkwizytorem. Długo już służysz Kościołowi?

— Długo, panie hrabio.

— Miałeś do czynienia z podobnymi sprawkami?

— Z podobnymi nie.

— No to mogę się cieszyć, że jestem pierwszy, co? Następne doświadczenie w inkwizytorskim fachu...

— Czy pan hrabia ma mapy okolicy? — zapytałem, ignorując jego złośliwości.

— Mapy... Też coś... Spróbuj namówić cesarskich kartografów, żeby tu przyjechali.

— Czy te wioski są... były — poprawiłem się — daleko od siebie?

— Dwa dni drogi — odparł Rons. — Mniej więcej.

— Jakbym chciał odwiedzić wszystkie, jak musiałbym jechać? W linii prostej?

— Nie, oczywiście że nie — powiedział porucznik i zastanawiał się długą chwilę. — Powiedziałbym raczej, że musiałbyś zatoczyć koło, inkwizytorze.

— Dobrze. Wyobraźmy sobie więc, że mamy krąg — powiodłem czubkiem buta po podłodze — na którym to kręgu leżą zaatakowane wioski. Co jest w jego środku?

Rons i de Rodimond spojrzeli po sobie.

— Bagna? — zapytał niepewnie oficer. — Tak — dodał już stanowczym głosem. — Bagna.

— Więc tam musimy szukać morderców — rzekłem. — Ktoś zna te bagna?

— Żartuje pan? — roześmiał się Rons. — Po co ktokolwiek miałby je poznawać?

— Bandyci muszą gdzieś mieszkać i mieć co jeść. Założę się, że na bagnach znajdziemy ich kryjówkę. Czy jest ktoś, kto może nas poprowadzić? Smolarze? Bartnicy?

— Bartnicy... Hmmm... — zastanowił się Rons. — Słyszałem o bartnikach mieszkających w okolicy. Ale czy znają bagna, Bóg raczy wiedzieć.

— Chce pan naprawdę nam pomóc, inkwizytorze? — zapytał de Rodimond, a w jego głosie usłyszałem chyba coś w rodzaju niechętnego szacunku. — Ja nawet nie mam panu co zaoferować w zamian.

— Niech mi pan da, panie hrabio, kilku ludzi i zapasy żywności. Nie wiem, czy naprawdę znajdziemy coś na bagnach, ale wiem, że wielką mądrość możemy czerpać ze słów Pisma. A ono mówi: *„kołaczcie, a będzie wam otworzone”*

— Pojadę z nimi — rzekł porucznik. — Zabiorę Fontana, de Villego i kilku zbrojnych. Być może nic z tego nie wyjdzie, ale warto spróbować.

— A pańscy ludzie, inkwizytorze — z wahaniem w głosie zaczął de Rodimond. — Byli kiedyś w walce?

Roześmiałem się.

— Być może nie powinienem używać takich słów w stosunku do moich pomocników, ale to mordercy, panie hrabio. Jedni z najlepiej wyszkolonych, jakich w życiu widziałem.

Pokiwał głową, ale widziałem, że nie jest do końca przekonany.

— Nie wiem, Rons — powiedział w końcu. — To ty masz ryzykować głową. Nie wydam ci takiego rozkazu, ale zrobisz, jak uznasz za stosowne.

— W takim razie jadę z inkwizytorem, panie hrabio — zdecydował porucznik bez wahania. — Źle bym się czuł, wiedząc, że obcy człowiek walczy w mojej sprawie.

###### \* \* \*

Podczołgaliśmy się, szurając brzuchami po mokrej ziemi, i przywarowaliśmy na linii krzewów. Widziałem postacie snujące się przy ogniskach. Na środku stała beczka, z której ludzie czerpali dzbanami lub kuflami, czuliśmy zapach pieczonego mięsa, a z dali dochodziły głosy rozmów.

— Pierwszy — szepnąłem. — Dacie radę ich zdjąć?

— Jasne, Mordimer — odparł bliźniak. — Widać wszystko jak na dłoni.

— Inkwizytorze — usłyszałem głos Ronsa. — A jeśli to nie oni? Jeśli zabijemy niewinnych?

Myślałem chwilę nad tym, co powiedział. Niespecjalnie obchodziło mnie życie tych ludzi, ale nie zamierzałem ryzykować własnego, jeśli nie miałoby to przynieść stosownego efektu. Faktycznie, istniało prawdopodobieństwo, iż byli to tylko spokojni osadnicy, chcący żyć z dala od prawa, podatków i władzy feudalnego pana. Takie rzeczy często zdarzały się w słabiej zaludnionych okolicach. Mogli to też być zbiegli chłopi albo banici, chroniący się w ostępach przed twardą ręką sprawiedliwości, lecz nie mający nic wspólnego z masakrą wiosek.

— Nie mówiłem tego panu, poruczniku, ale kobieta nie pochodzi z Hezu — odparłem po chwili zastanowienia. — Mieszkała w jednej z osad i widziała morderców. Czy jej świadectwo pana przekona?

— Ach, tak — powiedział. — Dobrze. To mnie przekona.

Szturchnąłem bliźniaka i kazałem mu iść po Elissę. Nie miałem pojęcia, czy dziewczyna będzie w stanie z tej odległości rozpoznać twarze zabójców. Miałem jednak nadzieję, że tak, gdyż od czasu do czasu niektórzy z mężczyzn stawali w świetle płomieni i było ich widać bardzo wyraźnie.

Po chwili Pierwszy przyczołgał się z powrotem, a obok niego nieporadnie czołgała się Elissa. Całą twarz miała utytłaną w błocie i drżała jak liść osiki. Objąłem ją mocno ramieniem i przytuliłem.

— Nie bój się, moje dziecko — szepnąłem jej prosto w ucho i czułem, że w moich objęciach przestaje drżeć.

— Musisz przyjrzeć się uważnie ludziom przy ogniu. I powiedzieć nam, czy to ci sami, którzy napadli na twoją wioskę. Patrz uważnie i nie popełnij błędu.

— Tak, panie — szepnęła.

Uniosła głowę, a ja wiedziałem, że nadchodzi niebezpieczny moment. Co będzie, jeśli rozpozna morderców i zacznie krzyczeć? Dostanie ataku spazmów? Pobiegnie w panice przed siebie? Byłem przygotowany, by ją unieruchomić i zatkać jej usta, kiedy przyjdzie taka potrzeba. Ale Elissa tylko zadrżała mocniej i usłyszałem, jak szczęknęły jej zęby.

— To oni — powiedziała niewyraźnie, że ledwo ją zrozumiałem. — Oni!

— Jesteś pewna?

— Czarna broda. — Wbiła paznokcie w moją dłoń, tak mocno, iż byłem pewien, że zostawi mi na skórze krwawe ślady. — Ten czarnobrody. Widziałam, jak gryzł... — rozpłakała się bezgłośnie, a ja pocałowałem ją w czoło.

— Jesteś dzielną kobietą, Elisso — powiedziałem i dałem znak bliźniakowi, by odprowadził ją z powrotem do koni.

— Wystarczy, poruczniku? — spytałem.

— Wystarczy. — W mroku nie widziałem jego twarzy, tylko skinięcie głowy. — Najzupełniej wystarczy.

Do obozowiska prowadziła tylko jedna droga. Od południa. Z północy, zachodu i wschodu otaczał je gęsty, nieprzenikniony gąszcz tarniny. Wiedziałem, że tamtędy z całą pewnością się nie przedostaniemy, bo nawet gdyby udało się pokonać kolczaste krzewy, to najprawdopodobniej wciągnęłaby nas bagienna toń.

A więc należało przebić się przez otwartą przestrzeń. Całe szczęście, że mordercy nie pilnowali obozu. Widać nie przypuszczali, że ktokolwiek mógł pójść ich śladem i pokonać zwodnicze bagniska. Niemniej w zasięgu naszego wzroku było ich kilkunastu, a nikt nie mógł zagwarantować, iż gdzieś tam — w ciemności — nie czaili się następni. Może część ucztowała i bawiła się, a reszta spała?

Cóż, w każdym razie było nas dziewięciu, ale nie wiedziałem, co warci są ludzie porucznika Ronsa, ani nawet on sam. Jak zwykle najlepiej było liczyć tylko na siebie. A w drugiej kolejności, na Kostucha i bliźniaków.

— Zostajecie tu — rozkazałem Pierwszemu i Drugiemu — i mierzcie dobrze.

— Gotowy? — spytałem Ronsa, a on skinął w odpowiedzi głową.

— A więc w imię Boże! — krzyknąłem i wstałem.

W tej samej chwili zaświergotały bełty i dwóch ludzi zwaliło się na ziemię. Jeden wpadł twarzą w ognisko. W obozie morderców rozległy się krzyki, wrzaski, nawoływania, a my biegliśmy już pędem w ich stronę.

Wszystko poszło nadspodziewanie łatwo. Obawiałem się dzikiego oporu, zawziętości i walki na śmierć i życie. Tymczasem wpadliśmy pomiędzy nich, niczym zgraja gończych psów na zamknięte w matni sarny. Chlasnąłem nadbiegającego człowieka mieczem przez pierś (nie wiem nawet, czy biegł, by ze mną walczyć, czy też uciekał akurat w tę stronę), kolejnemu władowałem sztych pod gardło. A potem już tylko stanąłem w świetle ognisk i patrzyłem, bo zaiste nie miałem wiele do roboty. Kostuch oraz ludzie porucznika Ronsa uwijali się jak w ukropie, a ciała bandytów padały niczym snopy zżętego zboża, jeśli pozwolicie mi na tak oklepaną metaforę. Trudno jednak było nie zauważyć, że ich opór był... dziwny. Wyciągali bezbronne dłonie na spotkanie ostrzy, biegali wkoło z krzykiem, przewracali się o własne nogi. Było w nich widać jakieś otępienie, zdumiewającą ślamazarność ruchów i całkowity brak bitewnego doświadczenia. Czyżby potrafili tylko mordować nieprzygotowanych na atak wieśniaków? Czy to mogli być ci sami ludzie, którzy masakrowali osadników i w zwierzęcym szale gryźli ich zwłoki? Tu nie można było dostrzec nawet śladu szału czy wojennej zapalczywości.

Po chwili staliśmy nad kilkunastoma trupami i ten zdumiewająco łatwy triumf nie przygotował nas na to, co miało się stać za chwilę. Bowiem z drewnianej szopy, zbitej z szerokich, solidnych bierwion, nagle wybiegło dwóch ludzi z toporami w dłoniach. Dwaj żołnierze porucznika Ronsa rzucili się w ich stronę i po chwili obaj już nie żyli. Jeden z napastników został cięty przez ramię, ale nawet nie zwolnił kroku, pomimo iż widziałem, jak cios niemal odciął mu rękę, która teraz zwisała jedynie na pasie skóry. Młody człowiek o bladej twarzy, którego Rons nazywał de Villem, pchnął sztychem w brzuch drugiego z bandytów. Ten wbił się na jego miecz, aż rękojeść zetknęła się z ciałem, wypuścił z dłoni topór, chwycił de Ville’a za głowę i wgryzł się w jego twarz. Widziałem tylko tryskającą krew i słyszałem przerażający krzyk, który nie umilkł nawet wtedy, gdy Kostuch rozłupał napastnikowi głowę szablą. Mężczyzna z odciętym ramieniem wbiegł pomiędzy dwóch innych żołnierzy, otrzymał dwa pchnięcia oszczepami, po czym zamachnął się i ściął głowę bliższemu z ludzi Ronsa. Z bezgłowego kadłuba trysnęła struga krwi, a ja podskoczyłem i zamachnąłem się mieczem. Bandyta osłonił głowę, ale miecz obciął mu dłoń i poharatał twarz. Nawet nie zaskomlał. Nie krzyknął. W blasku ognisk widziałem jego rozszerzone, błyszczące oczy. Zgasły dopiero wtedy, gdy z chrzęstem wbił się pomiędzy nie grot strzały. Wtedy dopiero upadł. Bezręki, splamiony posoką, z piersią przebitą oszczepami. Drgał jeszcze na ziemi, a z ust spływała mu krwawa piana.

— Na miecz Pana naszego — usłyszałem przerażony szept Ronsa. — de Ville, na Boga!

Odwróciłem głowę i zobaczyłem, jak porucznik próbuje zatamować krew płynącą z twarzy de Ville’a. Młody człowiek miał wyszarpany policzek, tak że odsłonięte zostały szczęka oraz zęby, a z nosa został mu jedynie krwawy strzęp z wystającą chrząstką. Na szczęście nie krzyczał, bo Bóg dał mu wcześniej łaskę omdlenia.

Pchnąłem drzwi do szopy, z której wypadło tych dwóch. Wszedłem do środka ostrożnie, trzymając w prawym ręku wysunięty miecz, a w lewą dłoń wziąłem garstkę sherskenu. Ale sień była pusta. Tylko za sąsiednimi drzwiami usłyszałem odgłos, jakby ktoś próbował barykadować wejście. Uderzyłem z rozmachu barkiem i wpadłem do środka, by zobaczyć ubranego na czarno, chudego człowieka, który próbował przesunąć pod wejście ciężką, okutą mosiądzem skrzynię. Strzeliłem go rękojeścią miecza w twarz, a on poleciał pod ścianę z chrapliwym krzykiem. Zbliżyłem się i stanąłem nad nim. Czubkiem buta kopnąłem go pod żebra. Nie za mocno. Tak tylko, by przypomnieć o swej obecności.

— Doktor Cornelius, jak sądzę? — zapytałem uprzejmie.

Kątem oka zobaczyłem, że do izby wbiegł porucznik Rons, a potem zastygł w miejscu, widząc leżącego pod ścianą mężczyznę. Tymczasem wychudzony człowieczek otarł rękawem krew z twarzy i, stękając, podniósł się na nogi. Wypluł na podłogę wybite zęby.

— To właśnie on — powiedział porucznik Rons i postąpił krok, ale chwyciłem go za ramię.

— Nie, nie — powiedziałem. — Musimy porozmawiać. Prawda, doktorze?

— A kim ty jesteś, że napadasz spokojnych ludzi? — wyseplenił doktor i zabrzmiało to jak: „a fym fy hefteś, he na-fadas fokojnych fuci?”.

Pchnąłem go na krzesło, aż usiadł z impetem.

— Co za bezczelność — powiedziałem. — Ty mówisz o napadach? A trzy wymordowane wioski?

— Wieśniacy — skrzywił się pogardliwie. — Kogo obchodzą wieśniacy? Ja mam wizję, człowieku! Ideę, za którą warto było oddać życie tych ludzi...

— *Zaprawdę powiadam wam: co żeście uczynili temu bratu mojemu najmniejszemu, mnie żeście uczynili —* odparłem słowami Pisma. — Więc może podzielisz się swą wizją z inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu?

— Ty jesteś inkwizytorem? — zerknął na mnie spode łba. — Bardzo dobrze. Może będę potrzebował pomocy twego pana.

Patrzyłem na niego i przyznam, że na moment, na krótką chwilę, zabrakło mi języka w gębie. A wierzcie, mili moi, iż waszemu uniżonemu słudze rzadko rzecz taka się przytrafiała. Oto przede mną siedział morderca, a raczej przywódca bandy morderców, który zupełnie nie przejął się zagładą swych ludzi oraz obecnością inkwizytora, i liczył na spotkanie z biskupem. Był tylko głupi, czy już szalony?

— Zastanawiałem się, czy rozpalić stos, czy raczej szykować linę — powiedziałem. — Ale widzę, że rozmowa zajmie nam dłuższą chwilę. Poruczniku — odwróciłem się do Ronsa — byłby pan łaskaw kazać moim ludziom, by rozgrzali narzędzia?

— Nie bądź idiotą, inkwizytorze — doktor Cornelius nadrabiał miną, ale jednak widziałem, że się wystraszył. — Wierz mi, że mam informacje i wiedzę, które zainteresują Jego Ekscelencję. I wierz mi również — wyciągnął w moją stronę chudy, kościsty paluch — że i ty na tym skorzystasz.

— Słucham — rzekłem. — Nie masz zbyt wiele czasu, a ja nie jestem człowiekiem nadmiernie cierpliwym. Sam jestem ciekaw, czy zdołasz kupić życie...

— Nie mogę o tym mówić tobie! — wrzasnął, jakby ktoś przejechał ostrzem po marmurze. — Chcę się widzieć z biskupem!

— Oczywiście — odparłem serdecznie. — Już mam podstawić powóz, czy dopiero za chwilę?

Szczęknęły drzwi i Kostuch zajrzał do środka. Obserwowałem doktora Corneliusa i zobaczyłem, że jego twarz zmartwiała. Ech, ten mój Kostuch, zawsze robi wrażenie!

— Grzeją się — zameldował. — Naszykować stół, czy podwiązujemy?

— Dobrze — wrzasnął Gornelius. — Wszystko powiem!

Przysunąłem zydel, usiadłem i dałem znak Kostuchowi, żeby nas zostawił. Porucznik Rons stał pod ścianą.

— Zamieniam się w słuch — powiedziałem uprzejmie.

— Jestem doktorem medycyny — zaczął Cornelius — i uczonym. Zgłębiłem tajniki alchemii, chociaż moja praca nie została doceniona przez świat. Ja jednak wytrwale i w pocie czoła pracowałem nad ideą mogącą zmienić oblicze tej ziemi...

— Doktorze — powiedziałem. — Moja cierpliwość ma swoje granice.

Splunął flegmą i krwią na podłogę, pomacał palcem resztki po zębach.

— Czego brakuje królom i książętom? — zapytał.

— Złota — odparłem, bo wyraźnie liczył na odpowiedź, a ja w końcu miałem czas i mogłem wziąć udział w tej zabawie. Przynajmniej przez chwilę.

— Złota też — przyznał — ale kamień filozoficzny jest mitem. Fantasmagorią. Nie da się zamienić ołowiu w złoto.

— Nie da się — przytaknąłem, bo przynajmniej w tym wypadku doktor Cornelius zdawał się myśleć rozsądnie.

— Władcom brakuje wojska, inkwizytorze. Ludzi gotowych umierać na ich skinienie. Armii, która nie rozbiegnie się w panice, żołnierzy, którzy rzucą się na liczniejszego wroga i będą walczyć do śmierci lub zwycięstwa. Żołnierzy nie czujących strachu i bólu, zajadłych jak dzikie zwierzęta. Żołnierzy, których nie trzeba latami szkolić ani uczyć dyscypliny. I ja dam takich żołnierzy temu, kto mi dobrze zapłaci.

— Więc ci ludzie? — machnąłem dłonią.

— Właśnie! Opracowałem recepturę mikstury zamieniającej zwykłego, prostego człowieka w nie znającą uczuć maszynę do zabijania. Wypróbowałem przepis na mieszkańcach jednej z wiosek...

— Ci, którzy zniknęli — pokiwałem głową. — Właśnie — klasnął w dłonie. — Ekstrakt powoduje również całkowite uzależnienie. Jeśli go nie podasz tym ludziom na czas, będą wyć z bólu i pożądania, błagać... Zrobią wszystko za następną porcję! I w ten sposób zyskujesz nad nimi pełnię władzy...

— Bardzo sprytne, doktorze. Podziwiam pańskie zdolności.

Rozpromienił się i usiadł wygodniej w fotelu.

— Ekstrakt działa tylko przez kilka godzin, a potem powoduje słabość i omdlenia, ale liczę, że dopracuję jeszcze szczegóły — zamyślił się i wyseplenił coś do siebie, a potem podniósł na mnie wzrok. Jego oczy były błyszczące i szalone. — Czy pan ogarnia to swym umysłem, inkwizytorze? Tysiące chłopów przemienionych w wiernych i bezlitosnych wojowników? Rozdzierających wroga w atakach szału? Oni nie zastąpią zdyscyplinowanej armii, nie pokonają wyszkolonych najemników, ale wprowadzą nowe zasady do sztuki wojennej...

— Ma pan tych swoich doskonałych żołnierzy — zaśmiałem się. — Moi ludzie właśnie wrzucają trupy do bagna.

— Człowieku! Przecież zdążyłem podać ekstrakt tylko dwóm moim przybocznym. Reszta odpoczywała po ostatnich eksperymentach...

No cóż, ładnie szubrawiec nazywał wymordowanie całej wioski. Zawsze twierdziłem, że uczeni nie grzeszą nadmierną miłością bliźniego, ale Cornelius bił już wszelkie rekordy.

— Biegająca w szale hałastra ma być twoim niezwyciężonym wojskiem, doktorze?

— Wyobraź sobie tysiące, dziesiątki tysięcy tych ludzi — przymknął oczy w rozmarzeniu — pustoszących wrogie włości. Żywiących się zwłokami, nie czujących bólu i strachu, a może nawet nie potrzebujących odpoczynku, bo liczę, że uda mi się poprawić recepturę. Czy tu chodzi tylko o walory bitewne? Nie, inkwizytorze! Tu chodzi o zastraszenie wroga, obezwładnienie go ogromem nieszczęść, jakie spadną na jego ziemie! Ci ludzie, przemienieni mocą mej mikstury, będą siewcami grozy. Grozy, jakiej nie widział dotąd świat!

Przemyślałem jego słowa i pokiwałem głową. Było w nich zarówno szaleństwo, jak i nieubłagana logika.

— Gdzie jest recepta? — zapytałem, a on zagryzł wargi i odwrócił głowę.

— Doktorze, jeśli będzie trzeba, wydobędę to od ciebie ogniem i żelazem. Gdzie jest recepta? Gdzie są próbki?

Niechętnie wstał i podszedł do ściany. Szarpnął i otworzył drzwiczki małej szafeczki. W środku była skrzynka. Odtrąciłem go i sam ją wyjąłem. Uniosłem wieko i w środku zobaczyłem kilka słoiczków z brązowego szkła oraz złożoną na czworo kartę pergaminu. Gestem kazałem doktorowi, by usiadł z powrotem na krześle, i rozwinąłem pergamin.

— Nic pan z tego nie zrozumie — burknął. — Trzeba być alchemikiem, by pojąć, o co tu chodzi. Pracowałem nad tym całe życie! Ja, doktor Cornelius Altenferg! Moje imię przetrwa na wieki!

Wyraźnie podniecał się własnymi słowami, więc postanowiłem nie zwracać na niego uwagi. Wyjąłem korek zatykający wlot jednego ze słoików i zajrzałem do środka. Gęsta, brązowa i śmierdząca zgnilizną maź wypełniała naczynie po brzegi.

— I oni to jedli? — zapytałem.

— Nie — sapnął rozdrażniony, że mu przerywam perorę. — Ekstrakt należy rozpuścić w alkoholu, a potem w wodzie i podawać doustnie. Wlej go do miejskiej studni, a zobaczysz cudowne efekty — uśmiechnął się, ukazując zakrwawione dziąsła.

— Aha — odparłem.

Włożyłem pergamin i słoik z powrotem do skrzynki i otworzyłem drzwi.

— Kostuch, pozwól no — zawołałem, a kiedy przyszedł, wyszeptałem mu do ucha rozkaz.

Zawahał się i poprosił, żebym powtórzył. Rzadko mu się to zdarzało, ale mogłem go w tej chwili zrozumieć. Obawiam się, mili moi, że sam otrzymując takie polecenie, pomyślałbym w pierwszej chwili, że się przesłyszałem.

Zamknąłem starannie drzwi i podszedłem do doktora z szerokim uśmiechem na twarzy. Przytrzymałem mu ramiona i wbiłem ostrze sztyletu w grdykę. Przeciąłem mu struny głosowe, tak, by nie mógł krzyczeć, ale wiedziałem, że konanie zajmie trochę czasu. Zresztą, jak na mój gust i tak zdechnie zbyt szybko.

— Ccco pan? — Rons ruszył w moją stronę i patrzył osłupiały na Corneliusa, który właśnie upadł z łomotem na podłogę.

Doktor zwijał się, toczył z ust krwawą pianę, a palcami, zakrzywionymi niczym szpony, usiłował zatamować krew i zacisnąć ranę.

— Zresztą, może i racja — porucznik odetchnął głęboko. — W końcu mamy receptę i próbki. A ta kanalia niech zdycha.

— Niech zdycha — zgodziłem się. — Ale nie mamy recepty, poruczniku — położyłem dłoń na skrzyni — ani próbek. Ja je mam.

Przez moment patrzył na mnie zaskoczony, ale sięgnął po miecz szybciej niż myślałem. Oczywiście i tak zbyt wolno. W końcu był tylko żołnierzem. Pchnąłem go nożem, ale jednak zdołał się jakoś zwinąć i ostrze nie trafiło w serce. Przewrócił się, a ja upadłem na niego. Chciałem uderzyć raz jeszcze, ale zobaczyłem, że i tak umiera. Patrzył na mnie rozszerzonymi źrenicami, w których jarzył się gniew.

— Rons — powiedziałem łagodnie. — Słyszy mnie pan?

Kiwnął głową z wysiłkiem, z kącików ust popłynęła mu krew. Odłożyłem nóż i wziąłem go za rękę.

— Poruczniku, niech pan słucha uważnie, bo nie chcę, by pańska dusza odchodziła pełna bezrozumnego gniewu. Chcę, żeby pan zrozumiał. Aby nie myślał pan, że zabiłem z grzesznej chęci zysku.

Wstałem, otworzyłem znowu skrzynkę i wyjąłem z niej pergamin. Potem podniosłem z blatu kopcącą lampkę i uklęknąłem przy oficerze.

— Niech pan patrzy, Rons — przyłożyłem rożek pergaminu do płomienia.

Kiedy karta spłonęła, roztarłem popiół podeszwą buta.

— Nie ma już tajemnicy — powiedziałem. — Nie ma recepty. Nie ma doktora. I nie ma świadków.

Czułem, jak palce jego dłoni zaciskają się spazmatycznie na moim nadgarstku.

— Dlaczego? — wyszeptał.

— Bo świat jest wystarczająco złym miejscem bez ekstraktu doktora Corneliusa — rzekłem smutno. — A ja nie chcę, by stał się jeszcze gorszy.

A potem siedziałem przy nim, póki nie umarł, i zamknąłem mu powieki. Zapewne był zacnym człowiekiem, ale to nie miało nic wspólnego z moją powinnością, tak jak rozumiałem ją mym wątłym umysłem. Wyszedłem na zewnątrz. Kostuch i bliźniacy wciągali właśnie do środka trupy żołnierzy. Przyznam, że uwinęli się z nimi chwacko, ale też żadna to była chwała, zabić dwóch nieprzygotowanych na atak ludzi. Zarżnęli też biednego, oszpeconego de Ville’a i miałem wrażenie, że w tym wypadku wyświadczyli mu tylko przysługę.

— Podpalajcie i idziemy — rozkazałem.

Potem patrzyłem, jak przykładają pochodnie do bierwion i czekają, aż dom się zajmie ogniem. Przeżegnałem się i w myślach odmówiłem „Ojcze nasz” za spokój duszy porucznika Ronsa i jego żołnierzy. Kiedy byłem w połowie drogi do pierwszych drzew, dogonił mnie Kostuch.

— Mordimer — zapytał cicho. — Dlaczego to właściwie zrobiliśmy, co? Dlaczego zabiliśmy ludzi hrabiego?

— Bo mieliśmy taki kaprys, Kostuch — odparłem, patrząc na niego. — Po prostu mieliśmy kaprys.

— Aha — rzekł, a jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. — Rozumiem. Dziękuję, Mordimer.

Skinąłem mu głową i poszedłem dalej. Za dwa dni opowiemy de Rodimondowi piękną bajkę o odwadze jego żołnierzy i ich wspaniałej śmierci w walce ze zdziczałym wrogiem. Pomyślałem o Elissie oraz o tym, że przez dwie noce podróży zapewne posmakuję owoców jej wdzięczności. Uśmiechnąłem się do własnych myśli i spojrzałem w bijące pod niebo płomienie. Jak zwykle były piękne i czyste, tak jak serca tych, którzy niepomni własnych trudów, służą chwale Pana.

## Owce i wilki

Dla słabych stałem się jak słaby by pozyskać słabych. Stałem się wszystkim dla wszystkich, by ocalić przynajmniej niektórych.

Św. Paweł, I List do Koryntian

Dlaczego człowiek tak łatwo przyzwyczaja się do złego? Ba, moi mili, nie mnie odpowiadać na to pytanie. Wiem tylko, że ja przyzwyczaiłem się do Hez-hezronu. Do smrodu rynsztoków, do spienionej wody w rzece, gdzie ławice ryb widziało się tylko, kiedy wędrowały brzuchami do góry, do cienkiego wina i pluskiew w łóżku. Nienawidziłem tego miasta i nie miałem sił, by je opuścić. Cóż, stałem się szczurem portowym, małym padlinożercą, pochłaniającym gnijące mięso. Jak widzicie, nie miałem wielkiego wyobrażenia o swej pracy. A przynajmniej nie miałem go w upalne, bezwietrzne dni, kiedy uliczki Hez-hezronu spowijał niewyobrażalny całun smrodu. Dlaczego nie wybrałem spokojnego życia na prowincji, gdzie jako przedstawiciel Świętego Officjum, w jednym z małych miasteczek, zajmowałbym się chędożeniem dziewek, popijaniem z miejscowymi notablami i popuszczaniem pasa? Znałem inkwizytorów, których bez reszty pochłaniały właśnie takie bogobojne zajęcia. Przyjeżdżali potem do Hez-hezronu na tydzień czy dwa, spasieni i zadowoleni z siebie, opowiadając, jak miło płynie życie z dala od kłopotów wielkiego miasta. A wasz uniżony sługa w tym czasie musiał wdychać odór rynsztoków i trudzić się w pocie czoła dla Jego Ekscelencji biskupa, który potrafił być bardzo nieprzyjemny, zwłaszcza kiedy chwytały go ataki podagry.

Owszem, miło mieć licencję wydaną przez samego biskupa Hez-hezronu (to człowieka nobilitowało w wielu oczach), ale jeszcze milej nie mieć obowiązków i wiecznych kłopotów z gotówką. Mogłem, co prawda, zamieszkać w oficjalnej siedzibie Inkwizytorium i spać w chłodnym, czystym dormitorium, ale wtedy kwaterę musiałbym dzielić z innymi inkwizytorami. A poza tym codzienne modły: w południe, o zachodzie słońca, o północy i na jutrznię, nie były dla mnie. Tak samo jak wino z wodą rozcieńczane w proporcji jeden do trzech i cienka kaszka z byle jaką omastą. Z dwojga złego już wolałem pocić się i wdychać smród we własnej kwaterze. Bo nie znałem zbyt wielu inkwizytorów, którzy brak pieniędzy uważaliby za cnotę. I nie znałem również zbyt wielu takich, dla których przemieszkiwanie w dormitorium byłoby szczytem marzeń.

Teraz leżałem na nędznym łóżku w karczmie Pod Bykiem i Ogierem i, zachowując stoicki spokój, dawałem się żreć pluskwom oraz wszom. Było tak duszno, że czułem, jakbym wdychał powietrze przez cuchnącą, mokrą szmatę. Obok na stoliku stał dzbanek pełen cienkiego i ciepłego już wina, a mnie nawet nie chciało się sięgnąć po niego ręką. Leżałem i rozmyślałem nad marnością ludzkiego życia, kiedy usłyszałem na korytarzu ciężkie kroki. Przeraźliwie skrzypnął jeden z czterech schodków, między moimi drzwiami a korytarzem, po czym ktoś zatrzymał się w progu i chwilę chrapliwie dyszał. A potem rozległo się pukanie. Nawet nie chciało mi się na nie odpowiadać. Zwykłe powiedzenie „wejść” albo „kto tam?” przekraczało siły waszego uniżonego sługi. Wydałem więc z siebie tylko jakiś nieartykułowany odgłos i widać musiał on zostać wzięty za zachętę, bo drzwi rozwarły się i w progu zobaczyłem mężczyznę, którego ciało, a w zasadzie cielsko, zasłaniało cały prześwit we framudze.

— O, na miecz Pana naszego — mruknąłem do siebie, a raczej zaszeptałem, ledwo poruszając ustami, bo nawet mruczeć mi się nie chciało.

Przybysz był naprawdę ogromny. Potężne, rudo owłosione brzuszysko wylewało mu się zza wełnianych spodni i wisiało niemal do wysokości przyrodzenia. Miał czerwone, obwisłe policzki i podbródek niemal zrośnięty z szyją. Jego kark był co najmniej tak szeroki, jak mój tyłek. W dodatku nieznajomy był cały zlany potem i przeraźliwie cuchnął. Wydawało mi się, że nie sposób już, aby w moim pokoju śmierdziało bardziej niż do tej pory, a jednak... Ale bystre oczy waszego uniżonego sługi nie mogły nie zauważyć, że człowiek ten miałby kłopot z przejściem przez ucho igielne nie tylko z uwagi na tuszę. Na jego paluchach dostrzegłem solidne złote pierścienie z całkiem sporymi oczkami szlachetnych kamieni. Szafir, rubin i szmaragd. Błękit, czerwień i zieleń. Bardzo pięknie.

— Mistrzu Madderdin — wysapał, a ja widziałem, iż każde słowo sprawia mu trudność. — Pozwolicie, że usiądę?

Przytaknąłem i miałem tylko nadzieję, że mój niewielki zydel nie rozpadnie się pod jego ciężarem. Ale przybysz ostrożnie złożył ogromny tyłek na siedzeniu, a potem bez słowa sięgnął po dzban z moim winem i przechylił go do ust. Pił, a czerwień spływała mu na tłustą brodę, podgardle, koszulę i wylewała się na wiszący brzuch. Dopił do końca, beknął, po czym odstawił dzbanek. Wyraźnie poweselał, a ja wręcz przeciwnie. Nie lubię ludzi, którzy okazują mi brak szacunku. Lecz mogłem wysłuchać, co ma do powiedzenia, zanim go zabiję. Zwłaszcza, że po pierwsze, nie chciało mi się nawet spuścić nóg z łóżka, a po drugie, pierścienie na jego palcach wskazywały, iż może mieć całkiem ciężką sakiewkę. I być może przybył podzielić się jej zawartością.

— Wybaczcie, panie Madderdin — rzekł mocniejszym głosem. — Złotem wam odpłacę za ten zbawczy dzbanuszek.

Skinąłem głową na znak, że przyjmuję wyjaśnienie. A być może tylko zdawało mi się, że nią skinąłem.

— Zastanawiacie się zapewne, co mnie sprowadza w wasze progi i dlaczego ośmielam się was niepokoić w tak podły czas...

Tym razem nie chciało mi się nawet ruszyć głową i tylko zmrużyłem powieki. Grubasowi, jak widać, pomogło moje winko, bo składał całkiem zgrabne zdania.

— Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem Marius van Bohenwald, licencjonowany kupiec.

Coś mi mówiło to nazwisko. Zwykle mam dobrą pamięć do nazwisk, ale dzisiejszego dnia ledwo mogłem zapamiętać własne.

— Taaak... — mruknąłem zachęcająco.

— Przyszedłem was prosić o pomoc, panie Madderdin. Słyszałem o waszych — zawahał się przez ledwie dostrzegalny moment — zdolnościach i o tym, że pomagacie czasami przyjaciołom przyjaciół.

— Mówcie, proszę — uniosłem się lekko na łokciach i oparłem nieco wygodniej.

Złożył dłonie na kolanach i przyglądał się przez chwilę swoim grubym jak pęta kiełbas paluchom. Zastanawiałem się, ile złota musiało pójść na jego pierścienie. Doszedłem do wniosku, że dużo...

— Jestem szanowanym kupcem, panie Madderdin. Mam, a raczej miałem, dwie barki oraz skład w porcie. Handluję między Tirianon-nag i Hezem, ale ostatnio ceny w Tirianie poszły bardzo w górę i wysłałem mojego kapitana na południe, żeby pozbyć się pośredników.

Tirianon-nag, powszechnie nazywane Tirianem, było portowym miasteczkiem trzy dni drogi od Hezu. Spławiano tamtędy zarówno luksusowe materiały z południa, na przykład bele grubego, gładkiego samitu, jak zboże i len. Oprócz tego, słodkie, markowe wina z Alhamry i piękne smagłe dziewki, które w Hezie cieszyły się dużym uznaniem. Miejscowi kupcy niechętnie patrzyli na konkurencję z Hezu. Woleli pracować jako pośrednicy, zwłaszcza, że rzeka na południe od Tirianu nie należała do najbezpieczniejszych. Piractwo kwitło jak nigdy, a żeglugę dodatkowo utrudniały liczne mielizny oraz szybko zmieniający się poziom wody, który raz zasłaniał, a raz odsłaniał skały. Dlatego handlarze z Tirianu windowali ceny na niebotyczny poziom, a kupcy z Hezu pluli sobie w brody, ale wytrząsać złoto z kiesek musieli. W końcu pięknotki z Hez-hezronu lubiły samitowe płaszcze, alhamrskie wino gościło na najlepszych stołach, a południowe dziewki rozpalały męskie żądze, jak żadne inne na świecie.

Owszem, zdarzało się, że jakiś przedsiębiorczy kupiec z Hezu próbował ominąć pośredników. Rzecz taka udawała się jeszcze sporym kompaniom, które stać było, aby wysłać kilka statków naraz i zapewnić im doświadczonych pilotów oraz wynająć obstawę. Ale taki człowiek, jak mój gość, ze swoimi marnymi dwoma barkami mógł tylko liczyć, że szczęście się do niego uśmiechnie. Zysk był niebagatelny, ale ryzyko spore. A skoro Marius van Bohenwald zawitał w progi waszego uniżonego sługi, oznaczało, że nie miał zbyt wiele szczęścia w życiu. Tak jakoś się składa, że głównie odwiedzają mnie ludzie pragnący, bym rozwiązywał ich kłopoty. Dlaczego ktoś nie zechciałby rozwiązać moich?

— Wrócił? — zapytałem. — Ten kapitan?

Marius van Bohenwald zagryzł wargi.

— Przysłali mi jego uszy — powiedział.

Roześmiałem się, bo to był stary numer kupców z Tirianu.

— Nie daruję im — rzekł z jakąś zawziętością nie pasującą do jego nalanej twarzy. — I w tym celu potrzebuję pana pomocy, panie Madderdin.

— Pomyliłeś adresy, chłopcze — powiedziałem. — Poszukaj sobie w porcie najemników, albo zabójców, albo kogo tam chcesz... Nie sądzę, żeby był ci potrzebny inkwizytor. — Chciałem się zaśmiać znowu, ale było zbyt duszno, i dałem spokój.

— Panie Madderdin — Marius van Bohenwald zaplótł nerwowo dłonie. — Czy słyszał pan o Kompanii Kupców Jedwabnych z Tirianu?

— Chyba tak. — Nie chciało mi się już z nim gadać, chociaż zdążyłem się przyzwyczaić do smrodu, który parował z jego ciała i mokrych od potu ubrań.

— Oni zajmują się nie tylko handlem, panie Madderdin. To sekta. Składają ofiary...

— Chłopcze — powiedziałem. — Nawet jeśli to prawda, to o ile wiem, a wiem dobrze, w Tirianie jest przedstawicielstwo Świętego Officjum. Taki kamienny budynek niedaleko twierdzy i ratusza. Idź do nich z tym problemem.

— Ręka rękę myje, panie Madderdin...

— Nie chciałbyś chyba powiedzieć, że członkowie Inkwizytorium są przekupni, co? — westchnąłem. — Idź już sobie, Mariusie van Bohenwald, czy jak ci tam, zanim stracę cierpliwość.

— Panie Madderdin. — Wyraźnie się przestraszył. — Nie chciałem pana urazić. Proszę mi wierzyć. — Złożył dłonie jak do modlitwy. — Błagam, niech pan mnie wysłucha.

Zbyt często miałem okazję słyszeć błagania, aby coś takiego robiło na mnie jakiekolwiek wrażenie. I to prawdziwe błagania, moi mili. Słowa wypowiadane zza zmiażdżonych warg i wybitych zębów, słowa z trudem przeciskające się przez opuchnięty język. Tak więc, skoro takie błagania nie robiły na mnie wrażenia, to trudno by je zrobiły popiskiwania marnego kupczyka. Niemniej, z drugiej strony, cóż miałem lepszego do roboty niż wysłuchać go? Może to było i lepsze od nieruchomego leżenia w brudnym wyrze? Zwłaszcza, że rozmowa z Mariusem van Bohenwaldem przynajmniej pozwalała zapomnieć o natrętnym towarzystwie pluskiew.

— Wysłucham — odparłem. — Ale nie nadużyj mojej cierpliwości.

— Oczywiście, panie Madderdin — powiedział szybko. — Jestem niemal pewien, że Kompania Kupców Jedwabnych jest tylko przykrywką dla pogańskiej sekty. Składają ofiary z ludzi rzecznym bóstwom i duchom. Niszczą wrogów dzięki czarnej magii...

— Och, Mariusie — ziewnąłem. — Kupiecka rywalizacja powinna mieć granice, a ty je wyraźnie przekraczasz.

— Mistrzu. — Znowu złożył dłonie jak do modlitwy.

— Ja wiem, że to brzmi — przerwał, jakby zastanawiał się nad słowem — niepokojąco...

— Brzmi głupio i cudacznie — poprawiłem go.

— Ale jeśli... — zająknął się — jeśli jest w tym ziarno prawdy? Gdyby tylko zechciał pan sprawdzić sam, na miejscu. Pokryję wszelkie koszta i będę zachwycony, mogąc panu ofiarować honorarium w wysokości trzystu koron. Niezależnie, czy pan coś znajdzie, czy nie.

Uniosłem nieco głowę i ten ruch bardzo mnie zmęczył.

— Skąd takie zaufanie? — zakpiłem. — A jeśli wezmę pieniądze i przeputam je z tiriańskimi kurwami, mówiąc ci, że nie znalazłem niczego podejrzanego?

— Jest pan przyjacielem przyjaciół — powiedział, i niemal wyczułem oburzenie w jego głosie. — Zapewniano mnie, że jest pan człowiekiem godnym całkowitego zaufania!

— Taaak — przeciągnąłem się. — Zawsze miło słyszeć podobne słowa, kiedy dotyczą własnej osoby.

Powziąłem trudną decyzję i opuściłem nogi na podłogę. A potem usiadłem.

— Namawiasz mnie do zajęcia się brudnymi sprawami — rzekłem. — Wyobrażasz sobie, jak bardzo zachwyceni będą inkwizytorzy z Tirianu, kiedy przybędę szukać herezji na ich terenie?

— Ma pan przecież licencję Hezu, mistrzu — odparł.

Miał trochę racji, bo teoretycznie Tirian podlegał zwierzchnictwu Inkwizytorium w Hez-hezronie, ale sprawy kompetencyjne były bardzo zagmatwane. I jedni juryści mówili tak, drudzy siak, a o wszystkim jak zwykle decydował Jego Ekscelencja biskup, do którego odwoływano się w razie wszelkich konfliktów i nieporozumień. Poza tym istniało coś takiego, jak niepisany kodeks honorowy, a on bardzo wyraźnie mówił, by nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Zwłaszcza, kiedy nikt tegoż wtykania nie nakazywał. Niemniej jednak problem, mimo wszystko, mnie zainteresował. Kupiec musiał być bardzo pewien, że znajdę nieprawidłowości, skoro chciał ryzykować gotówkę. Oczywiście istniało jeszcze jedno rozwiązanie: ktoś chciał skompromitować i narazić na kłopoty waszego uniżonego sługę, i uknuł całą tę intrygę. Nie wydawała mi się ona jednakowoż szczególnie finezyjna. Lecz może o to właśnie chodziło? Tyle, że komu zależałoby na pognębieniu biednego Mordimera? Pomyślałem chwilę i znalazłem co najmniej kilkanaście nazwisk ludzi, którzy z radością ujrzeliby mnie pozbawionego inkwizytorskich insygniów i przegnanego z miasta.

Co mi szkodziło jednak rozegrać sprawę z najwyższą ostrożnością i pieczołowitością? Popłynąć do Tirianu, rozejrzeć się tu i tam, porozmawiać z miejscowymi inkwizytorami, zasięgnąć języka o Kompanii Kupców Jedwabnych, a potem zdać uczciwy raport Mariusowi van Bohenwaldowi? Kilka setek koron nie chodzi piechotą, mili moi, a w Hezie nie tak łatwo znaleźć ludzi skłonnych do ich rozdawania. Gorzej jednak, jeśli się okaże, iż w Tirianie faktycznie coś śmierdzi, a wasz uniżony sługa będzie musiał smród ten wywietrzyć.

— Dobrze — zadecydowałem — ale to będzie więcej kosztowało, Mariusie.

Najpierw odetchnął z ulgą, lecz kiedy usłyszał ostatnie słowa, twarz mu się wydłużyła. Oczywiście, jeśli przyjąć śmiałe założenie, że ta twarz, wielkości ogromnego bochna chleba, w ogóle mogła się wydłużyć.

— Nie jestem zbyt bogaty, panie Madderdin — powiedział. — A przynajmniej teraz, kiedy interesy nie idą najlepiej.

— Rozumiem — skinąłem głową. — Niemniej sądzę, że stać cię na dorzucenie, jeśli nie gotówki, to chociaż jednego z tych pierścionków. Powiedzmy czerwonego, bo lubię rubiny. A może i dwóch — zastanowiłem się — bo czerwony zapewne przyzwyczaił się do towarzystwa zielonego braciszka.

Spojrzał na mnie, a potem wolnym ruchem sięgnął prawą dłonią do palców lewej dłoni. Musiał mocno szarpnąć, bo palce napuchły mu od upału. Podał mi dwa pierścienie na otwartej dłoni. Oj, solidne były to pierścienie, mili moi. Szeroka, złota obrączka i kamyczki sporej wielkości. Zacny Marius jak widać lubił błyszczeć w towarzystwie.

— A czy ta niebieska sierotka nie będzie zbytnio samotna, panie van Bohenwald? Aż żal zostawiać ją w nieutulonym płaczu za krewniakami...

Tym razem szarpnął za pierścień z jakąś tajoną złością. Ten siedział na palcu mocniej, więc trochę się namęczył, zanim go zdjął. Przyjąłem od niego wszystkie trzy pierścienie i zważyłem je w dłoni. Lekkie one nie były...

— Aż tak ci na tym zależy, Mariusie? — zapytałem z zamyśleniem. — Nie lepiej działać, jak inni kupcy? Opłacać się łobuzom z Tirianu i zarabiać swoje? Aż tak bardzo ci zależy na pieniądzach? A może na tym, by ich pognębić?

— To nie tak, mistrzu Madderdin — rzekł i nie mógł odwrócić wzroku od mojej dłoni, na której wciąż leżały pierścienie. — Wierzę w wolną konkurencję i w to, że powinien decydować pieniądz oraz zdolności. Ale nie zgadzam się, aby łamano moje dobre prawa do tego, by samemu decydować z kim i jak chcę prowadzić interesy.

— Jesteś idealistą, Mariusie — powiedziałem. — Ludzie zawsze łamali prawo i zawsze je będą łamać. Na rzekach będą pływały pirackie barki, a księgowi będą oszukiwać poborców podatkowych. Ten, kto ma większe wpływy i większą siłę, będzie dyktował ceny oraz ustawiał rynek. Tak jest i tak musi być.

— Ja się na to nie zgadzam, mistrzu Madderdin — rzekł z jakąś zawziętością, dziwnie nie pasującą do jego nalanej twarzy. Pomyśleć, że ktoś kiedyś powiedział, iż grubasy są poczciwymi ludźmi. — Płacę uczciwie podatki, ale nie chcę płacić jeszcze haraczu tiriańskiej bandzie.

— Hmmm — Odłożyłem pierścienie na blat stolika. Zalśniły pięknie. — Lubię idealistów — stwierdziłem — i żałuję czasem, że moja praca wymaga ode mnie zbyt wiele realizmu. Umówmy się więc tak, Mariusie: jeśli nie załatwię wszystkiego po twojej myśli, stracisz tylko trzysta koron i moje koszta podróży oraz utrzymania. A te błyskotki wrócą do ciebie. A jeśli cała rzecz się uda, będzie cię stać na następne pierścionki, a tych trzech braciszków zostanie u mnie. Czy to uczciwa propozycja?

— Tak, mistrzu Madderdin — powiedział i widziałem, że moje słowa podniosły go na duchu. — Widzę, że przyjaciele nie mylili się co do pana.

— Odbieram to jako komplement — roześmiałem się. — Dobrze, idź już teraz i zostaw mnie upałowi oraz wszom. Od razu mówię, że nie ruszę się z Hezu, póki nie skończy się ta przeklęta pogoda. A Bóg raczy wiedzieć, kiedy wreszcie spadnie deszcz.

To mu się nie spodobało, ale przez chwilę nic nie mówił. Potem dopiero bąknął:

— Na rzece jest chłodniej, mistrzu Madderdin. Na pewno lepiej by wam było na mojej barce niż tutaj. Każę przygotować kajutę i dobre wino, chłodzone w lodzie. A może jakąś dziewkę, która umiliłaby wam trzy dni podróży?

— Czy myślisz, że w takim upale można myśleć o dziewkach? — Znowu ułożyłem się wygodniej. Całe ciało miałem tak mokre, jakbym dopiero wyszedł z kąpieli.

— Chociaż — dodałem po chwili — może to i dobry pomysł.

Potrząsnąłem głową i wstałem. Jednym szybkim ruchem, gdyż wiedziałem, że jak będę się do tego dłużej zbierał, znowu uznam, że najlepiej jest jednak leżeć.

— Szykuj barkę, Mariusie. O zachodzie słońca odpływam. Tylko niech dziewka naprawdę będzie warta trzech dni spędzonych z nią w jednej kajucie.

— Robi się, mistrzu Madderdin — rozpromienił się. — Mój kantor i magazyny są we wschodniej części doków. Każdy wam wskaże drogę. Albo nie, wyślę po południu chłopaka, by was zaprowadził.

Na koniec wyciągnął rękę i potrząsnął serdecznie moją dłonią. Miął miękkie palce i zniewieściały uchwyt. Wyciągnąłem dłoń z jego dłoni i skinąłem mu głową. Znowu poczułem się bardzo zmęczony. Jakoś Marius van Bohenwald nie potrafił mnie zarazić swoim entuzjazmem. Ale spędzenie trzech dni na wygodnej barce zapewne było dużo lepszym rozwiązaniem od gnicia w łóżku pełnym wszy i pluskiew. Zwłaszcza, że moja sakiewka miała się zapełnić, kupiec miał pokryć koszta utrzymania, a trzydniowe towarzystwo jakiejś hezkiej ślicznotki również nie było do pogardzenia. Pod warunkiem, że będzie to naprawdę ślicznotka, a nie portowa kurwa zżarta pracą i chorobami. Cóż, zobaczymy, czy Marius van Bohenwald potrafi wyrazić swój szacunek. Jeśli nie — zawsze mogę wrócić do wszy i pluskiew.

Jednak przed spacerem do portu i zaokrętowaniem się na łajbie Mariusa van Bohenwalda musiałem dowiedzieć się, kim jest mój zleceniodawca. To, że jego nazwisko obiło mi się o uszy, nie znaczyło przecież nic. Zwłaszcza, że ja nie mam tak dobrej pamięci, jak Kostuch, który rozmowy sprzed miesięcy potrafi cytować, jak gdyby odbyły się wczoraj. Oczywiście w mieście takim, jak Hez sprawdzenie licencjonowanego kupca nie jest niczym trudnym ani pracochłonnym. Wystarczy udać się do gildii kupieckiej i przepatrzyć dokumenty. Człowiek obcy miałby może niejakie kłopoty z uzyskaniem odpowiednich papierów, ale waszego uniżonego sługę kanceliści znali więcej niż dobrze i nikt nawet nie myślał, by rzucać mi kłody pod nogi. Dlatego też dowiedziałem się, iż van Bohenwald wykupił roczną licencję oraz miał referencje od dwóch zacnych kupców z Bortalz, w którym to mieście żyła jego bliższa i dalsza rodzina. Zgłosił utratę statku i wystąpił o odszkodowanie z tytułu ubezpieczenia, a postępowanie w sprawie trwało. Poza tym dzierżawił na terenie portu magazyn i biuro. Dokumenty gildii, jak zwykle były jasne, przejrzyste i konkretne, a wasz uniżony sługa po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że jeśli chce się prowadzić intratne interesy, to należy dbać o porządek.

— Tak, tak, biedny Mordimerze — powiedziałem sobie. — Kiedyś kupcy oraz przedsiębiorcy zawojują świat, a dzięki nim prawdziwą władzę zyskają urzędnicy i prawnicy. A twoja zacna profesja odejdzie w mroki zapomnienia, bo wszyscy zapomną o moralnej czystości, a myśleć już tylko będą o bilansie strat i zysków.

Miałem jednak nadzieję, że nie nastąpi to za mojego życia.

Marius van Bohenwald wydawał się więc człowiekiem wiarygodnym, choć przyznam szczerze, że wolałbym sprawdzić go nieco dokładniej. Ale pogoda w Hezie była tak parszywa, że z ulgą myślałem o orzeźwiającym rzecznym rejsie. Zresztą, jak miały wskazać późniejsze wypadki, nawet najbardziej dokładne sprawdzanie kupca z Bortalz nie przyniosłoby mi żadnej, dającej się wykorzystać, wiedzy.

###### \* \* \*

Barka należąca do Mariusa van Bohenwalda była zwykłą, rzeczną krypą. Szeroka, o płaskim dnie, tępym dziobie i jednym maszcie. Ale pod pokładem było zadziwiająco dużo miejsca na towary, a beczki i worki leżały również na deskach pokładu, pieczołowicie obwiązane linami i nakryte szarym, żaglowym płótnem. Załoga składała się z wytatuowanego od stóp do głów kapitana (był ubrany tylko w szerokie hajdawery, więc miałem okazję mu się dokładnie przyjrzeć), starego, beznosego sternika i czterech marynarzy. Wszyscy zajęci byli ładowaniem towarów, jedynie kapitan stał na pokładzie i wymachiwał trzymanym w dłoni rzemieniem.

Zobaczył mnie, kiedy stanąłem przy trapie, i obnażył w uśmiechu bezzębne dziąsła.

— Fisam fas, panie, na pokłasie Fiosennej Jusienki. So saścit sla mnie.

Wiosenna Jutrzenka była niezłą nazwą. Co prawda ten akurat statek powinien się nazywać Pływająca Balia albo Zanurzony Cebrzyk, ale znałem marynarską fantazję w wymyślaniu nazw, więc nawet się nie uśmiechnąłem.

— Wyłychofalim kąjuskę dla fasiej fielmosności — powiedział. — Posfólcie, saplofase.

Zeszliśmy po stromych, brudnych jak nieszczęście schodkach. Po lewej stronie znajdowały się drewniane drzwiczki.

— Fygós nie ma, fasia fielmośnoś — wyjaśnił. — Sałoga śfi na pokłasie, a su — machnął dłonią — sofały.

Otworzył drzwiczki i przepuścił mnie jako pierwszego. Kajuta była faktycznie maleńka. Mieściły się w niej tylko wypchany sianem materac, drewniana, okuta mosiądzem skrzynia i metalowy cebrzyk. Przy ścianie zobaczyłem szeroką szafkę. Ale bardziej mnie interesowała osoba leżąca na materacu. Zwłaszcza, iż była to półnaga (półnaga zapewne dlatego, że pod pokładem było ciepło i duszno niemal jak w mojej karczmie), młodziutka dziewczyna o białej cerze, długich jasnych włosach i sterczących piersiach.

— Niespocianka i płesen os pana Pohenfalsa — powiedział kapitan z uśmiechem. — Jak sekoś pencies potsepofać, panie, jesem so usłuk.

Wycofał się z ukłonem i zamknął za sobą drzwi. Leżąca na materacu dziewczyna przyglądała mi się uważnie, ale nawet nie drgnęła. Powiodła tylko, chyba bezwiednie, językiem po ustach. Ładne miała te usta. Pełne i czerwone, co przy bieli jej skóry robiło spore wrażenie.

— Jak masz na imię? — zapytałem, zdejmując płaszcz i rzucając go obok niej, na materac.

— Enya — odparła cicho. — Wy naprawdę jesteście inkwizytorem, panie?

— Możesz mówić do mnie Madderdin — zaproponowałem. — Poznamy się zapewne bardzo blisko przez te trzy dni, więc wolę słyszeć z twoich ust własne imię, niż ciągłe „panie”.

— Jak sobie życzysz, Madderdin — powiedziała. — Przyprowadzono mnie tutaj, żebym spełniała twoje życzenia.

— I to lubię — roześmiałem się. — A inkwizytorem jestem naprawdę, skoro już musisz wiedzieć. Lecz trzymaj buzię na kłódkę, jeśli nie chcesz mnie rozgniewać. Dla wszystkich będę Godrygiem Bemberg, kupcem z Hezu, dziedziczącym majątek, który chce zainwestować.

— Oczywiście, Mordimer — odparła grzecznie. — Ale pozwól, że kiedy jesteśmy sami, będę cię nazywała prawdziwym imieniem. Jest dużo bardziej... — zastanawiała się chwilę, a potem uśmiechnęła się leciutko — zmysłowe.

Byłem zdziwiony tym, że tak ładnie się wysławiała. Z całą pewnością nie była to wulgarna, portowa dziwka, potrafiąca jedynie kląć w alkoholowym upojeniu. Miała w sobie jakąś nie pasującą do jej zawodu delikatność. Niemniej nie byłem zachwycony tym, że Marius van Bohenwald powiedział jej, kim jestem. Być może myślał, że wtedy będzie się bardziej starać. Cóż, zapewne tak właśnie było.

— Długo pracujesz w fachu? — zapytałem i zrzuciłem koszulę. Była tak mokra od potu, jakbym wyciągnął ją przed chwilą z wody.

— Niedługo. Pół roku. Ale umiem wszystko, co trzeba — zapewniła. — Przekonasz się.

— To się jeszcze okaże. Nie chwal dnia przed zachodem słońca.

Zzułem buty i zdjąłem onuce. Nie powiem: zrobiło mi się lepiej, choć pod pokładem i tak było pierońsko duszno.

— Naprawdę, panie... Mordimer — poprawiła się — będziesz ze mnie zadowolony. Chciałabym, żebyś powiedział o mnie dobre słowo w nowym domu, i będę się starała.

— W nowym domu? Gdzie?

— W Tirianie — odparła. — Mam tam zacząć pracę.

Zwaliłem się na materac i położyłem dłoń na jej piersi. Enya była bardzo szczupła i niewysoka, ale piersi miała całkiem spore. Dobrze, bo nie ma jak duży cyc, zwłaszcza kiedy właścicielka jest filigranowej budowy. To mówi wam Mordimer Madderdin, mili moi, wytrawny znawca hezkich dziwek.

— Już chcesz? — zapytała, uśmiechając się.

— Na razie chcę wina — powiedziałem.

Wstała i sięgnęła do szafki. Wyjęła z niej dwa kubki i glinianą butlę. Dużą butlę.

— Mogę napić się z tobą?

— Rzecz jasna — odparłem. — Nie lubię pić sam.

Rozlała wino do kubków i podała mi. Powąchałem.

— Pachnie nieźle — stwierdziłem. — No, to wypijmy za podróż, Enyo.

— Twoje zdrowie, Madderdin — wzniosła toast i wzięła wino do ust.

Potem nachyliła się nade mną, rozlała je po mojej piersi i zaczęła zlizywać. Miała zgrabny, wąski języczek, a lizała nad wyraz delikatnie. Ułożyłem się wygodniej.

— Dobrze, mała — powiedziałem. — Teraz zjedź niżej.

Odgarnęła włosy i uśmiechnęła się, a potem zrobiła, co kazałem.

###### \* \* \*

Muszę powiedzieć, że to były niezłe trzy dni, mili moi. Co prawda na łajbie van Bohenwalda pluskwy również wyłaziły z materaca, spadały z sufitu i gryzły, ale z całą pewnością pojawiały się mniej licznie niż w mojej kwaterze. Poza tym nie za bardzo miałem czas i ochotę myśleć o pluskwach, bo Enya mocno się starała uprzyjemnić mi czas. Muszę przyznać, że dawno nie miałem tak chętnej dziwki, którą w dodatku bawiło, co robi. No, zawsze można powiedzieć, że wasz uniżony sługa potrafi rozpalić nawet zimną kurwę, ale nie... Myślę, że Enya taka po prostu była. Cóż, pół roku w burdelu nie zniszczyło jeszcze w niej ochoty do zabawy i pewnej szczerości uczuć.

Piliśmy, baraszkowaliśmy na materacu i niespecjalnie przejmowaliśmy się tym, co dzieje się wokół. Zresztą nie działo się nic interesującego. Łajba płynęła spokojnie, a pogoda była cały czas piękna i słoneczna. Zresztą rzeka na trasie od Hezu do Tirianu była szeroka, leniwa, rozlana w spore rozlewiska i tu nie groziły żadne niespodzianki. Bystry nurt i mielizny zaczynały się dopiero w górze rzeki, jakiś dzień drogi od Tirianu. Tam leniwa staruszka zamieniała się w kapryśną, żwawą dziewczynkę. Tam rzeka wiła się wśród porohów i mielizn, często zmieniała koryto oraz zaskakiwała licznymi, przykrymi niespodziankami. Do najgorszych z nich należeli korsarze, zwykle podpływający do statków nocą na małych, szybkich łódeczkach i bezlitośnie mordujący wszystkich świadków rabunku. W górze rzeki na pewno nie moglibyśmy sobie pozwolić na żeglugę bez obstawy. Ale tutaj podróż przypominała spacer.

Wreszcie trzeciego dnia minęliśmy Tiriańskie Rozlewisko i z dala zobaczyliśmy wieże miejskiego ratusza. Barka musiała manewrować wśród licznych statków, galer, łódek i łódeczek, które dopływały do Tirianu trzema rzekami wpadającymi w Rozlewisko. Cóż, kupcy w Tiria-nonnag mieli się dobrze z tak liczną klientelą i nie dziwiłem się, że nie chcą rezygnować z monopolu handlowania z południem. Ale wiadomo przecież, że jeśli istnieje monopol, to prędzej czy później ktoś zechce go przełamać. I mój pracodawca należał właśnie do takich ktosiów. Jednak ja nie zamierzałem ryzykować skóry w imię interesów Mariusa van Bohenwalda. Który to Marius był zapewne w stanie za drogie mu idee bez mrugnięcia okiem oddać życie... Nie swoje, rzecz jasna, lecz każdego wynajmowanego przez siebie człowieka.

Tirian, mimo znakomitego położenia u zbiegu trzech rzek, nie był miastem tak dużym jak Hez-hezron i powszechnie uznawano go raczej za prowincję. Z czego to wynikało? Z wielu przyczyn. Między innymi z faktu, iż Tirian żył z pośrednictwa i handlu, a próżno było tu szukać silnych rzemieślniczych gildii. W Tirianie nie było manufaktur, a nawet co zręczniejsi mistrzowie i czeladnicy uciekali czym prędzej do Hezu. Poza tym trudno wyobrazić sobie arystokratę lub bogatego szlachcica, który w Tirianie chciałby mieć miejską posiadłość lub pałac. Oni wiedzieli, że w Hezie rozdaje się karty i właśnie tam warto żyć. Blisko biskupiego dworu i blisko cesarskich namiestników. Co by nie mówić, Tirian był po prostu dziurą. Wielką i bogatą, ale dziurą.

— Ktoś będzie na ciebie czekał? — spytałem Enyę.

— Pewnie tak — odparła i chyba wyczułem w jej głosie jakiś smutek. — A może... — zawiesiła głos — może zatrzymałbyś mnie do czasu swego odjazdu? Chyba nie było ci źle, co?

— Wiesz co — roześmiałem się. — Na twoim przykładzie widać, że nawet dziwki Bóg obdarzył rozumem. Sądzę, że takie towarzystwo w Tirianie może być całkiem miłe.

— Och, dziękuję, Mordimer — powiedziała z radością i przytuliła się do mnie.

Ja myślę! Zawsze lepiej mieć jednego poważnego klienta, który dobrze płaci (miałem nadzieję, że van Bohenwald płaci jej dobrze), a nie ich stado. Mężczyzn, których trzeba obsługiwać, czy się ma na to ochotę, czy nie, i niezależnie od tego, kim są oraz jak wyglądają. A Enya była na tyle miła i dobra w miłosnych zapasach, że perspektywa przedłużenia naszego uroczego, płatnego romansu o kilka lub kilkanaście dni całkiem mi się spodobała.

W porcie czekał już plenipotent van Bohenwalda, stetryczały jegomość o skrzywionych ustach i czerwonym nosie, ubrany pomimo upału (ale dużo, dużo mniejszego niż w Hezie, bo w Tirianie dawało się jakoś oddychać) w wełniany, szary płaszcz.

— Jestem Tobias Amstel — powiedział, skłaniając głowę. — I reprezentuję w Tirianie interesy pana van Bohenwalda. Pozwólcie, że zaprowadzę was na kwaterę. A ona ma tu zostać. — Ruszył niedbale dłonią w kierunku Enyi. — Ktoś po nią przyjdzie...

— Godryg Bemberg — odkłoniłem się uprzejmie, mając nadzieję, że szacowny van Bohenwald nie rozgłosił po całym Tirianie, kim jestem. — A ona idzie ze mną — odparłem i plenipotent tylko uniósł brwi, ale nie odezwał się.

— Pana wola — rzekł w końcu. — Proszę za mną.

Port w Tirianie i towarzyszące mu magazyny oraz składy kupieckie rozłożone były nad rzekami i jeziorem. W zasadzie ten port składał się z kilku oddzielnych cumowisk, kilka też było kapitanatów oraz posterunków straży celnej i służby podatkowej. Wąskie alejki i uliczki ciągnęły się zygzakami wśród budynków postawionych bez żadnego architektonicznego planu. Kluczyliśmy tu i tam, w gęstym tłumie przewalającym się przez ulice. Ten tłum był chyba nawet gęstszy niż w Hezie. Może po prostu straż z Hezu nieco bardziej zwracała uwagę, kogo wpuszcza za miejskie mury? Na ulicach Tirianu oprócz zabieganych przechodniów, roiło się od przekupniów, żebraków, cyrkowców, przedajnych dziewek, silnorękich do wynajęcia, pijanych tragarzy i dokerów. Za to miejskiej straży można było szukać do upojenia. Raz tylko błysnął mi w słońcu stalowy hełm strażnika i zobaczyłem ostrze wysoko niesionej glewii. Ciekawe, jakby sobie poradził tą glewią w zbitym tłumie wypełniającym ulice? Dużo lepsza wydawałaby się zwykła, okuta żelazem pałka. No, ale glewia na pewno godniej się prezentowała...

Ładnych kilka pacierzy trwało, zanim dotarliśmy do nieco spokojniejszej dzielnicy. Tu ulice były szersze, domy i kramy bogatsze, a budynki zwykle ogrodzone. Teraz też częściej można było dostrzec patrol miejskiej straży. Stanęliśmy przed solidnym jednopiętrowym budynkiem w kształcie podkowy. Szyld nad drzwiami głosił: „Pod Lwem i Jednorożcem. Tanie wino, wyśmienite obiady, bezpieczny nocleg”. Poza tym jakiś domorosły malarz wymalował ogromnego białego jednorożca (trochę przypominał osła z rogiem wyrastającym spomiędzy oczu) wspinającego się na tylne nogi i trzymającego kopyta nad głową lwa. Ku mojemu zdumieniu lew miał czerwoną sierść i trzy łapy. W każdym razie nigdzie nie mogłem dostrzec czwartej.

— Wymyślna nazwa — zauważyłem.

— Tirian — odparł mój przewodnik, jakby to słowo miało tłumaczyć wszystko.

Marius van Bohenwald kazał mi wynająć naprawdę wygodną kwaterę. Składała się z dwóch małych pokoików na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi na ogród, znajdujący się na tyłach gospody. W jednym z pokoi stało szerokie, upiornie skrzypiące łoże, w drugim stolik i dwa sczerniałe ze starości zydle. Ale w kredensie zobaczyłem sporą kolekcję butelek. Pełnych, rzecz jasna. W dodatku pełnych całkiem dobrego wina, którego nie omieszkałem zaraz popróbować.

— Jeśli będzie pan miał jakieś życzenia, proszę dać znać oberżyście — powiedział Tobias Amstel. — Wie, gdzie mnie szukać.

— Dziękuję — skinąłem głową, a on wyszedł pospiesznie.

— Dba o ciebie — stwierdziła Enya, rzucając się na łóżko, aż jęknęło, jakby kogoś w środku zarzynano. — Ten kupiec.

— Ano dba. — Byłem zadowolony, bo lubię, kiedy ludzie mnie szanują.

A oberża sprawiała naprawdę wrażenie przyzwoitej. Zresztą ważne było, że noclegi i jedzenie miałem na koszt mojego pracodawcy. I nie zamierzałem sobie niczego żałować.

— Masz tu kogoś zabić, czy co? — Odwróciła się i zrzuciła bluzkę. — A może chodź do mnie? Masz ochotę?

— Później — odparłem. — Zabić? — Pokręciłem głową. — Czy ja jestem płatnym mordercą, dziewczyno?

— To co masz zrobić? Jeść, pić i gzić się ze mną?

— No to byłby raj — roześmiałem się. — Gdyby płacono za takie rzeczy. Pamiętaj, że nadmierna ciekawość szkodzi zdrowiu. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

— Eee tam — powiedziała rozkapryszonym tonem.

— Jak będziesz niegrzeczna, oddam cię do tego burdelu, gdzie miałaś iść, i wezmę sobie dziwkę, która mniej gada.

— Aha, już to widzę. — Roześmiała się i pogłaskała po nagich piersiach, a jej różowe sutki wyprężyły się. — Chodź, Mordimer, i zerżnij mnie porządnie. Potem możesz załatwiać interesy, a ja się prześpię.

Roześmiałem się również i nalałem nam wina do kubków.

— Może to i dobry pomysł — powiedziałem.

###### \* \* \*

Enya przetrzymała mnie w łóżku niemal do zachodu słońca, aż w końcu biedny Mordimer musiał wyrwać się z jej objęć, gdyż przecież przyjechał tu pracować, a nie słodko leniuchować. Tak to już jest, mili moi, że żadna przyjemność nie może trwać wiecznie, a poza tym nie byłoby dobrze widziane, gdybym pierwszego dnia po przybyciu nie odwiedził mych braci inkwizytorów z tiriańskiego Inkwizytorium. Oczywiście nie obligowały mnie do tego żadne przepisy, ale prawo zwyczajowe wyraźnie mówiło, że obcy inkwizytor powinien zameldować o swej obecności miejscowym i przedstawić cel pobytu, jeżeli tylko nie był on tajemnicą służbową.

Tak więc zostawiłem Enyę (ona zresztą momentalnie odwróciła się do ściany i zasnęła) i wolnym spacerkiem udałem się na rynek, przy którym stał solidny, murowany budynek Inkwizytorium. Od ulicy odgradzał go kamienny mur, tak wysoki, że musiałbym nieźle podskoczyć, by zobaczyć, co się za nim dzieje. Przy kutej w żelazie bramie siedział znudzony strażnik miejski, z glewią opartą o mur. Ze zgorszeniem zauważyłem, że ostrze broni było całe pokryte rdzawymi naciekami. W Hezie za takie niedbalstwo z całą pewnością ukarano by go solidną chłostą.

— Czego? — warknął, widząc, że zmierzam w stronę bramy.

— Wstań, synu, kiedy ze mną rozmawiasz! — powiedziałem ostro.

Spojrzał spode łba.

— Bo co? — podniósł się na nogi i oparł dłoń na drzewcu glewii. — Burdy chcesz robić?

— Zamelduj, że inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu, Mordimer Madderdin, chce wejść na teren Inkwizytorium.

— Oww-wielmożny, raczcie wybaczyć. — Wzrok strażnika nagle spokorniał, a on sam skulił się i puścił drzewce glewii, jakby go parzyło. — Już wołam.

Szarpnął za sznur zwisający przy murze i po drugiej stronie odezwał się czysty, głośny dźwięk dzwonka. Już po chwili szczęknęła odmykana brama i zobaczyłem służącego w wytartym, czarnym kaftanie i trzymającej się czubka głowy czapeczce.

— Czym mogę służyć? — spytał uprzejmym tonem.

— Jestem Mordimer Madderdin — powtórzyłem, zastanawiając się, ile razy będę musiał jeszcze się przedstawiać, zanim dotrę do Inkwizytorium. — Inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu.

— Zapraszam, mistrzu. — Odemknął szerzej bramę i uśmiechnął się. — U nas dziś pustki, ale starszy cechu na pewno z radością przyjmie waszą dostojność.

Podziękowałem mu skinieniem głowy i wszedłem za bramę. Murowany budynek Inkwizytorium otoczony był pięknym, świetnie utrzymanym ogrodem. Wśród grządek z różanymi krzewami krzątali się dwaj ogrodnicy w szarych fartuchach, a trzeci szczękał wielkimi nożycami, przycinając wysmukłe tuje. Na środku ogrodu zobaczyłem marmurową fontannę, z której wypływał sztuczny strumyk ginący gdzieś pośród krzewów. A przed samymi drzwiami stała marmurowa figura Jezusa ze stalowym mieczem w dłoni. Jezus był ubrany w lekką zbroję, długie włosy wypływały spod hełmu z nosalem. Sam posąg był znakomity, lecz jego umiejscowienie wydało mi się nieco dziwne. Otóż Chrystus wyglądał tutaj na odźwiernego, stróżującego przy drzwiach Inkwizytorium. Za mniejsze już błędy paliło się ludzi na stosach. No, sprostujmy: za mniejsze błędy paliło się niegdyś ludzi na stosach, bo w dzisiejszych czasach Kościół i jego słudzy złagodnieli i nie ścigali już herezji tak zawzięcie jak dawnymi czasy. Szczerze mówiąc, uważałem to za słuszne, gdyż tak postawiony posąg wystarczyło jedynie przenieść w inne miejsce, a nie od razu palić właściciela. Pochopność jest często wrogiem pokory i zrozumienia. A my — inkwizytorzy — chcemy wszak w pokorze rozumieć innych.

— Piękna rzeźba — powiedziałem.

Służący skwapliwie pokiwał głową.

— Mistrz Ignacius specjalnie sprowadzał rzeźbiarzy z Hezu — wyjaśnił.

Mistrz Ignacius był starszym tiriańskiego Inkwizytorium. Pamiętałem go jeszcze ze szkoły, gdyż przybył niegdyś na cykl gościnnych wykładów. Nie bardzo mogłem sobie przypomnieć temat jego nauk, ale wydawało mi się, że był specjalistą od pogańskich wierzeń. Przedstawiał również kontrowersyjną tezę, iż pogańskie wierzenia są bardziej niebezpieczne od herezji wynikających z błędnego rozumienia Pisma. Czyli, że poganin jest gorszy od chrześcijanina — heretyka. Szczerze mówiąc, trudno mi było zgodzić się z takim twierdzeniem, gdyż wypaczanie nauk świętej wiary znacznie jest gorsze od jej nieznajomości.

Służący otworzył drzwi i weszliśmy do chłodnej, kamiennej sieni.

— Proszę na lewo, mistrzu — powiedział. — Mistrz Ignacius wieczerza.

Znowu rozwarł przede mną następne drzwi, tym razem prowadzące do niedużej komnaty, w której stały prostokątny stół i osiem rzeźbionych krzeseł o wysokich oparciach. Tylko jedno z nich było zajęte, a siedział na nim pulchny, niski człowieczek z wianuszkiem włosów, otaczających mu łysinę, niczym wieniec laurowy. Kiedy mnie zobaczył, wstał wolno i odłożył nóż, którym kroił właśnie tłustą pieczeń.

— Kogo mam zaszczyt gościć? — zapytał niezbyt wyraźnie, bo miał pełne usta.

— Jestem Mordimer Madderdin, inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu — po raz trzeci, i miałem nadzieję, że ostatni, wygłosiłem tę formułkę.

— Witam, drogi Mordimerze! — zakrzyknął, jakbym był upragnionym i z dawna spodziewanym gościem. — Jakżeś się zmienił od czasów szkoły!

— Wasza dostojność mnie pamięta? — spytałem uprzejmie.

— Oczywiście, Mordimer. I proszę, nie zawstydzaj mnie „waszą dostojnością”. Nie jesteś już uczniem, lecz inkwizytorem, o którego dokonaniach wiele tu słyszeliśmy, na naszej głuchej i spokojnej prowincji.

— Jesteś zbyt uprzejmy, Ignaciusie — pochyliłem głowę.

— Tak, tak, siadaj, Mordimer. — Wskazał mi krzesło naprzeciw siebie. — Manuelu, przynieś drugie nakrycie, proszę. Zmężniałeś — rzekł, znów obracając na mnie wzrok. — Pamiętam cię jako chudego, wiecznie milczącego szesnastolatka, mój drogi. Wiesz, że nigdy nie zadałeś mi żadnego pytania?

— Słuchałem — odparłem, gdyż lepiej pamiętał przeszłość ode mnie i byłem tym zdumiony.

— To prawda, pilnie słuchałeś. I zastanawiałeś się, jak blisko jestem herezji, prawda?

Drgnąłem. Czyżby było to aż tak widoczne? Faktycznie, jedno zdarzenie akurat sobie przypomniałem. Kiedyś, gdy słuchałem wykładu Ignaciusa przemknęła mi przez głowę myśl: „Spłoniesz, mistrzu. Spłoniesz z całą pewnością”. I zaraz się tej myśli sam przestraszyłem. Skąd mógł wiedzieć? Czy wszystkich uczniów pamiętał i rozumiał aż tak dobrze?

— Byłem niedoświadczony, Ignaciusie — odparłem łagodnie. — I być może nie rozumiałem, że wiara umacnia się w ogniu dyskusji.

— W ogniu dyskusji — powtórzył. — Cóż, nie wszyscy tak myślą — spojrzał na mnie badawczo. — Większość sądzi, że należy wierzyć bez zbędnego mędrkowania.

— Również mają rację — odparłem. — Bo wszystko zależy od tego, kto dyskutuje i jak daleko sięga dyskusyjny zapał.

— Zapał, ogień... Jakże blisko od tych słów do płomienia i stosu... — powiedział zamyślony.

Służący, nazywany przez Ignaciusa Manuelem, przyniósł na tacy talerz, nóż i metalowy kubeczek.

— Częstuj się, Mordimer — zaprosił mnie dawny nauczyciel. — Czym chata bogata... — Dał znak Manuelowi, by opuścił komnatę.

— To miło, że przestrzegasz starych zwyczajów i przyszedłeś nas odwiedzić — powiedział, kiedy odkrawałem sobie najmniej tłusty, a za to dobrze wypieczony kawałek mięsa. — Spróbuj chleba — dodał. — Mamy własną piekarnię i śmiem twierdzić, że robimy najlepszy chleb w Tirianie. Taaak — ciągnął. — Dobrze widzieć, że młode pokolenie szanuje odwieczne obyczaje, na których wyrośliśmy i o które dbaliśmy.

Mógł sobie darować te nostalgiczne uwagi, ale przyjąłem je z uśmiechem. Ignacius sprawiał wrażenie sympatycznego, poczciwego i dobrze trzymającego się staruszka. Czy próbował mnie nabrać, czy też tak bardzo przyzwyczaił się do gry, że stała się jego drugim życiem i grał bezwiednie? Nieważne. Był inkwizytorem, a w Inkwizytorium nie pracują sympatyczni i poczciwi staruszkowie, z łezką w oku wspominający chwałę dawnych czasów.

— Czy nie obrazisz się, Mordimer, jeśli spytam cię o cel wizyty w Tirianie? Może będę ci mógł w czymś pomóc?

— Jesteś niezwykle uprzejmy, Ignaciusie — powtórzyłem niedawno wygłoszoną kwestię. — Ale powiedziałbym, że odwiedziny w Tirianie traktuję jak dawno mi należne wakacje. Pewien bogaty kupiec, pozwól, że nie wymienię jego nazwiska, postanowił sfinansować mój pobyt tutaj. I to pobyt w miłym towarzystwie — mrugnąłem znacząco. — W zamian za niedawno oddane przysługi.

— Ach, tak — uśmiechnął się. — Wybrałeś więc właśnie Tirian jako miejsce odpoczynku. Jak miło!

W jego głosie nie wyczułem ani szyderstwa, ani ironii. Grał swoją rolę bezbłędnie, więc i ja zamierzałem grać swoją.

— Och, nie ukrywam, że postanowiłem połączyć przyjemne z pożytecznym — rzekłem z lekkim zakłopotaniem. — I mam nadzieję na pewne spotkanie w interesach. Jednak, wybacz, że nie mogę o tym mówić, gdyż nie działam tylko w swoim imieniu i zobowiązano mnie do utrzymania tajemnicy. Niestety, Ignaciusie, Jego Ekscelencja biskup Hez-hezronu, niech Pan czuwa nad jego świątobliwą duszą, niezwykle skrupulatnie liczy rozchody biskupstwa...

— ... a co za tym idzie inkwizytorskie pensje — zaśmiał się. — Skąd ja to znam? Ale oczywiście, Mordimerze — dodał. — W interesach dyskrecja jest rzeczą świętą i nie zamierzam cię skłaniać do złamania danego słowa. Jednak z twoich słów rozumiem, że odwiedziny Tirianu nie są w żaden sposób związane z twoją działalnością, jako inkwizytora Jego Ekscelencji?

— Boże broń, Ignaciusie — powiedziałem.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu i spróbowałem wina, którym poczęstował mnie tiriański inkwizytor.

— Alhamra — powiedziałem, próbując. — Miód w gębie.

— Mamy specjalną zniżkę — mrugnął porozumiewawczo. — Bo w Hezie już każą sobie słono za nie liczyć...

— O, tak — westchnąłem. — Widzę, że i w Tirianie bracia chętniej spędzają czas we własnych kwaterach niż w Inkwizytorium — dodałem.

— Dlaczego tak sądzisz? — zmrużył oczy.

— Wieczerzasz sam — odrzekłem. — Ale ja też wolę pokój w karczmie niż nasze dormitorium.

— Jest nas pięciu — odparł — i wszyscy mieszkamy w Inkwizytorium. Jednak teraz moi czterej bracia przebywają poza miastem i zostałem sam. Tak więc cieszę się, że dotrzymasz mi towarzystwa dzisiejszego wieczoru.

Zaciekawiło mnie, cóż za pilne sprawy wyrwały z miasta wszystkich inkwizytorów, ale wiedziałem, że nie wypada się dopytywać. Jednak fakt, że piątka inkwizytorów mieszkała razem, był nieco dziwny. Chociaż, może w Tirianie obowiązywały inne reguły niż w Hezie? Po dbałości o ogrody i sutym posiłku poznałem, że obyczaje tu były lżejsze niż w Hezie, gdzie panowała ścisła i surowa reguła. No, ale cóż, ich było tylko pięciu i mogli ustalić sobie takie prawa, jakie chcieli.

Z Ignaciusem spędziłem miły wieczór przy dzbanku dobrego wina. Gawędziliśmy leniwie, on opowiadał tiriańskie plotki, a ja zwierzałem się z tego, jak żyje się w bliskości Gersarda, ekscelencji biskupa. Z tym że, chyba wierzycie, mili moi, iż wasz uniżony sługa nie pozwolił sobie na wypowiedzenie ani jednego zbędnego słowa, a o atakach podagry Gersarda mówił z podszytym współczuciem szacunkiem. W końcu samo Pismo mówi: *„Nie każdemu człowiekowi otwieraj serce swoje”.* I jak mało kto na świecie mogę świadczyć o niezwykłej słuszności tych słów.

###### \* \* \*

Kiedy zaświtał pierwszy poranek mojej bytności w Tirianie, odemknąłem okiennice z poczuciem nieskrywanej ulgi. Oto na niebo wypełzły białe, kłębiaste i gęste chmury, co zapowiadało, iż dzień nie będzie tak upalny, jak poprzedni. I dobrze, gdyż wasz uniżony sługa miał to i owo do załatwienia. Zastanawiacie się zapewne, jakiż to chytry plan ułożył biedny Mordimer, by zadowolić Mariusa van Bohenwalda oraz odkryć, kto morduje niezależnie pływających kapitanów? Być może was rozczaruję, mili moi, ale plan mój był prosty jak dłuto do łupania kości. Otóż ni mniej, ni więcej, tylko zamierzałem pójść najpierw do głównego kapitanatu, podając się za kupca z Hezu. I postarać się legalnie wynająć statek oraz kapitana. A potem zobaczyć, kto przyjdzie mnie ostrzegać przed konsekwencjami takiego zuchwalstwa. Cóż, punkt wyjścia dobry, jak każdy inny.

Główny kapitanat Tirianu mieścił się w wielkim, parterowym budynku, który zapewne niegdyś był magazynem zbożowym, a teraz rozlokowali się w nim urzędnicy i kanceliści. W środku roiło się od kupców, pośredników i zwykłych żeglarzy, z których każdy miał do załatwienia nie cierpiącą zwłoki i niezwykle ważną sprawę. Jednak przyznać muszę, że mimo tłoku, w środku panował niezwykły wręcz ład, a nad porządkiem czuwało kilku strażników portowych z solidnymi pałami w dłoniach. I sam widziałem, że potrafili tymi pałami przylać petentom nie potrafiącym zachować się zgodnie z obowiązującymi regułami.

Musiałem odczekać swoje w dość długiej kolejce do jednego z kancelistów. Siwy, zasuszony człowieczek siedział nad stertą ksiąg i papierów. Blat biurka, palce, a nawet uszy miał poplamione inkaustem.

— Słucham — zapytał niecierpliwie, kiedy stanąłem przednim.

— Chcę wynająć dobry statek i kapitana znającego rzekę w górnym biegu — powiedziałem głośno.

Kancelista odłożył pióro na blat biurka i podniósł na mnie wzrok.

— Macie tiriańską licencję? — zapytał, uważnie mi się przyglądając spod siwych, rzadkich brwi.

— Nie — odparłem. — Jestem kupcem z Hezu.

Ktoś stojący za mną parsknął śmiechem, ktoś inny pokazał mnie palcem, a jakiś głos krzyknął: „znajdźcie mu kapitana, który chce stracić uszy”. Urzędnik uśmiechnął się samymi ustami.

— Nie sądzę, żeby ktoś z wami chciał popłynąć, skoro nie macie licencji — powiedział z ledwo ukrywanym rozbawieniem.

— Nie wierzę, że w Tirianie nie ma kapitana, który nie chce zarobić solidnej sumki za kurs na południe — powiedziałem ze zdumieniem.

— Posłuchajcie no, panie... — zawiesił głos.

— Godryg Bemberg — wyjaśniłem. — Licencjonowany kupiec z Hez-hezronu.

Znowu ktoś z tyłu parsknął śmieszkiem, słysząc te słowa.

— Posłuchajcie no, panie Bemberg — rzekł. — Nie znam kapitana, który by z wami popłynął. Wykupcie w gildii jednorazową licencję albo skorzystajcie z pośrednictwa naszych kupców. To wam mogę poradzić. Następny! — Odwrócił ode mnie wzrok.

— Zaraz, zaraz...

— Następny! — powiedział już ostrzejszym tonem i spojrzał w stronę jednego ze strażników.

— Dobrze, już dobrze — powiedziałem, kiedy zobaczyłem, że strażnik wolnym krokiem zmierza w moją stronę.

W końcu wielce upokarzające byłoby, mili moi, gdyby biedny Mordimer dostał pałą po plecach w tiriańskim kapitanacie. I w dodatku nie mógł we właściwy sposób ukarać napastnika.

Przepchnąłem się przez tłum i wyszedłem na zewnątrz budynku. Przysiadłem na murku ze zrezygnowaną miną i nie musiałem długo czekać, aż podszedł do mnie młody, bogato ubrany człowiek. Miał zdobiony srebrem, jedwabny kaftan i haftowane ciżmy z fantazyjnie wygiętymi noskami. U zdobionego, szerokiego pasa kołysał się sztylecik o grawerowanej srebrem rękojeści.

— Witajcie, panie Bemberg — powiedział serdecznym tonem. — Jeśli dobrze usłyszałem wasze szacowne nazwisko.

— Ano dobrze — wstałem z murku i skinąłem mu głową.

— Pierwszy raz w Tirianie, co? Ach, jakżeż to nieuprzejmie z mojej strony! Jestem Maurycy Mossel, pośrednik, do waszych usług, panie. — Porwał moją dłoń i potrząsnął nią z zapałem. — Jeśli zechcecie wysłuchać kilku rad, chętnie wam ich udzielę przy kielichu lub dwóch dobrego winka.

— A co wy w tym macie za interes, panie Mossel? — zapytałem nieufnie.

— To już zobaczycie i ocenicie sami, a na razie rozmowa ze mną nie będzie was kosztować więcej jak dzbanek wina — wyjaśnił ze szczerym uśmiechem i odgarnął złoty lok, który opadł mu na czoło.

— No, to prowadźcie — burknąłem.

Winiarnia, do której weszliśmy, nie należała do najtańszych, i zapewne odwiedzali ją co najmniej średnio zamożni kupcy. Ale obsługujące gości dziewki były ładne, żwawe i domyte, kielichy i dzbany nie poszczerbione, wybór win ogromny, a same trunki z całą pewnością nie zostały uświęcone ceremonią chrztu. Tak więc winiarnia musiała się cieszyć dobrą reputacją. Mossel dał znak karczmarzowi i zaraz zaprowadzono nas do małego stołu, odgrodzonego od reszty sali drewnianym przepierzeniem.

— Dzbanek białej Alhamry — rozkazał mój towarzysz, czując się tu najwyraźniej jak u siebie w domu, i uszczypnął w tyłek zalotnie uśmiechniętą dziewczynę, która przyszła odebrać zamówienie.

Dziewczyna miała obfity biust i mocno wydekoltowaną sukienkę. Bardzo dobrze, bo wasz uniżony sługa zawsze uważał, że każdy człowiek powinien chlubić się tym, co ma najlepszego.

— *„Dwie piersi twoje, jako dwoje małych bliźniąt sarnich. Szyja twoja, jako wieża z kości słoniowej” —* wyrecytowałem, zanim pomyślałem, żeby ugryźć się w język.

— Widzę, że znacie dobrze słowa Pisma, panie — stwierdził Mossel.

— Jedynie te, które pozwalają skaptować płeć piękną — zaśmiałem się rubasznie. — Opowiem wam, panie Mossel, jakie to przygody z pewną — uniosłem palec znacząco — damą wysokiego rodu, miałem okazję...

Chrząknął znacząco.

— Jeśli pozwolicie — powiedział. — Zajmijmy się lepiej waszymi kłopotami, jeśli łaska...

— Ano tak — odparłem, udając zmieszanie. — Damy damami, a interesy interesami.

Dziewczyna przyniosła spory dzbanek wina i dwa kielichy. Mossel rozlał trunek i uniósł kielich.

— Za powodzenie w interesach, panie Bemberg — rzekł uroczystym tonem.

— Ano — przytaknąłem. — Żeby te dukaty w moim mieszku szybko dorobiły się siostrzyczek i braciszków.

Roześmiał się szczerze, upił łyk wina i klepnął mnie serdecznie po ramieniu. Zdolności aktorskich nie można było mu odmówić.

— Powiedzcie, jakie interesy sprowadzają was do Tirianu — rzekł — a ja wam postaram się pomóc z całych sił, bo widzę, żeście człowiek dowcipny, zacny i bystrego umysłu.

— Mam trochę gotowizny po zmarłym wuju — powiedziałem. — Postanowiłem ją rozmnożyć. Ktoś mi powiedział, że na południu, w górze rzeki, dostanę towary, które sprzedam w Hezie z trzykrotnym, a może większym przebiciem. Chcę więc wynająć statek oraz znającego rzekę kapitana, na południu kupić wino, samit, a może kilka pięknych dziewek, i wrócić do Hezu z towarami. — Stuknąłem kielichem w blat stołu. — Tak żem sobie właśnie umyślił.

— I wydaje się wam to takie łatwe, panie Bemberg — rzekł. Założę się, że musiał się nieźle bawić. — A nie pomyśleliście o piratach albo o wykupie tiriańskich licencji?

— Wynajmę ludzi do ochrony, a ufam, że będę mógł zabrać się z innymi kupcami w kilka statków. Ale licencja? — zawiesiłem głos. — Mam licencję z Hezu, panie Mossel, a to pozwala mi na handel wszędzie w obrębie włości Jego Ekscelencji biskupa, czyli i tu, w Tirianie.

Pokiwał głową i zauważyłem, że z trudem ukrywa rozbawienie.

— Prawo prawem, a zwyczaj zwyczajem, panie Bemberg — rzekł. — Widzę, że jest z was człowiek ufny i prawy, ale miejscowi kupcy nie lubią konkurencji. Powiem wam, jak przyjaciel, co możecie zrobić. — Wypił wino, a potem dolał nam trunku do kielichów. Udawał, że się zastanawia.

— Mogę wam polecić szacownych miejscowych kupców — powiedział — którzy chętnie zakupią dla was towary, podług przedstawionego im spisu, i przewiozą je do Tirianu. Możecie też w jednym z naszych domów handlowych wykupić jednorazową licencję, a wtedy zyskacie bez trudu pomoc kapitanatu w znalezieniu statku i kapitana, i sami pożeglujecie na południe, w zgodzie z naszym prawem oraz obyczajem. Jednak wygodniejszy dla was będzie pierwszy sposób. Spędzicie czas w Tirianie, a ja was z chęcią zaprowadzę do uroczych panien, które umilą wasz czas. Żadnych tam dziwek — zastrzegł się zaraz. — Bo ja z takowych usług nie korzystam...

Dobrze, że miłosierny Pan nie razi kłamców piorunami, bo Maurycy Mossel już dawno by nie żył.

— ... więc przemyślcie dobrze całą sprawę, by nie narazić się na stratę majątku.

— Dużo takie pośrednictwo kosztuje? — spytałem, drapiąc się po brodzie.

— Pogadacie na miejscu — uśmiechnął się. — Ale nie więcej niż podwójne przebicie...

— Na miecz Pana! — krzyknąłem w udawanym gniewie. — Nigdy się nie zgodzę na takie zdzierstwo!

Jego oczy pochłodniały.

— Zastanówcie się dobrze, panie Bemberg — powiedział — i skorzystajcie z rady doświadczonego człowieka, który dobrze wam życzy.

— Nie będę płacił — rzekłem twardo. — Tak mi dopomóż Bóg.

Piliśmy przez chwilę w milczeniu. Rzecz jasna, wiedziałem, jaka będzie następna propozycja Maurycego Mossela i spokojnie czekałem, aż ją poda.

— Zacny panie Bemberg — zaczął — a nawet ośmielę się powiedzieć: przyjacielu Godrygu, bo u mnie jak widzicie, co w sercu, to i na języku...

O, tak — pomyślałem — z całą pewnością.

— Nie wiem, jak to się stało, ale tak silny odczuwam do was przyjacielski afekt, że — obniżył głos i pochylił się w moim kierunku — złamię swe zasady i pomogę wam. Powiedzcie mi, panie, gdzie stoicie z kwaterą, a ja postaram się jutro przekazać wam dobrą wiadomość.

— Naprawdę to zrobicie? — Chwyciłem go za rękę. — Bóg wam to wynagrodzi, zacny młodzieńcze, a i ja w miarę skromnych możliwości...

— O tym porozmawiamy później — przerwał mi. — Bo jestem ostatnim, który chciałby wyłudzić pieniądze od zacnego kupca i dobrego człowieka.

Rozczuliłem się i pozwoliłem na to, by w moich oczach zalśniły dwie łzy. Z całą pewnością musiał to zauważyć i ufałem, że świetnie się bawi.

###### \* \* \*

Kiedy wyszliśmy z winiarni, rozstaliśmy się w pijackich uściskach i zapewnieniach wzajemnej przyjaźni. Zataczałem się lekko, wsparłem na jego ramieniu i zaślinionymi ustami pocałowałem go w policzek. Ha! Niech wie, że zarabia na swoje pieniądze! Potem przewróciłem się w błoto i pozwoliłem, aby chwilę męczył się nad podniesieniem mnie z niego. Przy tej jednak okazji zwalił się na mnie i utytłał w błotnistej mazi śliczny kubraczek. W świetle latarni zobaczyłem na jego twarzy grymas odrazy i nienawiści. Ale opanował się tak szybko, że gdyby nie miał do czynienia z Mordimerem Madderdinem, lecz poczciwym, acz upartym Godrygiem Bembergiem, z całą pewnością przeszłoby to niezauważone. W każdym razie postąpił bardzo nieprofesjonalnie, pozwalając mi samemu wracać do karczmy. Byłem jego inwestycją, a o inwestycje należy dbać, niezależnie od emocjonalnego stosunku do nich. Tymczasem pozostawienie mnie, pijanego w obcym mieście, niosło ryzyko, że inwestycja jutrzejszego ranka będzie pływać w rzece z kłutymi, ciętymi bądź miażdżonymi ranami. Byłem rozczarowany zachowaniem Mossela, gdyż miałem go jednak za kogoś lepszego.

Zatoczyłem się do najbliższego zaułka, po czym, kiedy byłem już pewien, że zniknąłem mu z oczu, wyrównałem krok. Kaftan i płaszcz miałem całe w błocie, więc pomyślałem, że Enya przyda się dzisiejszego wieczoru do czegoś innego niż łóżkowych zabaw. Może mniej przyjemnego, ale za to na pewno pożytecznego.

Cień, który pojawił się zza załomu jednego z domów, dostrzegłem w ostatniej chwili. I w ostatniej też chwili uskoczyłem w bok, a bełt zaświergolił tuż koło mojego lewego ramienia. Skrytobójca celował w serce. Bardzo roztropnie. Gdyby nie wieloletnie szkolenie, leżałbym teraz jak kłoda drewna i wpatrywał się w ciemność martwymi źrenicami. Smutny byłby to finał życia biednego Mordimera, mili moi. Skończyć w tiriańskich rynsztokach. Jakież to pozbawione estetyki!

Cień znów pojawił się na moment, a potem zniknął. Wyciągnąłem sztylet i ostrożnie poszedłem w tamtym kierunku. Nagle usłyszałem, jak ktoś chrapliwie i boleśnie wciąga powietrze w płuca, a potem coś zwaliło się w błoto z mięsistym chlupotem. Podszedłem bardzo ostrożnie, trzymając się murów. Na ulicy leżał człowiek w czarnym, obcisłym kubraku. Mała kusza wypadła mu z dłoni. Pochyliłem się nad ciałem. Mężczyzna był młody, jasnowłosy, o twarzy przeoranej rozdrapanymi śladami po ospie. Obszukałem go, ale nie miał przy sobie nic. Nawet sakiewki z pieniędzmi. Tylko maleńka, pierzasta strzałka sterczała z jego grdyki. Ostrożnie ją wyciągnąłem. Ostrze było długie, srebrnego koloru. Powąchałem je i poczułem zapach trucizny. Oderwałem pas z koszuli nieboszczyka i starannie zawinąłem strzałkę w materiał, a potem schowałem ją do kieszeni płaszcza. Kto wykończył tajemniczego skrytobójcę? Czy miałem jakiegoś nieznanego opiekuna? A może to tylko przypadek? Jednak odpowiedzi na te pytania nie były aż tak ważne. Dużo bardziej interesowało mnie pytanie, kto chciał usunąć biednego Mordimera z tego nie najlepszego ze światów? Komu zależało na mojej śmierci? Bo z całą pewnością nie łotrzykom powiązanym z tiriańskimi kupcami. Oni zabiją mnie dopiero wtedy, kiedy uda im się przejąć moją gotówkę. To znaczy: będą się starać mnie zabić. Ale ja postaram się ich nie zabijać, zanim nie skłonię ich do dogłębnej i szczerej spowiedzi.

###### \* \* \*

Kiedy wróciłem do karczmy, Enya spała i nawet skrzypnięcie drzwi jej nie obudziło. W poświacie księżyca widziałem jej nagie ciało. Jasne włosy były rozsypane na poduszce, lewą dłoń oparła na piersi, tak że palce środkowy i wskazujący zasłaniały sutek, a lekko rozchylone nogi ujawniały słodką tajemnicę skrytą pomiędzy udami. Wyglądała tak uroczo i niewinnie, że aż wierzyć się nie chciało, iż jest tylko hezką dziwką. A jej uda wyślizgane już zostały przez dziesiątki, a zapewne nawet setki mężczyzn. Cóż, pewnie za kilka lat straci nawet pozorną słodycz i niewinność. Szkoda. Jak zawsze, kiedy ze świata znika trochę piękna.

Klepnąłem ją w tyłek, żeby się obudziła, skrzesałem ogień i zapaliłem lampkę na stole.

— Mordimer — powiedziała, przeciągając się, a jej pełne piersi zakołysały się kusząco. — Gdzieś ty był tyle czasu? — Spojrzała na mnie uważniej. — I w jakim rynsztoku się wytaplałeś?

Zrzuciłem płaszcz i kubrak, zzułem buty, zdjąłem onuce.

— Interesy — wyjaśniłem. — A teraz przestań gadać i zabierz się do roboty. — Pokazałem jej leżący na podłodze brudny stos.

Parsknęła z niezadowoleniem, ale wstała z łóżka. Podrapała się między nogami.

— Wszy, cholera — mruknęła. — Jak ja nienawidzę wszy.

— Tak jakby ktoś je lubił — odparłem.

W cebrzyku była jeszcze resztka wody, więc przepłukałem usta, umyłem twarz i zmoczyłem włosy.

— Może każę przygotować karczmarzowi kąpiel? — zapytałem. — Co ty na to? Wielka balia pełna gorącej wody, ług i brzozowe witki, którymi cię wychłoszczę...

— Zwłaszcza podoba mi się chłostanie — zaśmiała się i obejrzała moją odzież. — A gorąca woda przyda się, po twoich rynsztokowych przygodach.

Chciałem klepnąć ją w pośladki, ale tak zręcznie się usunęła, że tylko musnąłem jej skórę końcami palców.

— Zwinna dziewczynka — mruknąłem i poszedłem budzić karczmarza.

Jak się zapewne domyślacie, mili moi, oberżysta nie był zachwycony niespodziewanymi żądaniami, ale zaświeciłem mu w oczy srebrną dwukoronówką i od razu zebrał się w sobie. Zagonił służebne dziewki do grzania wody i kazał wtaszczyć na górę drewnianą balię z ciemnobrązowego, pachnącego ługiem drewna. Sam zresztą przy tym wnoszeniu musiałem pomagać, bo balia była pierońsko ciężka, a schody strome i wąskie. Ale dzięki temu, już w kilka pacierzy później siedzieliśmy w gorącej wodzie, a służebna dziewka latała tylko z dzbanem i dolewała wrzątku. Kiedy nachylała się nad balią, Enya przytrzymała ją w pasie i sięgnęła do jej piersi.

— Może się przyłączysz, kochanie? — zapytała słodko.

Dziewczyna pisnęła, spłonęła rumieńcem i wyrwała się.

— Ja ppp-pójdę ppp-po wodę — zawinęła się na pięcie i zniknęła za drzwiami.

Enya roześmiała się.

— Nie miałbyś ochoty, co, Mordimer? Na taką świeżynkę? Ile ona może mieć lat? Czternaście?

— Dziewczęta też lubisz? — powiodłem palcami po jej gładkim udzie.

— Czemu nie? — odparła pytaniem. — Ja to w ogóle lubię. A ty lubisz swoją pracę, Mordimer? Lubisz zabijać i torturować ludzi?

Żachnąłem się, ale nie rozgniewałem. Byłem przyzwyczajony, że ludzie myśleli w taki właśnie sposób, a poza tym zadała pytanie ze sporym wdziękiem. Nawiasem mówiąc, wdziękiem zupełnie nie pasującym do treści.

— Oto prymitywne pojęcie o pracy inkwizytora — rzekłem, obniżając głos, bo nie chciałem, by ktoś niepowołany usłyszał naszą rozmowę. — Nie jestem, by torturować i zabijać, dziewczyno. Jestem, by dać grzesznikom szansę odkupienia win i szczerej, radosnej pokuty. Tylko dzięki mnie mogą mieć nadzieję na życie wieczne z Chrystusem. Zresztą nie mówmy o mojej pracy. — Chlapnąłem w nią wodą. — Po co zawracasz sobie piękną główkę takimi problemami?

— Taaak? — zapytała, przeciągając — Jestem piękna? Naprawdę? Tak właśnie myślisz?

Naga, z mokrymi włosami i piersiami wyłaniającymi się znad lustra wody, wyglądała rzeczywiście ślicznie i powiedziałem jej to. A potem przyciągnąłem ją do siebie i kiedy służąca weszła z nowym dzbankiem wrzątku, Enya właśnie ujeżdżała mnie, rozchlapując wkoło wodę oraz głośno jęcząc. Służącej wypadł dzbanek z rąk, ale nie przejęliśmy się tym, zwłaszcza że i tak zamierzaliśmy się szybko przenieść na łóżko.

###### \* \* \*

Maurycy Mossel pojawił się w gospodzie koło południa. Miał na sobie inny kaftan, tym razem w kolorze czystego błękitu i nowe ciżmy, ale o równie wygiętych noskach, jak poprzednie. Zaprosiłem go do drugiego pokoju, lecz zdążył jeszcze zerknąć do sypialni i zobaczyć nagie pośladki smacznie śpiącej Enyi.

— Godryg, przyjacielu — rzekł serdecznie. — Widzę, że nie próżnujesz.

— Ano — odparłem. — Interesy interesami, a męska zabawa być musi.

— I ja tak myślę — przyznał poważnym tonem.

Usiedliśmy na krzesłach i nalałem wino do kubków. Stuknęliśmy się.

— Jest za co pić — powiedział. — Bo mam dobre nowiny. Znalazłem pewnego człowieka, który jest mi winien przysługę, a który ma szczęście być kapitanem wspaniałej barki i doskonale zna rzekę. Zabierze cię na południe, przyjacielu!

— To mi nowina — rozpromieniłem się. — Masz moją dozgonną wdzięczność, kochany Maurycy!

— Jest jednak pewien kłopot... — zawiesił głos.

— Jakiż to kłopot? — zaniepokoiłem się, ale w myślach serdecznie sobie ziewnąłem.

— Otóż jestem owemu kapitanowi winien pewną sumkę. Niewielką sumkę — zastrzegł się, machając lekceważąco dłonią. — Niemniej dla mnie poważną, jako że poczyniłem pewne inwestycje i nie dysponuję teraz gotówką...

— To nie kłopot. — Stuknąłem kubkiem w jego kubek. — Rad będę, spłacając twój dług. Ileż on wynosi?

Dostrzegłem krótkie wahanie, bo widać chciwość walczyła w moim rozmówcy z ostrożnością.

— Sto koron — powiedział, przyciszając głos.

— To żaden problem — zapewniłem i doskonale wiedziałem, jakie będą jego następne słowa.

— Plus odsetki — dodał, i nie zawiódł mnie. — Dwadzieścia koron.

— Mus to mus — rzekłem. — Skoro ten człowiek nie chce ci zaufać i sprolongować długu. A ile zażąda ode mnie za wynajęcie łodzi i załogi?

— Eee, jakoś się dogadasz — powiedział lekceważącym tonem. — Tylko nie daj się orżnąć, bo w Tirianie pełno jest zbirów i naciągaczy. Targuj się, drogi Godrygu, targuj się z całych sił.

— Nie omieszkam — pokiwałem poważnie głową. — Wręczę kapitanowi twój dług, ale najpierw muszę obejrzeć barkę. Czy aby wystarczająco pojemna.

Musiał się spodziewać podobnych słów, bo nie przypuszczał chyba, że nawet Godryg Bemberg jest takim idiotą, aby wręczyć gotówkę na piękne oczy.

— Oczywiście — odparł. — Spotkamy się jutro w południe przy kapitanacie i zaprowadzę cię na miejsce. Kiedy będziesz bogatym człowiekiem, Godrygu, nie zapomnij o przyjaciołach!

— Och tak, Maurycy, wierz mi, że nie zapomnę o tobie — powiedziałem najserdeczniejszym tonem, na jaki mogłem się zdobyć.

I była to, mili moi, najszczersza ze szczerych prawd. Nie zamierzałem zapominać o Maurycym Mosselu i wierzyłem, że będziemy mieli kiedyś czas na długą i owocną pogawędkę. Na razie odprowadziłem go do drzwi i serdecznie się pożegnaliśmy. Jak prawdziwi przyjaciele.

Kiedy wróciłem do sypialni Enya już nie spała, lecz siedziała na łóżku z zatroskaną miną.

— Słyszałam waszą rozmowę, Mordimer — była zaniepokojona i poważna. — Przecież oni cię zabiją pierwszej nocy...

— Nie — odparłem, a kiedy chciała zaprotestować, uniosłem dłoń, by ją uciszyć. — Nie pierwszej, moja piękna. Dopiero drugiej. Pierwsza noc posłuży temu, by uśpić moją czujność.

Usiadłem obok niej i pocałowałem ją prosto w usta.

— Ale to miło, że się martwisz, skoro niezależnie od tego, czy będę żył, czy nie, zostaniesz opłacona.

Wysunęła się spod mojego ramienia.

— Nie dasz im rady, Mordimer — powiedziała, patrząc mi w oczy. — Kapitan i co najmniej pięciu, sześciu marynarzy. Zarżną cię we śnie.

Uśmiechnąłem się i położyłem palec na jej ustach.

— Nie bój się — powiedziałem. — Zaręczam ci, że wrócę i jeszcze nie raz dobrze się zabawimy. Być może nie będzie tak łatwo, jak myślę, ale przecież Pismo mówi wyraźnie: *„Kto folguje rózdze, nienawidzi syna swego, lecz kto go miłuje, ustawnie go ćwiczy”.* Mam więc zawsze nadzieję, że Pan doskonale wie, czemu używa wobec mnie rózgi.

Położyła dłoń na moim policzku.

— Ufam, że wiesz, co robisz — powiedziała smutnym głosem. — Nie daj się zabić, Mordimer.

— Nie dam — obiecałem jej. — Mam bardzo silne przekonanie, że czas, kiedy łaskawy Pan powoła Mordimera Madderdina do swej chwały jeszcze nie nadszedł — dodałem żartobliwym tonem.

Spędziliśmy uroczą noc (jak każda zresztą noc z Enyą) i kiedy niedługo po świcie się obudziłem, ona spała jeszcze zwinięta w kłębek przy ścianie. Wstałem i starannie się ubrałem. Miałem przy sobie dwa sztylety, jeden ukryty w cholewie wysokich butów, drugi schowany pod płaszczem. W kieszeni ukryłem również woreczek z sherskenem.

Spojrzałem na śpiącą Enyę i pomyślałem, że istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że nie wrócę z podróży na południe. Nie myślcie, mili moi, że Mordimer Madderdin pesymistycznie patrzy na świat i nisko ocenia własne umiejętności. Ale w przyszłość należy patrzyć trzeźwo. Jak nikt inny wiedziałem, że życie ludzkie jest kruche, a zabić człowieka jest łatwiej niż ktokolwiek z was by pomyślał. Wystarczy draśnięcie zatrutym ostrzem, przecięcie tętnicy, nieszczęśliwy upadek z wysokości, zachłyśnięcie wodą... Cokolwiek. Jesteśmy uczynieni z bardzo nietrwałego materiału, ale póki zdajemy sobie sprawę z własnych słabości, mamy szansę, by je przezwyciężyć.

Nie chciałem, by, jeśli przytrafi mi się nieszczęście, Enya została sama, pozbawiona środków do życia. Jasne, że van Bohenwald miał ją opłacić, ale czy będzie taki szczodry i skory do wydawania pieniędzy, kiedy zabraknie biednego Mordimera? Nie wierzyłem aż tak bardzo w ludzką przyzwoitość, by dać za to choć złamanego centyma. Dlatego wyliczyłem dwieście koron i ułożyłem je na stole w dwóch stosikach. Królewska zapłata za kilka nocy. W razie czego, będzie mnie dobrze wspominać, choć sam nie wiem, czemu miałoby mi na tym zależeć...

Wyszedłem, choć do ustalonego terminu spotkania zostało jeszcze sporo czasu. Ale nie miałem już ochoty siedzieć w oberży, a we mnie, gdzieś w środku, wibrował przedziwny niepokój. Tak silny, że przez moment zastanawiałem się, czy nie rzucić wszystkiego w diabły i nie wracać do Hezu. Ale Mordimer Madderdin nie jest egzaltowaną panienką, której rytm życia wyznaczają przeczucia, obawy i niepokoje. Dlatego wiedziałem, że muszę zakończyć sprawę, która mnie tu sprowadziła, niezależnie od tego, jakie będą konsekwencje tej decyzji.

###### \* \* \*

Maurycy Mossel czekał, tak jak obiecał, przy kapitanacie. Dzień był chłodny i wietrzny, słońce skryło się za szarymi chmurami, gnanymi na północ silnymi podmuchami. Wszystko wskazywało na to, że letnie upały na razie ustąpiły i być może zaczną się deszcze. Dla planów Mossela i jego wspólników musiała to być dobra odmiana. Wichura i ulewa zagłuszą kroki zabójców, ciemność skryje ich sylwetki, a zmasakrowane sztyletami ciało biednego Godryga Bemberga pluśnie w toń rzeki, niczym ogromna kropla deszczu. Tak właśnie wszystko miało się potoczyć.

— Cóż za punktualność, najdroższy druhu. — Maurycy Mossel serdecznie potrząsnął moją dłonią i dla większego okazania uczuć poklepał mnie jeszcze po ramieniu.

Jakoś to zniosłem i uśmiechnąłem się promiennie. Szybko dotarliśmy do całkiem przyzwoicie wyglądającego stateczku i rozpocząłem długie, zażarte targi z kapitanem. Mossel dzielnie mnie wspomagał. Jęczał, rwał włosy na głowie, wyzywał kapitana od łgarzy i oszukańczych szubrawców, dwa razy ciągnął mnie już w stronę trapu, mówiąc, że nic tu po nas, i że za taką cenę wynajmiemy kilka luksusowych łodzi z załogą, a nie jedną, rozpadającą się łajbę, pełną nie znających rzeki obszarpańców. Jednym słowem odegrał piękne przedstawienie, które miało utwierdzić Godryga Bemberga w mniemaniu, że wróci cało z handlowej podróży.

W końcu uzgodniliśmy cenę, całkiem zresztą przyzwoitą, płatną w połowie po dopłynięciu do portu Nadrevel w górnym biegu rzeki, a w drugiej połowie po szczęśliwym powrocie. Kapitanowi, oczywiście, było wszystko jedno, gdyż sądził, że i tak zabierze całe moje złoto już drugiej nocy. A mnie było wszystko jedno, ponieważ wiedziałem, że tej właśnie drugiej nocy kapitan oraz jego ludzie staną się smacznym pokarmem dla rybek. Jednak teatrum należało odegrać, gdyż, zgadzając się zbyt szybko na proponowaną kwotę, mógłbym dać powód do podejrzeń. Co prawda, nie sądziłem, by ktokolwiek przy zdrowych zmysłach mógł sądzić, że kupiec z Hezu zamorduje kapitana rzecznej łajby i jego pięciu marynarzy, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Wszystko potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami. Pierwszą noc spędziliśmy na miłych gawędach, a kapitan przy winie i mocnej, choć soczyście śmierdzącej, śliwkowej gorzałce opowiadał mi o niebezpieczeństwach rzeki, o mieliznach, porohach, tajemniczych zaginięciach oraz krwawych pirackich napadach. Rozmowa była na tyle zajmująca, iż obiecałem sobie, że z wdzięczności za mile spędzony czas postaram się go zabić tak, by zbytnio nie cierpiał. Oczywiście pod warunkiem, że zechce podzielić się ze mną bez oporów wszystkimi tajemnicami.

Ale drugiego wieczoru cała rzecz nie potoczyła się w taki sposób, w jaki potoczyć się powinna. Podszedł do mnie zasępiony kapitan i, wzdychając, powiedział:

— Uszkodziliśmy ster, panie Bemberg. Musimy przybić do brzegu i postaramy się go o świcie naprawić.

Tego się nie spodziewałem. Oczywiście mogliśmy naprawdę uszkodzić ster, ale podejrzewałem, że równie dobrze na brzegu mogą czekać następni złoczyńcy. Tylko po co było gromadzić tak wielkie siły, by zamordować jednego kupca? W końcu im więcej osób zaangażowanych zostanie w zbrodnię, tym mniejsza będzie stawka do podziału. Dlatego doszedłem do wniosku, że naprawdę coś stało się ze sterem. Niestety, mili moi, nie znam się na żegludze oraz budowie okrętów, więc można mi wmówić w tej dziedzinie wszystko. Nie odróżniam foka od grota, a słowa takie jak zęza, marsel, czy bukszpryt mogą dla mnie równie dobrze oznaczać zgraję mitologicznych potworów. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wszcząć walki z załogą już teraz, ale nie zapadły jeszcze ciemności, a w polu widzenia mieliśmy co najmniej dwa inne statki.

— Trudno — powiedziałem. — Przynajmniej przenocujemy na ziemi, a nie na pokładzie. Może uda się upolować coś na pieczyste?

— O, tak — odparł kapitan z uśmiechem. — Z całą pewnością zajmiemy się polowaniem...

Wydawało mu się, że jest bardzo chytry i dowcipny, ale ja doskonale zrozumiałem aluzję tkwiącą w jego słowach. Cóż, w takim razie dojdzie do walki na lądzie. Może to i lepiej? W końcu, moi mili, biedny Mordimer nie jest przyzwyczajony do bijatyk na kołyszących się i mokrych deskach pokładowych. Natomiast starcie na stałym lądzie może być całkiem miłym urozmaiceniem podróży. Wiedziałem tylko, że muszę się pilnować, by nie zabić kapitana. To on miał być dla mnie źródłem cennych informacji i jeśli zginie, cała wyprawa może okazać się daremna. Co prawda, zawsze miałem jeszcze Maurycego Mossela, który mógł nawet wiedzieć więcej, ale dwa wróble w garści lepsze są od jednego.

Jeszcze przed wieczorem wpłynęliśmy w boczną odnogę rzeki, prowadzącą do małego jeziora, o brzegach gęsto zarośniętych trzcinami i o powierzchni pokrytej zgniłozielonym dywanem wodnej rzęsy. Kapitan musiał znać to jezioro, bo niezawodnie wybrał miejsce, w którym zarzuciliśmy kotwicę. Od brzegu dzieliło nas zaledwie kilkadziesiąt metrów. Marynarze przepłynęli do niego wpław, a ja z kapitanem powiosłowaliśmy na szalupie.

Kilkanaście metrów od brzegu rozpaliliśmy ognisko, a ja wykorzystałem czas, kiedy marynarze zbierali chrust, by uważnie przyjrzeć się okolicy. Rzut kamieniem dzielił nas tylko od nieprzeniknionej teraz, ciemnej ściany lasu. To nie był dobry znak. Cóż komu zaszkodzi zaczaić się z łukiem w zaroślach i potraktować biednego Mordimera, jakby był łanią lub jeleniem? Na wszelki wypadek siadłem tak, by płomienie ogniska odgradzały mnie od drzew, gdyż wiedziałem że strzelec może mieć wtedy kłopoty z dokładnym wycelowaniem. Oczywiście: niedoświadczony strzelec, gdyż zręczny łucznik z pewnością wymierzy dobrze. Na szczęście niedaleko było jezioro, ale w tym akurat miejscu jego brzegi były piaszczyste i łyse. Nie rosły tam ani krzewy, ani trzciny. Wiedziałem jednak, że jeśli tylko uda mi się zanurkować, to moi prześladowcy będą mogli potem szukać wiatru w polu. Potrafię pod wodą odmówić sześć razy „Ojcze nasz”, a to wystarczająco długi czas, by odpłynąć naprawdę daleko. Inna rzecz, że nie na tym polegał plan, by inkwizytor Jego Ekscelencji uciekał z podkulonym ogonem przed zgrają rzezimieszków. Ale cóż, kiedyś ktoś mądrzejszy ode mnie powiedział: *„Jeśli mam wroga dziesięć razy silniejszego, rzucam się na niego z kłami i pazurami. Jeśli jest on sto razy silniejszy, przyczajam się, czekając dogodnej okazji”.* Może nie była to sentencja świadcząca o nadmiernej waleczności, ale za to kierując się nią, na pewno łatwiej było przeżyć.

Przyjąłem od jednego z marynarzy bukłak z winem. Nie sądziłem, by było zatrute, poza tym zdolności waszego uniżonego sługi pozwalały rozpoznać jakiekolwiek niezdrowe domieszki. Łyknąłem sobie solidnie. Zapadł zmierzch, a na twarzy poczułem leciutkie pacnięcia mżawki. Może to szum deszczu, a może głośne rozmowy marynarzy spowodowały, że nie zorientowałem się, iż prawdziwe niebezpieczeństwo wcale nie nadchodzi od strony lasu. Nie usłyszałem plusku wioseł, zresztą nowi napastnicy musieli być zręcznymi wioślarzami.

— Nie rusz nawet palcem, inkwizytorze — usłyszałem cichy głos. — Dwie kusze są w ciebie wycelowane.

Kapitan pokiwał do mnie ręką z szerokim uśmiechem i odszedł wraz z marynarzami na bok. Dopiero teraz zza ściany lasu pojawiły się jaśniejące na mrocznym tle sylwetki. Jaśniejące dlatego, że ludzie ci ubrani byli w białe, długie szaty. Wśród nich widziałem tylko jedną ciemną plamę. Kogoś w czarnym płaszczu z kapturem.

Nie ruszałem się z miejsca głównie dlatego, iż moi wrogowie wiedzieli, że jestem inkwizytorem. Może, gdyby sądzili, iż mają do czynienia tylko z kupcem, nie zachowaliby należytych środków ostrożności. Może zdołałbym jakoś uciec, przetoczyć się po ziemi, zniknąć w mroku. Ale kusza to niebezpieczna broń, mili moi, zwłaszcza w dłoniach doświadczonego strzelca. A coś mi mówiło, że ludzie stojący za moimi plecami są doświadczeni.

Kapitan wraz z dwoma marynarzami zbliżał się w moją stronę. On sam niósł solidny zwój liny, marynarze w wyciągniętych dłoniach trzymali rapiery. I znowu, mili moi, może spróbowałbym jakichś sztuczek. W końcu dwóch marynarzy z żelaznymi szpikulcami w rękach nie mogło poważnie zagrozić inkwizytorowi Jego Ekscelencji. Tyle, że przedtem usłyszałem plusk wody i kroki w mule. Co oznaczało, iż kusznicy są naprawdę blisko. A bełt godzący w plecy rusza się jednak szybciej niż wasz uniżony sługa.

— Połóż się twarzą do ziemi — usłyszałem. — i złóż dłonie na plecach.

Zrobiłem, co mi kazano, starając się zachować ostrożność ruchów. Nie chciałem, by jakiś nerwowy palec zbyt szybko przycisnął spust.

— Bardzo dobrze — pochwalił mnie głos.

Marynarze oparli ostrza na moim karku i między łopatkami, a kapitan zaczął krępować mi ręce. Nie wiem, czy jego wprawa wynikała z doświadczenia w szykowaniu żeglarskich węzłów, czy też często wcześniej krępował jeńców, ale, uwierzcie mi, unieruchomił moje ręce bardzo solidnie. Potem zajął się stopami, aż wreszcie przewlókł linę pomiędzy sznurem krępującym kostki a sznurem krępującym nadgarstki. Teraz wasz uniżony sługa, nawet gdyby wstał na nogi, mógł uciekać jedynie z ogromną prędkością kulawej kaczki. Zapewne byłoby to bardzo zabawne dla obserwatorów.

Ale nie musiałem sam wstawać, bo marynarze szarpnęli mnie i postawili na nogi. Przed sobą zauważyłem postać, która wcześniej była tylko ciemną plamą na tle lasu.

— Ignacius — powiedziałem wolno, patrząc na niskiego, starszego człowieczka. Krople deszczu lśniły na jego łysinie, pośród wianuszka włosów.

— Tenże sam, mój kochany uczniu — zakrzyknął wesoło. — Tenże sam.

— Dobrze związaliście? — warknął w tył, a dwóch ludzi, którzy mnie wcześniej krępowali, mruknęło przytakująco.

— To dobrze — powiedział, znów obracając na mnie wzrok. — Bo nasz przyjaciel, Mordimer, jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Jest jak wściekły szczur. Przyparty do muru potrafi rzucić się do gardła nawet uzbrojonemu człowiekowi. Czyż nie tak, Mordimerze? — Żartobliwie pogroził mi palcem.

— Jeśli już masz porównywać, bardziej odpowiadałaby mi postać rosomaka a nie wściekłego szczura — odparłem uprzejmie.

— Zbytek łaski — zaśmiał się. — Ale cieszy mnie twoje poczucie humoru. Ofiary składane z ludzi silnych, pełnych życia i odważnych znacznie bardziej cieszą Starych Bogów...

— Starych Bogów? — prychnąłem — Tych, którzy urodzili się w twojej chorej głowie?

Patrzył na mnie z zaciekawieniem, tak jakby obserwował wyjątkowo interesującego robaka.

— Starzy Bogowie — powtórzył i wydawało się, że smakuje te słowa. — Oni istnieją, Mordimerze. Nie są jeszcze tak silni, jak byli, bo ich chwała minęła z przyjściem Jezusa i Apostołów. Ale odrodzą się. Dzięki takim ludziom jak ja, którzy złożą im ofiary. I dzięki takim ludziom jak ty, którzy będą tymi ofiarami.

Pokręciłem głową, bo głową przynajmniej mogłem ruszać. Aż tak dokładnie mnie nie skrępowali. Na nos spadła mi kropelka deszczu i, łaskocząc skórę, spłynęła aż na usta. Oblizałem się.

— Jednak miałem rację, Ignaciusie. Wtedy w szkole. Słusznie mówiłeś, że przeczuwałem, iż spłoniesz. Teraz jestem tego więcej niż pewien...

— Być może... być może... — nie rozgniewał się nawet. — Nikt nie zna przyszłości. Ale jedno jest pewne, kochany uczniu: ty spłoniesz dzisiaj na chwałę Starych Bogów. Tu, w tym wiklinowym koszu. — Wyciągnął dłoń, a ja z trudem przekręciłem głowę, by zerknąć przez ramię.

Trzech mężczyzn dźwigało szeroki i wysoki na mniej więcej piętnaście stóp wiklinowy kosz. Został upleciony tak, by kształtem przypominać ludzką postać, ale w środku, jakby w brzuchu tego olbrzyma, znajdowała się niewielka klatka. Również spleciona z wikliny.

— Twój krzyk ogrzeje zmarznięte serca Starych Bogów, twoje prochy zsypiemy w nurt rzeki. A potem będziemy pić wino, jeść i oddamy się najwymyślniejszym orgiom. — Jego oczy błyszczały spod kaptura chorym, gorączkowym blaskiem. — A Starzy Bogowie będą się radować...

Pozwoliłem sobie na głębokie, pełne znudzenia ziewnięcie.

— Jesteś żałosny — powiedziałem.

— Ale żywy — odparł znowu bez śladu zniecierpliwienia. — Czego za kilka pacierzy nie będzie już można powiedzieć o tobie.

— Bóg jest moim pasterzem — rzekłem.

— Był — mruknął. — Używaj raczej czasu przeszłego. Ale może jeszcze nie wszystko stracone, Mordimerze? Dlaczego człowiek taki jak ty, nie miałby przyłączyć się do nas? Stanąć po stronie nowej potęgi, nowych władców? Korzystać z życia pełną gębą i cieszyć się władzą?

— To nazywasz korzystaniem z życia? — Powiodłem wzrokiem. — Te upokarzające ceremonie? Ofiary składane na pustkowiu? Codzienny lęk przed sługami Pana? Chowanie się w nocy i deszczu? Jeśli tego właśnie pragnąłeś w życiu, Ignaciusie, ośmielam się stwierdzić, że właśnie osiągnąłeś cel. Mam ci pogratulować?

Teraz go rozgniewałem. Widziałem to po skurczu, który przebiegł przez jego twarz, zmieniając ją na moment w odrażającą maskę.

— Milcz! — syknął. — Nie wiesz nawet, o czym mówisz! Nie znasz potęgi tych, którzy wrócą do dawnej chwały.

— Skoro jest im potrzebne życie biednego Mordimera, nie mogą być zbyt wybredni ani zbyt potężni — zadrwiłem.

Podszedł do mnie, a w jego wzroku widziałem gniew. Nienawiść. I odrobinę... szacunku? A może zazdrości?

— Widzę, że się nie dogadamy, Mordimerze — stwierdził. — Szkoda...

— Cóż, nie sądzisz chyba, że chciałbym żyć wiecznie? — zaśmiałem się, choć do śmiechu wcale mi nie było.

Widziałem ludzi, którzy coraz liczniej gromadzili się wokół ognisk. Nadal nie był to tłum, bo jak widać, pogański kult nie zebrał jeszcze wystarczającej liczby wyznawców. Wszystkie postaci były ubrane w powłóczyste, białe szaty, przypominające spięte pod szyją prześcieradła. Jeśli mam być szczery, mili moi, nie wyglądało to zbyt poważnie. Tylko Ignacius był, jak na ironię, w inkwizytorskiej czerni. Jednak na jego kaftanie nie było śladu po srebrnym, złamanym krzyżu.

Wśród kultystów dostrzegłem kilka młodych kobiet, roznoszących miski z jedzeniem, tace pełne chleba i dzbanki wina. Jak widać, współwyznawcy Ignaciusa łączyli krwawe, pogańskie obrządki z miłym piknikiem. Nic nowego, mili moi. Opowieści czarownic i czarowników o sabatach zawsze krążą wokół czterech rzeczy: składania ofiar, obżarstwa, pijaństwa i cielesnego wyuzdania. Zapewne tutaj będzie tak samo. Ciekawe tylko, czy biedny Mordimer zachowa życie na tyle długo, by popatrzeć sobie jeszcze ostatni raz na miłosne zapasy... Chociaż zważywszy, iż na sabatach oddawano się często przeróżnym sodomickim zwyrodnieniom, może i nie było na co czekać.

— Wsadźcie go do kosza — rozkazał Ignacius.

Dwóch młodych, rosłych mężczyzn pochwyciło mnie pod pachy i powlokło za sobą. Nie stawiałem nawet oporu, gdyż nie miało to najmniejszego sensu. Ignacius był inkwizytorem i doskonale wiedział, jakimi zdolnościami dysponujemy. Dlatego też dopilnował, by solidnie mnie związano i zaręczam wam, mili moi, że wyzwolenie się ze sznurów nawet nie graniczyło z cudem. Ono byłoby cudem.

Oczywiście zawsze mogłem pomodlić się do mojego Anioła Stróża. Ale po pierwsze, sądziłem, że Ignacius zabezpieczył się na tę okazję, a po drugie, nie liczyłem, by Anioł zechciał przyjść mi z pomocą, nawet gdyby usłyszał modlitwy. Nie ma co ukrywać: przegrałem z własnej winy i własnej głupoty. Pozwoliłem, by Ciemność zatriumfowała nad Światłem. I być może kara, jaka spotkałaby mnie z rąk Anioła, byłaby gorsza od tego, co szykowali oprawcy Ignaciusa.

Mężczyźni otworzyli wiklinową klatkę, wepchnęli mnie do niej i zamknęli drzwiczki. Klatka była ciasna i niska, a skulony we dwoje, ledwo się w niej mieściłem. Może to i lepiej, bo nie będę miał pokusy ucieczki przed płomieniami i wszystko szybko się skończy.

— *„Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków —* krzyknąłem pełnym głosem słowami Pisma — *którzy do was przychodzą w odzieniu owczym, a wewnątrz są wilcy drapieżni”!* — zauważyłem, że kilku ludzi przystanęło i zaczęło spoglądać w moją stronę. — W imieniu Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu ofiarowuję łaskę wszystkim tym, którzy wydadzą mi Ignaciusa i wyznają swe grzechy!

— Uciszcie go! — ryknął Ignacius.

Pobiegł w moją stronę, ale potknął się na jakimś korzeniu i runął twarzą w błoto.

— Uciszcie go! — krzyknął znowu, gramoląc się na nogi.

Jeden z mężczyzn szturchnął mnie kijem przez pręty klatki, a ja nawet nie miałem się jak uchylić ani zasłonić. Oberwałem prosto w zęby i zadławiłem się krwią. Starałem się schować głowę między ramiona, a on i jego towarzysz dźgali mnie z zapamiętaniem.

— Ja ci dam łaskę, ja ci dam łaskę... — mamrotał ten pierwszy.

— Zostawcie — rozkazał Ignacius, który pozbierał się już i stał obok mnie. — Szkoda, że nie wyrwaliśmy mu języka...

— Otworzyć? — spytał mężczyzna i przestał mnie kłuć.

— Nie. Nanieście chrustu i podpalajcie. — Spojrzał w moją stronę. — Jeśli jeszcze raz odezwiesz się, Mordimerze, każę wypalić ci plugawy jęzor.

Nie powiedziałem ani słowa, ale uznałem, że, cóż, wypadało spróbować. Oczywiście równie dobrze jak łaskę biskupa mogłem ofiarowywać im Cesarstwo. Niezależnie od moich przyrzeczeń i tak wszyscy zostaliby przesłuchani i spaleni. Mogłem się jednak łudzić, że o tym nie wiedzą.

Ignacius stał tuż koło mnie i znowu się uśmiechał.

— Jakże się cieszę, iż poradziłeś sobie z naszym mordercą — powiedział. — Jednak dobrze cię wyszkolono, Mordimerze. Zanim się zorientowałem, że można z ciebie zrobić większy pożytek, planowałem bezsensownie cię usunąć...

— A więc to byliście wy — chciałem powiedzieć, ale przezornie zmilczałem, bo wolałem umierać z językiem w gębie.

— Nie wiedziałem jednak, że używasz dekańskich strzałek... Hmmm... Bardzo skuteczna broń, jeśli wolno mi powiedzieć, choć nietypowa dla inkwizytora.

Mężczyźni spokojnie układali chrust wokół wiklinowego kosza.

— Mokre to drewno — poskarżył się jeden z nich półgłosem.

— Mokre, więc będzie się dłużej palić — odparł wesoło Ignacius. — Suche, to tylko pssst i nie byłoby Mordimera. No, ale obróćcież go twarzą do rzeki — rzekł nagle — bo jakże tak...

Dwaj mężczyźni zawołali jeszcze kogoś i, stękając, przesunęli wiklinową postać, by front klatki, w której byłem zamknięty, wychodził na rzekę. W związku z tym straciłem z zasięgu wzroku ogniska i krzątających się przy nich ludzi, a przed sobą miałem tylko gładką, ciemnoszarą toń zalewu i błotnisty brzeg.

— Zdziwisz się, Mordimerze — ciągnął Ignacius tonem przyjacielskiej pogawędki. — Kto wyjdzie z toni, by podziwiać twoją śmierć. Tylko nie rozczaruj mnie, chłopcze, i krzycz. Krzycz głośno, kiedy ogień będzie palił twoje ciało.

— Jednak jesteś nienormalny — powiedziałem, wzdychając, bo uznałem, że skoro podnieca go mój krzyk, to jednak nie każe mi wyciąć języka.

Roześmiał się tylko.

— Nigdy nie miałeś okazji podziwiać płomieni z tej właśnie strony, Mordimerze. To będzie nowe doświadczenie życiowe.

Podwładni Ignaciusa skończyli układać chrust wokół wiklinowej figury i teraz przyglądali się efektom swojej pracy.

— Czas zaczynać — rzekł uroczystym tonem Ignacius i odszedł na bok. Wrócił, trzymając w dłoni płonącą pochodnię. — Chodźcie tu, dzieci moje — krzyknął, a ja usłyszałem, że za moimi plecami zaczynają się gromadzić jego współwyznawcy.

— Bogowie rzek i lasów, bogowie pól, łąk i bagien... — zaintonował uroczyście.

— Alleluja, wyłazić potwory! — wrzasnąłem. — Huzia! Hej! Mordimer zaraz skopie wam tłuste dupska!

Usłyszałem za sobą wrogi pomruk, a ktoś wbił mi boleśnie koniec kija w żebra. Zatchnąłem się i zakaszlałem, a wtedy ktoś inny dodatkowo huknął mnie w potylicę.

— ... przyjmijcie naszą ofiarę — wołał dalej Ignacius. — A w zamian uczyńcie z wody, drzew, wiatru i piasków naszych przyjaciół. Ześlijcie naszym wrogom burze i wiry, uderzcie w nich piorunami...

— Pierdnięciami! — wrzasnąłem i znowu oberwałem tak, że zahuczało mi się w głowie.

Niemniej miałem nadzieję, że nieco im psuję uroczysty nastrój. Zawsze uważałem, że jeśli już się umiera, to tak, by był to temat do pieśni albo przynajmniej uciesznej historii.

— ... odsłońcie rafy i mielizny przed dziobami ich statków. O to was prosimy!

— Prosimy, prosimy, prosimy — wyjęczała stojąca za mną gromada.

— Pojawcie się i syćcie oczy męką Chrystusowego sługi — wołał Ignacius. — Niech zdycha tak, jak zdechnie jego Bóg!

I nagle, wierzcie mi lub nie, mili moi, zobaczyłem, że z szarej toni coś się wyłania. Jeszcze daleko od brzegu, na krawędzi ciemności, ale jednak... Widziałem, że woda zakotłowała się, jakby pluskała się w niej ogromna ryba. Mimo woli przeszedł mnie dreszcz. Czyżby ci głupcy rzeczywiście nauczyli się przyzywać demony? Cóż, w końcu Ignacius był doświadczonym inkwizytorem, a Bóg tylko raczy wiedzieć, jakie księgi studiował i czego się z nich nauczył.

Z tafli wody wyłaniało się coś ogromnego. Coś szarozielonego, błyszczącego upiornie w słabym blasku księżyca. Coś pokrytego mułem i roślinną pleśnią. Wokół tej niekształtnej, zwalistej postaci widziałem też inne, mniejsze, o jakby kobiecych sylwetkach. Cały ten korowód zbliżał się powoli, a woda wokół niego bulgotała i chlupotała, niczym wzburzona podziemną erupcją. Nie było mi już teraz do śmiechu i bliski byłem, by podziękować Ignaciusowi, że przeznaczył mnie na całopalenie, a nie postanowił rzucić tym istotom na pożarcie. Bo zapewne, jak wszystkie demony, nie miałyby nic przeciwko przekąsce z ludzkiego mięsa.

— Oto wasza ofiara — rzekł Ignacius i zobaczyłem kątem oka, że wznosi dłoń z pochodnią.

I zaraz potem usłyszałem świst, pochodnia upadła w błoto, a Ignacius wrzasnął. I tym razem nie był to wrzask kaznodziei, lecz zranionego człowieka. Za moimi plecami wszczął się tumult, rozległy się krzyki, ale nad nimi dominował potężny głos.

— Naprzód, dzieci Chrystusa! — słyszałem, i głos ten wydał mi się znajomy.

Usilnie próbowałem obrócić głowę, ale nie byłem w stanie tego dokonać i w efekcie nie widziałem nic poza błotnistym brzegiem, wodą oraz zgaszoną w mule pochodnią, która miała służyć do zapalenia mojej pułapki. Stwory wyłaniające się z wody zamarły. A potem zaczęły się cofać. Za plecami słyszałem przeraźliwe krzyki, wrzaski bólu, jęki, świst mieczy i ciężkie mlaskanie stóp w błocie. A potem trzy postacie wbiegły w moje pole widzenia. Dwoma z nich byli mężczyźni w białych szatach, trzecią ktoś potężny, zwalisty, ubrany w czarny płaszcz z kapturem. Ciemna postać, mimo swej wagi i tuszy, dognała pierwszego z uciekających i skręciła mu kark jednym, zdawałoby się niedbałym, ruchem lewej ręki. Wyraźnie usłyszałem trzask pękającego kręgosłupa. Potem ogromny mężczyzna okręcił się niczym baletnica, uchylił przed cięciem szabli i uderzył drugiego z kultystów prosto w pierś. Nie, moi mili, uderzył, to źle powiedziane. On wbił mu palce w klatkę piersiową, przełamał żebra i wyrwał serce. A potem zaśmiał się i rzucił krwawiący ochłap daleko w wodę. Kobiece sylwetki skoczyły, rozszarpując ten strzęp mięsa, a zaraz potem usłyszałem piski i obrzydliwe mlaskanie.

Mężczyzna podszedł w moją stronę, chwycił wiklinowy posąg i jednym ruchem obrócił go tak, że front klatki tym razem skierował się znowu ku lasowi. Dostrzegłem kilka ciemnych, zakapturzonych postaci i wiele białych plam leżących wśród podeptanych ognisk. Gwoli ścisłości należy przyznać, że niektóre z tych plam nie były białe, lecz biało-czerwone. Tymczasem mój wybawca wyrwał drzwiczki klatki i wyciągnął mnie ze środka. A później odrzucił do tyłu ciemny kaptur przesłaniający mu do tej pory twarz.

— Jesteś... jesteś inkwizytorem? — zapytałem bezsensownie, bo widziałem przecież czarny kaftan ze srebrnym, połamanym krzyżem wyhaftowanym na piersi.

Roześmiał się, a jego obwisłe policzki zadygotały.

— Właśnie kimś takim — odparł.

— Musisz nam wybaczyć, Mordimerze, że użyliśmy cię jako przynęty. Ale pamiętasz zapewne, że Pismo mówi: *„Kto folguje rózdze, nienawidzi syna swego, lecz kto go miłuje, ustawnie go ćwiczy”.* Pan wystawił na próbę twój zapał i twą wiarę, a ty wyszedłeś z próby zwycięsko.

Trudno bym nie pamiętał tego cytatu z Pisma, jako że sam dwa dni wcześniej przytaczałem go, rozmawiając z Enyą. Zresztą dogłębne poznanie słów Pana i Apostołów było częścią mojego wykształcenia. Nie jestem, co prawda, aż tak zuchwały, by twierdzić, że wiem tyle, co uczeni doktorowie, ale jednak posiadam pewną, skromną teologiczną wiedzę.

Pokiwał głową w zamyśleniu.

— A nie wszyscy to potrafią. W końcu Pismo wyraźnie mówi, że: *„Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając, kogo by pożreć”.*

— Niewiele im pomógł. — Spojrzałem na leżące na ziemi ciała i ludzi w czerni kręcących się pośród nich.

— Ano niewiele, Mordimerze, a wiesz czemu?

— Bo Bóg tak właśnie chciał — odparłem.

— Najprostsze wytłumaczenie. Ale to nie do końca prawda, Mordimerze. Bóg tak chciał, gdyż widział prawość naszych serc i cnotę naszych uczynków. Bóg tak chciał, bo jaśniejemy światłem odbitym od Jego potęgi. Nie pomógłby nam, gdybyśmy nie byli mieczem w Jego dłoni i żołnierzami Jego armii. Bóg jest wszechmocny, ale sprzyja tylko tym, którzy ufnie wierzą w jego wszechmoc.

Czarno ubrani strażnicy wiązali ostatnich heretyków i przenosili ich na pokład łodzi, która przed chwilą wyłoniła się z mroku i cumowała teraz przy brzegu.

— Nie mogę w to wszystko uwierzyć — pokręciłem głową.

Obserwowałem mojego wybawcę i wyraźnie widziałem go w świetle księżyca oraz w świetle tlących się wokół ognisk. Przed chwilą walczył z nadzwyczajną zręcznością, a na jego twarzy nie widziałem nawet kropli potu. Przypomniałem więc sobie, jak przyszedł do mojej kwatery. Zziajany, zmęczony, spływający potem i śmierdzący. Wysiłek spowodowany krótkim spacerem i wspinaczką na schody zdawał się go wtedy zabijać. Czy to był ten sam Marius van Bohenwald?

— Jak się życie plecie — uśmiechnął się. — Wiem, o czym myślisz, Mordimerze. O biednym Mariusie, któremu wejście na schody sprawiało taką trudność. Ale, zastanów się: czy ty też nie grałeś roli? Czy nie byłeś przez pewien czas kupcem Godrygiem Bembergiem, poczciwiną z Hez-hezronu? A ja byłem spasionym, niedołężnym i zmarnowanym przez życie van Bohenwaldem...

— Pociłeś się i śmierdziałeś — przypomniałem.

— Pociłem się i śmierdziałem, bo chciałem być spocony i śmierdzący, Mordimerze. Aby lepiej odegrać mą rolę. Chlubisz się tym, że umiesz z ludzkiej gliny ulepić nowego człowieka. I my wszyscy, my inkwizytorzy, znamy tę cudowną przemianę butnego grzesznika w człowieka zrozpaczonego i skruszonego. Ale być może kiedyś nauczysz się lepić samego siebie, Mordimerze. Bo jeśli wierzysz — jego głos nagle stwardniał — jeśli święcie wierzysz, to wiara stanie się rzeczywistością. I nie ma rzeczy, której nie bylibyśmy władni dokonać dzięki potędze naszej wiary. Gdybym chciał, mógłbym oderwać się od ziemi i unosić w powietrzu. Ale nie pragnę tego, bo nie sądzę, by Bóg tego pragnął...

Wyobraziłem sobie ogromnego Mariusa van Bohenwalda unoszącego się w powietrzu, niczym ptak, i mimo całej powagi sytuacji, zachciało mi się śmiać. Jednak, oczywiście, mili moi, nie dałem po sobie znać rozbawienia nawet drgnięciem brwi.

— Bawi cię to, co mówię, Mordimerze — stwierdził ze smutkiem w głosie. — Ale nie obwiniam cię, gdyż niegdyś byłem taki sam. Setki lat temu...

— Setki lat temu? — spytałem bezwiednie, choć pytać nie powinienem, gdyż Marius van Bohenwald niewątpliwie oszalał. A wariatom należy przytakiwać albo ich eliminować.

— Dlaczego nie? — odpowiedział pytaniem.

— Bo ludzie nie żyją tak długo, Mariusie — odparłem najłagodniej jak potrafiłem. Może był i wariatem, ale właśnie on w tej chwili miał władzę nad moim życiem.

— Nie? — uśmiechnął się. — Naprawdę?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale chyba nie oczekiwał odpowiedzi. Odwrócił się do swoich ludzi.

— Dajcie jakiegoś konia mojemu przyjacielowi — rozkazał. — I niech wraca do Tirianu.

Wyciągnął rękę w moją stronę, a ja ją uścisnąłem. Miał mocny, twardy chwyt, tak różny od miękkiego dotyku Mariusa van Bohenwalda z karczmy Pod Bykiem i Ogierem.

— Obserwujemy cię, Mordimerze — rzekł. — I będziemy obserwować. Być może kiedyś — uśmiechnął się samymi kącikami ust — zaprosimy cię na długą rozmowę.

Zapewne zdążyliście się już domyśleć, że wasz uniżony sługa nie ma płochliwego serca, a niebezpieczne sytuacje nie powodują drżenia jego łydek. Ale w chwili, gdy Marius van Bohenwald dopowiadał zdanie, poczułem zimny dreszcz biegnący od nasady karku aż po krzyże. Musiał jakoś to zauważyć albo wyczuć, bo nagle grymas przebiegł po jego twarzy.

— Och, nie, Mordimerze, nie myślałem o TAKIM spotkaniu, ale o rozmowie, która może zmienić twoje życie na lepsze.

Skinął mi poważnie głową i odszedł kołyszącym się krokiem. Chwilę jeszcze wpatrywałem się w jego ogromne plecy obleczone czarnym płaszczem, aż ktoś stanął obok i wyrwał mnie z zamyślenia.

— Koń czeka, chłopcze — powiedział człowiek, którego twarzy nie mogłem dostrzec spod ciemnego kaptura. — Szczęśliwej podróży.

— A oni? — zapytałem cicho. — Co stanie się z Ignaciusem i innymi inkwizytorami?

Człowiek w czerni ujął mnie za ramię i popchnął. Delikatnie, ale stanowczo.

— Zginęli na polu chwały, Mordimerze. W śmiertelnej walce z przeklętą herezją — powiedział. — I lepiej pamiętaj o tym, bo wśród inkwizytorów nie ma przecież odstępców.

Wiedziałem już, co się z nimi stanie. Trafią do miejsc, o których nigdy głośno się nie mówi. Do kazamat, przy których podziemia klasztoru Amszilas i lochy Inkwizytorium są pałacami. A tam, w bólu oraz pokorze, wyjawią wszystkie grzechy i ponownie nauczą się kochać Boga. Zrozumieją, że błądzili i pojmą, dlaczego błądzili. Tam zostaną pokropieni hyzopem i omyci, a ich dusze wybieleją nad śnieg, choć niewiele pozostanie z ich grzesznych ciał. Aż w końcu dokona się oczyszczenie i spłoną, dziękując Bogu oraz Jego sługom, że pozwolili im zaznać ekstatycznej radości stosu. Zaufajcie mi, że umierać będą pełni natchnionej wiary oraz bezbrzeżnej miłości. To właśnie miał na myśli Marius van Bohenwald, mówiąc o lepieniu ludzi.

###### \* \* \*

Jeszcze przed świtem dotarłem do traktu, a w dwa dni później byłem już w Tirianie. Czy myślałem o tym, co się zdarzyło? A jak sądzicie, moi mili? Myślałem o tym niemal przez cały czas. O Mariusie van Bohenwaldzie, czy raczej człowieku, który przybrał to nazwisko, a był ni mniej, ni więcej, tylko przedstawicielem wewnętrznej kontroli Inkwizytorium. Oczywiście, że my — prości inkwizytorzy — wiedzieliśmy, iż tacy ludzie istnieją. Ale co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć na własne oczy, prawda?

Rzuciłem lejce chłopcu stajennemu i wszedłem do karczmy. Oberżysta powitał mnie radosnym uśmiechem.

— Jak powiodły się interesy, dostojny panie? — zapytał.

— Dobrze — odparłem. — Całkiem dobrze. Moja kobieta jest na górze?

— Ona — zmieszał się na moment. — Ona... wyjechała. Myślałem, że wasza wielmożność wie... Ale opłaciła wszystkie rachunki na tydzień naprzód.

— Wyjechała — powtórzyłem — cóż...

Chciał jeszcze coś tłumaczyć, ale przerwałem mu i machnąłem dłonią. Byłem zmęczony i chciałem teraz tylko spać. A potem się urżnąć. Wszedłem na schody, kluczem otworzyłem drzwi do pokoju. Na biurku leżała karta papieru zapełniona drobnym, zgrabnym pismem. Ale nie list przykuł mój wzrok, lecz pierzasta strzałka przyszpilająca papier do blatu. Ostrożnie wyciągnąłem ją i położyłem na stole. Potem z kieszeni wyjąłem strzałkę, która zakończyła żywot tiriańskiego skrytobójcy i porównałem obie. Były identyczne. Poza faktem, że na tej z mojego biurka nie było śladów trucizny. Podniosłem papier do oczu.

*„Kochany Mordimerze, jeśli czytasz ten list, to znaczy, że sprawa zakończyła się pomyślnie i cieszysz się życiem oraz dobrym zdrowiem (a przynajmniej taką mam nadzieję). Wiesz już zapewne, czym zajmuję się naprawdę, i sądzę, że nie czujesz rozczarowania faktem, iż nie jestem dziwką. Choć dodam, że przy tobie mogłabym być i dziwką, i kochanką, i przyjaciółką. Żałuję, że los nie pozwala, by ścieżki naszego życia połączyły się na dłużej... Może, jeśli Bóg da, kiedyś jeszcze się spotkamy w równie miłych okolicznościach. Myśl o mnie czasami, Mordimerze.*

*Enya”.*

Na dole karty było jeszcze kilkanaście słów nabazgranych w wyraźnym pośpiechu.

*„Słodki byłeś, zostawiając mi pieniądze, ale zostałam naprawdę, dobrze opłacona. Skrypt dłużny na tę sumę przyjdzie do ciebie, do Hezu”.*

Starannie złożyłem papier i schowałem go do kieszeni płaszcza, a potem wyciągnąłem z kredensu butelkę wina.

— Twoje zdrowie — powiedziałem w pustkę, unosząc pełny kielich.

## Epilog

Zbliżyłem się ostrożnie do łóżka. Maurycy Mossel leżał w pościeli z głową odrzuconą w tył i leciutko pochrapywał. Dotknąłem jego podbródka ostrzem sztyletu. Drgnął i zabełkotał coś przez sen. Poczułem zapach wina.

— Maurycy — szepnąłem, a kiedy nie zareagował, ukłułem go ostrzem w brodę.

Otworzył oczy, a wtedy nacisnąłem silniej i zakryłem mu usta lewą dłonią.

— Milcz, przyjacielu, jeśli chcesz żyć — powiedziałem cicho. Nachyliłem się tak, by przy nikłym blasku przesłoniętego chmurami księżyca mógł rozpoznać moją twarz.

— Godryg — rzekł zdławionym głosem i widziałem, jak rozszerzają się jego źrenice. — Godryg Bemberg.

— I tak, i nie — odparłem. — Naprawdę: Mordimer Madderdin, inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu.

Nawet w nikłym świetle, rzucanym przez wyłaniający się zza uchylonych okiennic księżyc, widziałem, że jego twarz pokryła się trupią bielą.

— Ja nic o tym nie wiedziałem, nic, przysięgam... — urwał, kiedy przycisnąłem mocniej ostrze do jego gardła.

— O czym nic nie wiedziałeś, przyjacielu Maurycy? — zapytałem łagodnie, a on zająknął się i nie odpowiedział.

— Zresztą, nieważne — dodałem. — Jestem pewien, że za kilka lat będziesz opowiadał całą tę historię przyjaciołom przy winie i zaśmiewał się do rozpuku.

Widziałem, jak nadzieja błysnęła w jego oczach. Czyżbym zamierzał darować mu życie? Czy miał szansę ocalić głowę z tej awantury? Chciałem, żeby się łudził i podobała mi się ulga, która pojawiła się w jego wzroku. Już za chwilę zobaczę w nim ból, a potem tęsknotę za uciekającym życiem oraz bezdenną rozpacz. A jeszcze potem przemożne pragnienie jak najszybszej śmierci.

— Otwórz usta — rozkazałem.

Wcisnąłem mu knebel pomiędzy rozwarte szczęki. Byliśmy w końcu w miejscu publicznym i nie chciałem, by usłyszały nas niepowołane osoby śpiące za ścianami.

— Wstań.

Wstał posłusznie, sztywno jak marionetka, i patrzył na mnie wzrokiem zagonionego w kąt psiaka.

— Usiądź tu — poklepałem siedzenie krzesła.

Potem starannie przywiązałem mu ręce oraz nogi i zacisnąłem rzemień na szyi tak, że przechodził za oparcie. Maurycy Mossel nie mógł w tej chwili ruszyć już ani ręką, ani nogą, ani głową. Sprawdziłem, czy knebel jest dobrze założony. Później skrzesałem ogień i zapaliłem oliwną lampkę stojącą na blacie stołu. Również na stół przeniosłem mój kuferek, tak, by widział, co znajduje się w środku, kiedy go otworzę.

— Jestem iluzjonistą i mam tu magiczną skrzyneczkę, przyjacielu Maurycy — powiedziałem cichutko, ale serdecznie. — Chcesz zobaczyć, co w niej jest?

Wpatrywał się we mnie wybałuszonymi oczami. Czy nadal myślał jeszcze, że ocali życie? Włożyłem klucz do zamka i przekręciłem. Potem uniosłem wieko. Cały czas przyglądałem się jego twarzy i widziałem, jak jego źrenice stają się coraz większe i większe.

— Śliczne narzędzia, prawda? — spytałem. — To taki podróżny zestaw inkwizytora, który pozwoliłem sobie przywłaszczyć z tiriańskiego Inkwizytorium. Nie chciałbym, abyś myślał, przyjacielu Maurycy, że to, co uczynię, uczynię z żądzy zemsty lub z gorszącej chęci odpłacenia ci pięknym za nadobne. Nie skrzywdzę cię też w bezrozumnym gniewie, gdyż Pismo twierdzi: *„Każdy człowiek winien być nieskory do gniewu. Bowiem gniew męża nie wykonuje sprawiedliwości Bożej”.*

Patrzył na mnie i próbował coś powiedzieć, ale knebel skutecznie unieruchomił mu język. Wyciągnąłem z kuferka cęgi i przyjrzałem im się pod światło. Na lewym ostrzu dostrzegłem brunatną smużkę, zaschniętej i nie wytartej krwi.

— Pismo mówi: *„Wszelkie karcenie na razie nie wydaje nam się radosne, ale smutne, potem jednak przynosi tym, którzy go doświadczyli, błogi plon sprawiedliwości”.* To właśnie wyczytaliśmy w Piśmie, przyjacielu Maurycy, więc ja jestem tu, by przez drogę cierpienia poprowadzić cię w stronę Królestwa Bożego. I abyś choć pod koniec życia zdołał zebrać błogi plon, o którym mowa.

Westchnąłem i poklepałem go po policzku.

— Cóż — rzekłem. — Chyba zabierzemy się do roboty. — Spojrzałem w uchylone okiennice. — Bo nie byłoby dobrze, gdyby zastał nas tu świt, zanim skończymy...

## W oczach Boga

Oko nie widziało i ucho nie słyszało, i w serce człowiecze nie wstąpiło, co nagotował Bóg tym, którzy mu się przeciwią.

Św. Paweł, list do Koryntian

Ława była wąska i niewygodna. Siedziałem na niej już kilka godzin, a przechodzący słudzy i dworzanie biskupa uśmiechali się drwiąco na mój widok. Oni mogli sobie na to pozwolić. Opieka Gersarda, biskupa Hez-hezronu, była najlepszą gwarancją bezkarności i bezpieczeństwa. Ale ja, Mordimer Madderdin, inkwizytor Jego Ekscelencji, nie przywykłem do takiego traktowania. Dlatego siedziałem ponury jak chmura gradowa. Chciało mi się jeść i pić. Chciało mi się spać. Z pewnością nie chciałem czekać tu na audiencję, nie chciałem też widzieć biskupa, bo nic miłego nie mogło mnie u niego czekać. Gersard miał ponoć wczoraj atak podagry, a kiedy chwytały go bóle, był zdolny do wszystkiego. Na przykład do tego, aby odebrać mi koncesję, której posiadanie i tak wisiało na włosku od czasu, gdy przesłuchałem nie tego człowieka co trzeba. W końcu to nie moja wina, że na świecie istnieją sobowtóry. A przynajmniej ludzie bardzo podobni do siebie. Tyle że kuzyn hrabiego Werfena, niestety, nie przeżył przesłuchania. Zresztą nie z mojej winy, bo nie zdążyliśmy nawet użyć narzędzi. Przy pierwszej prezentacji, kiedy serdecznym tonem wyjaśniałem mu zasady działania piły do cięcia kości, nagle się zatchnął, wytrzeszczył oczy, policzki mu poczerwieniały i taki właśnie — czerwony i z wytrzeszczonymi oczami — zmarł na moim stole. A ja teraz mogłem mieć kłopoty.

Jeżeli odbiorą mi koncesję, świat nagle stanie się bardzo niebezpiecznym miejscem. Tak to już jest, że inkwizytorzy mają zwykle więcej wrogów niż przyjaciół. Oczywiście odszedłby ode mnie również Anioł Stróż, a życie bez Anioła trudno sobie wyobrazić. Choć, między nami mówiąc, trudno też sobie wyobrazić życie pod opieką Anioła. Ale ja sobie nie tylko je wyobrażałem, lecz zdołałem się przez te wszystkie lata do niego przyzwyczaić. Choć wierzcie mi, mili moi, że nie było to łatwe.

W końcu podszedł jakiś wymuskany klecha, roztaczający wokół woń drogich perfum, i spojrzał na mnie z góry.

— Madderdin? — zapytał. — Inkwizytor?

— Tak — odparłem.

— Jego Ekscelencja czeka. Ruszże się, człowieku!

Przełknąłem obelgę i tylko starałem się zapamiętać tę bezczelną twarz. Da Bóg, spotkamy się w bardziej sprzyjających okolicznościach. Nawet słudzy biskupa mogą z czasem trafić do naszych mrocznych cel. A wierzcie mi, że tam stracą już wszelką pogardę dla siedzącego naprzeciw nich inkwizytora.

Wstałem i wszedłem do komnaty biskupa. Gersard siedział pochylony nad dokumentami. Prawą dłoń miał całą w bandażach, co znaczyło, że atak podagry nie był, niestety, plotką.

— Madderdin — rzekł takim tonem, jakby to było przekleństwo. — Dlaczego ty właściwie jeszcze żyjesz, łajdaku?

Uniósł wzrok. Widać było po oczach, że musiał sobie trochę wypić. Twarz miał zsypaną szkarłatnymi plamami. Było więc gorzej niż przypuszczałem.

— Wierny sługa Waszej Ekscelencji — rzekłem, pochylając się głęboko.

— Mordimer, na Boga, odbiorę ci koncesję! Co to za bzdury w ostatnich raportach? Co to jest Kościół Czarnego Przemienienia?

— Nie pisałem o niczym takim, Wasza...

— Właśnie! — wrzasnął i głos załamał mu się w czasie tego wrzaśnięcia, a plamy na policzkach jeszcze bardziej poczerwieniały. — Po co ja cię trzymam, głupcze, skoro dowiaduję się o nowych herezjach od kogoś innego?

W życiu nie słyszałem o Kościele Czarnego Przemienienia, więc postanowiłem rozsądnie milczeć.

— Nowa sekta — powiedział, patrząc na mnie spode łba — założona i prowadzona przez człowieka, nazywającego siebie apostołem Szatana. Podobno to jakiś ksiądz zajmujący się czarną magią. Mówią, że ta sekta dorobiła się już całkiem sporej liczby wyznawców. Masz go znaleźć, Madderdin i doprowadzić do mnie. I, na Boga, pospiesz się, bo skończę z tobą.

— Czy Wasza Ekscelencja wie, gdzie mam go szukać? — zapytałem najbardziej uniżonym tonem, na jaki było mnie stać.

— Gdybym wiedział, gdzie go szukać, nie kazałbym tego robić tobie, idioto — odparł biskup i pomasował sobie łokieć. — Madderdin, czym zgrzeszyłem przeciw Bogu, że pokarał mnie takimi ludźmi, jak ty?

Znowu uznałem, że lepiej nie odpowiadać i tylko głęboko się skłoniłem.

— Idź już. — Ekscelencja machnął ze znużeniem lewą dłonią. — Wynoś się i nie wracaj mi bez tego człowieka. Aha, i jeszcze jedno. Słyszałem, że odprawiają rytuały z poświęcaniem dziewic, czy noworodków, czy coś tam takiego... — urwał, aby znowu pomasować sobie łokieć.

— Kiedy mogę zgłosić się do skarbnika Waszej Ekscelencji? — zapytałem cały czas głęboko pochylony. Cichym i łagodnym głosem.

— Won! — ryknął biskup, a ja uznałem, że cóż: nie zawadziło spróbować.

Wycofałem się rakiem, a kiedy zamknęli za mną drzwi, odetchnąłem z ulgą. Trzeba było się brać do roboty, ale przynajmniej moja koncesja była na razie bezpieczna. Tylko źle ze mną będzie, jeżeli nie znajdę heretyka. Lecz tym przyjdzie jeszcze czas się martwić. Wyszedłem z pałacu biskupa i odetchnąłem świeżym powietrzem. A raczej powietrzem rynsztoków i spelunek. Bo tak pachnie Hez-hezron. Czy mówiłem wam już, że to najohydniejsze z ohydnych miast? Podobno wiek temu król Merwid Złotousty kazał spalić Hez-hezron, aby wybudować na jego miejscu wymarzone przez siebie Miasto Słońca. Ale nim Merwid spalił miasto, spalono jego i pomysł umarł śmiercią naturalną.

Teraz musiałem odszukać bliźniaków oraz Kostucha, a to w sumie było proste. Musieli bawić się gdzieś kartami lub kośćmi, a ja przecież znałem ich ulubione miejsca. Pierwszym była karczma Pod Bykiem i Ogierem, ale tam właściciel rozłożył tylko ręce.

— Ograł ich szuler spoza miasta — powiedział — i słyszałem, że poszli na zarobek.

Westchnąłem. Jak zwykle dali się wykiwać byle komu. I tak dobrze, że go nie zabili, bo teraz musiałbym ich może szukać w lochu burgrabiego. Ale słowo „zarobek” mogło znaczyć wiele rzeczy. I niekoniecznie przyjemnych.

— Co za zarobek? — spytałem niechętnie.

— Mordimer, ty wiesz, że ja nie lubię za dużo wiedzieć — odparł karczmarz, któremu pozwalałem mówić sobie po imieniu, bo walczyliśmy kiedyś razem pod Schengen.

A weterani spod Schengen są sobie równi, choćby nie wiem, jaka dzieliła ich społeczna przepaść. Takie było niepisane prawo. Zresztą niewielu nas wtedy zostało. Bardzo niewielu, powiedziałbym nawet.

— Korfis — rzekłem spokojnie — nie utrudniaj. Dostałem zlecenie i jak ich nie znajdę, to go nie wykonam. A wtedy zostanę obdarty ze skóry. Jestem ci winien pięć dukatów. Chyba chciałbyś kiedyś je dostać z powrotem?

— Siedem — spojrzał na mnie chytrze.

— Niech będzie — zgodziłem się, bo równie dobrze mogło być siedemdziesiąt.

I tak w kabzie brzęczały mi tylko dwa samotne półgroszaki. I za Boga nie zamierzały się rozmnażać.

— A może ubijemy interes? — spytał i popatrzył na mnie badawczo.

— No?

— Ten szuler tu jest. Dam ci forsę i ograj go, a dostaniesz piątą część wygranej.

— Czterdzieści procent — odparłem machinalnie, ale przecież i tak nie zamierzałem się zgodzić.

— Co? — nie zrozumiał.

— Połowę.

Pokiwał głową i myślał przez chwilę.

— Dam ci połowę — stwierdził i wyciągnął łapę. — Przybite, Mordimer?

— Ty wiesz, że ja nie gram — powiedziałem zły, że dałem się wciągnąć w tę rozmowę.

— Ale umiesz. A większość gra i nie umie — odparł sentencjonalnie. — No?

— Ile on może mieć?

Karczmarz nachylił się nade mną. Jechało od niego piwem i gotowaną kapustą. Jak na Hez-hezron nawet nieźle. Znam gorsze zapachy.

— Może trzysta, może czterysta — tchnął mi w ucho. — Jest się o co bić.

— Zwykły oszust czy magik?

— A kto go tam wie? Wygrywa od tygodnia. Dwa razy próbowali go zabić...

— I?

Korfis w milczeniu przeciągnął po gardle.

— Dobry jest — dodał. — Ech, Mordimer, żebyś ty chciał grać. Jaki my byśmy majątek zrobili, człowieku.

— Gdzie są Kostuch i bliźniacy?

— Mają jakąś robótkę u Hilgferarfa, wiesz, tego ze spichlerzy. Jakieś ściąganie długów, czy co — wyjaśnił po chwili namysłu. — Zagrasz, Mordimer? — spytał prawie błagalnym głosem.

Trzysta dukatów — pomyślałem. — Zostanie mi z tego sto pięćdziesiąt. Niby miało się czasem i dziesięć razy więcej, ale teraz to był majątek. Wystarczyłoby na szukanie heretyka. Zakląłem w myślach, że nie dość, iż mam pracować za darmo, to jeszcze muszę zarobić na tę pracę. Co za łajdak z biskupa.

— Może — westchnąłem, a Korfis aż chciał mnie klepnąć w plecy, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Wiedział, że nie przepadam za tego rodzaju czułościami.

— Dam ci sto koron — nachylił mi się znowu nad uchem.

— Wystarczy, żeby zacząć, co?

No cóż, knajpiany biznes kwitnie w Hez-hezronie, skoro karczmarz ma na zbyciu sto koron. A jak dawał sto, to miał pewnie i pięć razy więcej.

— A jak przegram? — zapytałem.

— To będziesz miał dług — zaśmiał się — ale ty nie przegrasz, Mordimer.

Zapewne — pomyślałem — tylko ty nie wiesz, że mnie nie wolno grać. I że jak dowie się o tym mój Anioł Stróż, to nie będzie zachwycony. A co gorsza, może mnie załatwić w czasie gry. Chyba, że uzna, iż gram w szlachetnym celu. A niezbadane są ścieżki, którymi podążają myśli Aniołów.

— On teraz śpi — rzekł Korfis. — Grał całą noc u Lonny i wrócił dopiero nad ranem.

— Nieźle — powiedziałem, bo u Lonny grało się wysoko. — Przejdę się tam. Daj parę dukatów.

Korfis westchnął i wygrzebał z zanadrza jednego oberżniętego po brzegach dukata, dwie dwukoronówki i trzy pięciogroszaki.

— Doliczę ci do rachunku — wystękał.

Nawet nie wyciągnąłem ręki, tylko spojrzałem na niego wymownie.

— Korfis, we mnie trzeba zainwestować — mruknąłem.

— Zainwestować — powtórzył, wyraźnie wymawiając zgłoski. — Ilekroć słyszę to słowo, wiem, że ktoś chce mnie obłupić ze skóry — dodał, ale wyjął jeszcze jednego dukata. Jeszcze bardziej oberżniętego po brzegach niż pierwszy, chociaż to akurat mogło się już wydać niemożliwe.

###### \* \* \*

Dom Lonny był masywnym, jednopiętrowym budynkiem ogrodzonym murem, za którym szalały specjalnie wyszkolone psy. Mówiono zresztą, iż to nie psy, tylko mieszanka szakala i wilka, i że miały zatrute zęby. Ale podejrzewam, że takie bajdy rozpuszczała sama Lonna, aby dodatkowo wystraszyć nieproszonych gości. Lonna prowadziła dobrej klasy burdel z wykwintnym wyszynkiem i jedzeniem. Prócz tego grano u niej w kości i karty. Grano wysoko i w dobrym towarzystwie, bo nierzadko można tam było trafić na bogatych szlachciców z okolic Hez-hezronu (po co przyjeżdżali do miasta, opuszczając swe posiadłości, Bóg jeden raczy wiedzieć), co znamienitszych mieszczan i mistrzów cechowych. A zresztą każdy, kto miał wypchaną kabzę i jako tako wyglądał, był mile widziany.

Zastukałem kołatką. Kilkakrotnie, bo pora była nietypowa, i musiałem chwilę zaczekać nim ktoś się zbliżył do drzwi. Trzasnął uchylany judasz.

— Pan Madderdin — usłyszałem głos zza drzwi i poznałem Gryttę, który pełnił u Lonny rolę odźwiernego, wykidajły i chłopca do wszelkich zleceń.

Grytta był zwalistym mężczyzną o twarzy wioskowego głupka. Ci, których zmyliła ta twarz, zwykle nie mieli już okazji popełniać następnych pomyłek.

— Nie da się ukryć — odparłem. — Jest Lonna?

Grytta wahał się chwilę nim odpowiedział.

— Jest — rzekł w końcu, otwierając drzwi. Krzyknął na psy.

— Dziwna pora na odwiedziny, panie Madderdin.

— Dziwna — przytaknąłem i dałem mu dwukoronówkę. Trzeba mieć gest.

Grytta zaprowadził mnie do saloniku i postawił na stoliku butelkę wytrawnego wina oraz kieliszek.

— Wszyscy śpią jeszcze, panie Madderdin — wyjaśnił. — Trzeba będzie trochę poczekać.

— Nie ma sprawy — powiedziałem i wyciągnąłem się w fotelu.

Jestem przyzwyczajony do spania o każdej porze i w każdych warunkach. W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek będzie miał następną okazję. Jednak kiedy Lonna weszła do pokoju, natychmiast się obudziłem.

— Zawsze czujny — powiedziała, widząc, że otwieram oczy. — Dawno się nie widzieliśmy, Mordimer. Przychodzisz oddać dług?

— A ile ci jestem winien?

— Dwadzieścia dukatów — powiedziała i jej oczy pociemniały. — Czy to ma znaczyć, że ich nie przyniosłeś?

— Ty zawsze o pieniądzach — westchnąłem. — Nawet nie zdążyłem powiedzieć, jak pięknie wyglądasz.

— Daruj sobie. — Wzruszyła ramionami. — Czego chcesz?

— Jak zwykle. Informacji.

— Zwykle, to ty chcesz tu czegoś innego — odparła złośliwie, choć nie bez racji. — Jakiej informacji?

— Ktoś grał wczoraj u ciebie. Jakiś zamiejscowy szuler. Wygrał?

— Czy ja śledzę każdego, kto gra? — zapytała zniecierpliwiona. — Wczoraj było mnóstwo ludzi.

— Lonna — wstałem i przeciągnąłem się, aż mi chrupnęło w kościach. Nalałem sobie wina. — Masz mnie za idiotę?

— Wygrał — powiedziała. — Bardzo dużo.

— Znaczy?

— Czterysta, może nawet pięćset. Ale on nie kantował, Mordimer. Kazałam go sprawdzić.

— Są różne rodzaje kantów — odparłem.

— No właśnie. Może wrócimy do mojej dawnej propozycji?

— Nie — zaśmiałem się.

Lonna kiedyś proponowała, abym zajął się kontrolą graczy. Potrafię bezbłędnie poznać, czy ktoś oszukuje. Rozszyfruję każdego magika lub iluzjonistę, nie mówiąc o zwykłych szulerach. A Lonna nie tolerowała oszustów. Między innymi dlatego jej dom był tak popularny, że grało się tam czysto. A przynajmniej w miarę czysto.

— W co grał?

— W biskupa — roześmiała się nieco pogardliwie.

Ja też się zdziwiłem. Biskup był jedną z najbardziej głupich i prymitywnych gier. Wygrywał ten, kto zebrał rycerza, giermka i tuza, obojętnie jakiej maści, a przy tym nie miał damy. Zabawa dla wozaków. Zupełnie bezmyślna.

— I co potem?

— Poszedł. Nawet nie poprosił o obstawę.

U Lonny istniał dobry zwyczaj odprowadzania gości, którzy wygrali, przez specjalnie dobranych ochroniarzy.

— Przyjdzie dzisiaj?

— Jak go nie zabili, pewnie przyjdzie. — Znowu wzruszyła ramionami. — Po co ci on?

— Ograł moich chłopaków, więc może ktoś powinien mu odpłacić.

Lonna nie wytrzymała i chwyciła mnie za rękę.

— Będziesz grał, Mordimer? — Aż widziałem jak płoną jej oczy. — Naprawdę zagrasz?

— Może, może... — odpowiedziałem, delikatnie uwalniając dłoń.

— Czuj się gościem — rzekła z szerokim uśmiechem, który odmłodził ją o ładnych parę lat. — Dam ci pokój, żebyś wypoczął przed wieczorem. Chcesz coś jeszcze? Wino, dziewczyny?

— Na razie nie. Dzięki, Lonna, ale muszę poszukać Kostucha i bliźniaków. Szlag ich gdzieś trafił.

— Tylko błagam, nie przyprowadzaj ich, jeżeli nie musisz. — Lonna złożyła dłonie na piersiach. A było na czym składać. — Ostatnio Kostuch wypłoszył mi gości.

— Nie ma się co dziwić. Jakbym go nie znał, sam bym się przestraszył. Zobaczymy się wieczorem.

Wyszedłem nieco odświeżony tą chwilą snu i postanowiłem odnaleźć chłopaków. Mieli robótkę u Hilgferarfa? No to wiadomo, gdzie zacząć. Do spichlerzy od domu Lonny nie było specjalnie daleko, toteż spacer zajął mi najwyżej pół godziny. Już z daleka było widać niekształtne magazyny, przytulone do brzegu rzeki. Namnożyło się ich ostatnimi czasy, bo i handel, po zakończeniu wojny na południu, rozkwitł jak nigdy. Hilgferarf był jednym z nowych tuzów kupieckich. Młody, przebojowy i bez skrupułów. Zaczynał jako doker, a teraz miał cztery pokaźne magazyny. Spichlerze — to była już tylko zwyczajowa nazwa, bo teraz w magazynach trzymało się dziesiątki różnych towarów. Hilgferarf specjalizował się w handlu bronią, gdyż miał dobre kontakty w tych kręgach, ale w zasadzie zajmował się każdym towarem. Jeden magazyn specjalnie przystosował dla dziewczyn z południa, na które zawsze był niezły popyt. Sama Lonna kupiła tam kilka świetnych sztuk, ale niestety szybko umarły. Podobno nie wytrzymywały życia w zamknięciu i liczby klientów. Ale i tak pewnie Lonnie koszty zwróciły się z naddatkiem.

Na terenie spichlerzy kręcili się ochroniarze z pałkami w rękach, było też kilku ludzi ze straży portowej, jak zwykle schlanych prawie do nieprzytomności. Biuro Hilgferarfa przytykało do jednego z magazynów, przy samym brzegu rzeki. Czy raczej tego spienionego ścieku, który z przyzwyczajenia nazywano rzeką.

— Czego tu? — Przy drzwiach czuwało dwóch strażników.

— Szukam pana Hilgferarfa — wyjaśniłem.

— Byłeś umówiony? Jak nie, to spływaj.

Spojrzałem na niego i trochę się stropił.

— Nazywam się Madderdin, synu. Mordimer Madderdin, inkwizytor biskupa Hez-hezronu. Chciałbyś, abym był miły, kiedy spotkamy się kiedyś u mnie?

— Przepraszam, panie Madderdin. — Strażnik, który ze mną rozmawiał, przełknął głośno ślinę. — Proszę o wybaczenie. Zaraz powiadomię pana Hilgferarfa.

Wszedłem do środka, a Hilgferarf nie dał mi długo czekać. Bardzo uprzejmie z jego strony. Miał całkiem miłe biuro wypełnione meblami z czarnego dębu. Nieco nuworyszowskie, ale jednak eleganckie.

— Miło mi, panie Madderdin. — Miał silną dłoń, no ale kiedyś był dokerem.

— Proszę wybaczyć, iż zabieram panu czas — powiedziałem uprzejmie. — Podobno wynajął pan moich chłopców. Dwóch bliźniaków i człowieka...

— A, tego przystojniaczka — kupiec wszedł w słowo. — Zgadza się. Miałem dla nich robótkę. Proszę usiąść, panie Madderdin. Wina?

Pokręciłem głową.

— Wzięli zaliczkę i tyle ich widziałem — powiedział spokojnie, ale widziałem, iż jest wściekły.

— To do nich niepodobne. — Naprawdę się zaniepokoiłem. Bliźniacy i Kostuch nigdy nie pozwoliliby sobie na wystawienie klienta do wiatru. A przynajmniej nie w Hez-hezronie. — Czy mógłbym wiedzieć, co to była za praca?

— Panie Madderdin — kupiec usiadł za biurkiem — bądźmy szczerzy. Słyszałem, że poza swoimi obowiązkami służbowymi zajmuje się pan też czasem pomaganiem ludziom będącym w kłopotach. Wiem, że jest pan przyjacielem przyjaciół. Tak więc, jeśli byłby pan zainteresowany...

— Proszę mówić.

— Mam dłużnika. Chodzi o poważne sumy...

— Jak poważne?

Uniósł rękę.

— Za chwilę, jeśli pan pozwoli. Ten człowiek to prałat Bulsani.

— O, cholera! — pozwoliłem sobie zakląć.

Prałat Bulsani był dziwkarzem, pijakiem i hazardzistą. A przy tym miał zdumiewająco mocne plecy. Hilgferarf uśmiechnął się blado.

— Dobra reakcja, panie Madderdin. Powiedziałem to samo, kiedy dowiedziałem się, czyim jestem wierzycielem.

— Kiedy dowiedział się pan? Czyli?

— Bulsani dostał spadek i przyjął go, bo aktywa nieznacznie przekraczały pasywa. Ale pasywami były weksle. Na cztery i pół tysiąca dukatów. Płatne do przedwczoraj. Jak pan rozumie, płatne w moim biurze. Tymczasem Bulsani sprzedał dom i kilka zobowiązań, ale nie zamierza płacić długów. Wyszedł jakieś pięć tysięcy na czysto, więc ma pieniądze...

— Znając go, stan ten nie potrwa długo — mruknąłem.

— Dlatego zależy mi na szybkości. Jestem w stanie zaoferować pięć procent od sumy ściągniętego długu.

— Dwadzieścia pięć — odparłem machinalnie — plus dziesięć procent ekstra, bo chodzi o Bulsaniego. I sto pięćdziesiąt koron na wydatki.

— To żarty. — Nawet się nie zdenerwował. Z twarzy wciąż nie schodził mu miły uśmiech.

— Jeśli nie załatwi pan tego w ciągu kilku dni, straci pan pieniądze raz na zawsze — powiedziałem. — Jasne, może pan go kazać zabić. Ale po pierwsze, nie zwróci to panu gotówki, a po drugie, zabicie Bulsaniego oznacza kłopoty. Może pan zwrócić się do sądu. Ale to może oznaczać jeszcze większe kłopoty.

Hilgferarf stukał obsadką pióra w blat biurka i cały czas przyglądał mi się z uśmiechem.

— Wie pan, ile utargowali pańscy przyjaciele? — zapytał.

— Tak?

— Osiem procent i dziesięć dukatów zaliczki.

— Dlatego nigdy nie powinni robić interesów beze mnie — westchnąłem. — To przykre, kiedy ludzie nie potrafią się niczego nauczyć.

— Ale jednak pańskie propozycje są nie do przyjęcia — dodał.

Przyglądałem mu się przez chwilę. Cholernie wyedukował się ten były doker. Co za zasób słownictwa!

— Nie mam siły się targować — powiedziałem. — Jestem zmęczony i mam przed sobą ciężką pracę. Ostatnie czego pragnę, to wplątać się w kłopoty przez długi Bulsaniego. Moja propozycja brzmi: dwadzieścia pięć procent od sumy i sto trzydzieści bezzwrotnej zaliczki. — Kupiec chciał coś wtrącić ale uniosłem dłoń. — To naprawdę ostatnia propozycja.

Hilgferarf pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Niech i tak będzie. Słyszałem o panu dużo dobrego, panie Madderdin. Nie jest pan tani, ale słynie pan z rzetelnego podejścia do pracy. Mam nadzieję, że odzyskam moje pieniądze.

— Szczerze? — skrzywiłem się. — Sądzę, że straci pan jeszcze te sto trzydzieści na zaliczkę dla mnie.

— Szczerość godna podziwu — powiedział bez najmniejszej ironii w głosie. — Jednak zaryzykuję. Być może — dodał ostrożnie — potem, jeżeli wszystko się powiedzie, miałbym dla pana coś poważniejszego. Coś dużo poważniejszego.

— Skąd to zaufanie?

— Ja znam się na ludziach, panie Madderdin. A pan jest uczciwym człowiekiem. Co nie znaczy moralnym — zastrzegł się od razu — ale uczciwym.

Zastanowiłem się przez chwilę. To prawda. Rzeczywiście byłem uczciwym człowiekiem. Przynajmniej jak na to miejsce i na te czasy. Hilgferarf wiedział, że spróbuję znaleźć Bulsaniego i odzyskać dług, choć równie dobrze mogłem przecież przehulać zaliczkę u Lonny, a jemu powiedzieć, że sprawa jest beznadziejna. Ale zlecenia były wyzwaniem. Czułbym się upokorzony, gdyby taki człowiek jak Bulsani potrafił mnie przechytrzyć. Owszem, był sprytny. Instynktownym sprytem pająka, który wie, że w razie niebezpieczeństwa trzeba odpełznąć w jak najciemniejszy kąt. Gdzie masz swój najciemniejszy kąt, prałacie? — zapytałem sam siebie w myślach. Inna sprawa, iż rzecz naprawdę trzeba było szybko doprowadzić do końca. Przecież czekała mnie sprawa zlecona przez biskupa. I nadal nie miałem pojęcia, gdzie mogą być moi ludzie.

— Dziękuję za miłą rozmowę. — Wstałem z miejsca. — Mam nadzieję, że będę mógł panu pomóc.

— Strażnik zaprowadzi pana do kasy — powiedział, tym razem nie podając mi ręki. Może uznał, że raz na dzień wystarczy.

Skinąłem głową i wyszedłem. Śmierdziało, jak to przy spichlerzach, ale dzień zrobił się jakby sympatyczniejszy. W końcu w moim wypadku sto trzydzieści koron, to była kupa pieniędzy. Musiałem pomyśleć, gdzie mogę znaleźć prałata Bulsaniego. Mogłoby się wydawać, że miałem wiele możliwości. Mniej więcej tyle samo, co burdeli w Hez-hezronie. Ale nawet Bulsani nie był chyba tak głupi, aby z długiem na karku zabawiać się z dziwkami. Zastanawiałem się przez moment, czy słyszałem o jakichś przyjaciołach czcigodnego prałata. Hmm... nikt nie przychodził mi do głowy. Ludzie tacy jak Bulsani nie mają prawdziwych przyjaciół. Może tylko towarzyszy do kielicha. Póki nie wyrolują ich lub nie przerżną ich córek albo żon. Kto w takim razie pił i bawił się z Bulsanim? Wiedziałem, u kogo szukać tej informacji. U niezawodnej Lonny, która wie wszystko. A przynajmniej chciałaby wiedzieć.

###### \* \* \*

Grytta nawet nie zdziwił się na mój widok, tylko szeroko uśmiechnął, pokazując garnitur spróchniałych zębów. Pewnie spodziewał się następnego datku i nie zawiódł się. Lonna natomiast była zaskoczona, ale szybko pokryła to zaskoczenie uśmiechem.

— Mordimer, czyżbyś jednak potrzebował dziewczyny?

— Być może przychodzę oddać ci dług, moja droga.

— Być może?

Wziąłem dwa kieliszki ze stolika i nalałem trochę wina sobie i Lonnie.

— Twoje zdrowie — powiedziałem — za bogactwo i urodę.

Wypiła z lekkim uśmiechem.

— Flirtujesz ze mną, czy masz interes? Jeśli flirtujesz, to...

Spojrzałem na jej mocno wydekoltowane piersi.

— A masz ochotę na flirt?

— Nie, Madderdin — roześmiała się. Dziwne, ale w tym mieście, gdzie mało kto dbał o zęby, ona miała je śnieżnobiałe, równe i mocne. — Wiesz przecież, co ja lubię.

Wiedziałem. Lonna lubiła młodych, niedoświadczonych chłopców i młode, niedoświadczone dziewczęta. Zresztą ja też nie przepadałem za dojrzałymi kobietami, tak więc tylko pokiwałem głową.

— Mów — powiedziała.

— Szukam Bulsaniego.

— Widzę, że szukasz wielu ludzi, Mordimer — zauważyłem, że spoważniała. — Skąd przyszło ci do głowy, że wiem, co dzieje się z naszym przyjacielem, prałatem?

— Bo on był u ciebie, Lonna. Przedwczoraj, może trzy dni temu, wczoraj raczej nie, prawda?

Milczała.

— Pytał o miejsce, gdzie można się bezpiecznie zabawić. Przeczekać miesiąc, może dwa lub trzy w towarzystwie kilku miłych panienek, czy nie tak? — oczywiście blefowałem, ale Bulsani naprawdę mógł tak postąpić.

Nadal milczała.

— Lonna?

— Nie, Mordimer — odparła — mylisz się. Naprawdę. Bulsani wyjechał z miasta, a ja nie wiem gdzie. Ale...

— Ale? — zapytałem po chwili milczenia

— Sto dukatów — powiedziała — i dowiesz się wszystkiego, co i ja wiem.

— Zwariowałaś? — roześmiałem się. — Nie dostałem aż tak dużej zaliczki.

— No to nie.

Zastanowiłem się. Lonna nie naciągałaby mnie w tak prymitywny sposób. Coś musiała wiedzieć.

— Posłuchaj, moja droga, może jakiś podział zysków?

— Nie.

I już wiedziałem wszystko. Ta szybka odpowiedź była tak zdecydowana, że Lonna musiała wiedzieć, iż zysków nie będzie. A jak nie będzie zysków, to znaczy, że szacowny prałat przeputał całą forsę. Cztery i pół tysiąca dukatów było jednak kupą grosiwa. Nie tak łatwo puścić ją z dziwkami, łatwo za to przegrać. Ale Bulsani grał bardzo ostrożnie i niemożliwe, by zmarnował w dwa dni tyle pieniędzy. Dokonał więc zakupów. A co mógł kupować u Lonny?

— Ile zamówił dziewczyn? — zapytałem.

Lonna spojrzała na mnie ze strachem.

— Jesteś diabłem, Mordimer — powiedziała — ale nawet ty nie dowiesz się, gdzie je kazał dostarczyć.

— Wszystko jest kwestią motywacji — powiedziałem — ale rzeczywiście wolałbym się tego dowiedzieć od ciebie.

— Mordimer — powiedziała jakimś takim żałosnym tonem. — Nie mieszaj się w to wszystko i nie mieszaj mnie.

Lonna była przestraszona. Świat najwyraźniej stawał na głowie, a mnie wcale się to nie podobało. Zwłaszcza, że gdzieś zaginęli Kostuch i bliźniacy, do których, mimo ich wszystkich wad, byłem jednak przywiązany.

— Moja droga — zbliżyłem się do niej i objąłem, a w tym uścisku było równie dużo czułości, jak siły. — Kiedy ja stoję po jednej stronie barykady, a ktoś inny po drugiej, można podjąć tylko jedną, słuszną decyzję. Zgadujesz, jaką?

Próbowała się uwolnić, ale równie dobrze mogłaby siłować się z drzewem.

— Lonna, musisz mi powiedzieć.

— A jak nie? — tchnęła mi prosto w ucho — Co mi możesz zrobić, Mordimer?

Puściłem ją i usiadłem w fotelu. Zacisnęła zęby i widziałem, że ostatkiem sił panuje nad sobą, by nie kazać mi iść w diabły. Ale jeszcze nie skończyliśmy rozmowy i wiedziała o tym.

— Jaką bajeczkę chciałaś mi sprzedać za sto dukatów? — zapytałem.

Milczała i patrzyła takim wzrokiem, jakby chciała mnie zabić. Wielu ludzi tak już na mnie patrzyło, więc się nie przejmowałem. Zwłaszcza, że później zwykle ja ich musiałem zabijać.

— Gdzie je kazał dostarczyć, Lonna? Posłuchaj mnie uważnie. Może nie jestem wielką fiszą w tym mieście, ale potrafię zatruć ci życie. Wierz mi, że mogę to zrobić. Nic szczególnego, ale goście zaczną omijać twój domek szerokim łukiem. A bez gości i bez pieniędzy staniesz się nikim. Być może szepnę też słówko biskupowi. Myślisz, że kilka nalotów biskupiej straży przysporzy ci popularności?

Lonna rozmyślała nad tym, co powiedziałem, i wiedziałem, że muszę jej dać trochę czasu. Rozważała, czy ma wystarczająco mocne plecy, aby zupełnie mnie zlekceważyć. Tylko, widzicie moi mili, rozsądni ludzie bardzo rzadko pozwalają sobie na lekceważenie inkwizytorów. Nawet jeśli tym inkwizytorem jest tylko biedny Madderdin, wasz pokorny i uniżony sługa. Nigdy nie wiadomo, co się stanie i nigdy nie wiadomo, czy pewnego wieczoru przyjaciele w czarnych płaszczach nie zastukają do twoich drzwi. A wtedy lepiej, aby byli ci przychylni. To zresztą rzadko kiedy pozwalało przeżyć, ale przynajmniej godnie umrzeć. Jeśli śmierć w ogóle może być godna.

Tak więc ona sobie spokojnie myślała, a ja bez pośpiechu popijałem winko. W końcu zdecydowała się.

— Kupił sześć dziewczyn — powiedziała — ale to było specjalne zamówienie.

— Dziewice? — nawet nie zapytałem, a w zasadzie stwierdziłem.

— Skąd wiesz? — Otworzyła szeroko oczy.

— Co z nimi zrobił? — Nawet nie chciało mi się odpowiadać.

— Kazał załadować je na barkę płynącą na północ — odparła po chwili. — Wiem, bo Grytta eskortował ich do portu.

— Zawołaj go — rozkazałem.

— Mordimer, ja cię proszę, nie mieszaj mnie w to wszystko — prawie że jęknęła i była urocza z tą bezradnością. Oczywiście, jeśli ktoś dawałby się nabrać na tak proste sztuczki. Ale przynajmniej była na tyle przestraszona, by zacząć je stosować. A to już coś.

— Grytta zobaczył tam coś, prawda, Lonna? Coś, co ci się bardzo nie spodobało. Pozwolisz mi zgadywać, czy jednak zawołamy Gryttę?

Dolałem sobie hojnie wina, bo było naprawdę smaczne. Wystarczająco cierpkie i orzeźwiające, ale nie zostawiające na języku tego chłodnego, metalicznego posmaku, świadczącego, iż nie leżakowało we właściwej beczce lub winnica była nie dość wystawiona na promienie słońca. Nie byłem bynajmniej koneserem win, ale lubiłem od czasu do czasu napić się dobrego trunku. Zwłaszcza, że miałem w życiu aż nadto okazji, by pijać trunki podłe. Zresztą samo Pismo mówiło przecież: *„A wino rozweseliło serce człowiecze”.* Nie miałem nic przeciwko temu, by być wesołym.

Lonna westchnęła, wstała i pociągnęła jedwabny sznurek wiszący koło drzwi. Po chwili do pokoju wczłapał Grytta. Jak zwykle z wyrazem oddania i skupienia na twarzy.

— Powiedz panu Madderdinowi, co widziałeś w przystani — rozkazała zmęczonym tonem.

— Znaczy wtedy? — upewnił się Grytta, a Lonna skinęła głową.

Słuchałem nieco bezładnej opowieści Grytty i robiłem w myśli notatki. Bogobojny Bulsani kupił sześć młodych i pięknych dziewic z południa, po czym kazał je załadować na barkę w porcie. Małą barkę z kilkoma ludźmi załogi. Grytta nie widział twarzy tych ludzi, słyszał tylko, że do jednego z nich Bulsani zwrócił się per „ojcze”. Do kogóż to prałat mógł zwracać się z aż takim szacunkiem? Ale nie to było najdziwniejsze. Najdziwniejszy był fakt, że na szacie tego człowieka Grytta dojrzał w krótkim blasku przyniesionej latarni wyhaftowanego, karmazynowego węża. Grytta nie miał pojęcia, co oznacza ten symbol. Ja miałem. Lonna również i dlatego właśnie aż tak się bała. Karmazynowym wężem pieczętował się stary i zdziwaczały kardynał Ingus Beldaria mieszkający w ponurym dworzyszczu jakieś dwadzieścia mil od Hez-hezronu. Kardynał słynął z zastanawiających upodobań, a jego wyczyny nawet bliscy mu dostojnicy Kościoła określali jako „godne ubolewania”. A prawda była taka, że Beldaria był zboczeńcem i okrutnikiem. Nawet w naszych dzikich czasach rzadko spotyka się kogoś aż tak zepsutego. Mówiono, że brał kąpiele w krwi nie ochrzczonych dzieci, w lochach zgromadził zadziwiającą kolekcję nadzwyczaj interesujących narzędzi, a kiedy łapały go ataki migreny, co zdarzało się aż nazbyt często, jego ból koiły tylko jęki torturowanych. Przy tym wszystkim kardynał był przemiłym staruszkiem, z siwą, trzęsącą się bródką i lekko wyłupiastymi, błękitnymi jak wyprany chaber, oczami. Miałem zaszczyt ucałować kiedyś jego dłoń w czasie zbiorowej audiencji (wiele lat temu, kiedy przyjmował jeszcze na audiencjach) i zapamiętałem jego dobrotliwy uśmiech. Niektórzy twierdzili, że kardynała strzeże wyjątkowo potężny Anioł Stróż o gustach podobnych do gustów swego podopiecznego. Ale, jak się zapewne domyślacie, nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, aby pytać o podobne sprawy mojego Anioła Stróża. Bo a nuż uznałby za dobry dowcip lub dobrą nauczkę przedstawić mnie opiekunowi kardynała? Jeśli ten opiekun rzeczywiście istniał, a nie był tylko wymysłem zabobonnych dworzan.

W każdym razie, skoro Bulsani służył kardynałowi Beldarii, równie dobrze mogłem spokojnie wrócić do zacnego Hilgferarfa i obwieścić mu smutną nowinę, iż jego pieniądze przepadły raz na zawsze. W ten sposób miałbym czyste sumienie, zaliczkę w kieszeni i czas oraz pieniądze na szukanie przeklętych heretyków, czego żądał ode mnie Jego Ekscelencja biskup Hez-hezronu. Podziękowałem Grytcie za relację, nie dając nawet drgnieniem powieki do zrozumienia, co z niej wywnioskowałem. Znowu zostałem sam z Lonną i znowu osuszyłem do dna kieliszek. Rzadko się upijałem, a z całą pewnością nie mogłem upić się właśnie dzisiaj. Zresztą nie było takiej obawy, to słabe winko nawet nie mogło zakręcić mi w głowie.

— Dziękuję, Lonna — powiedziałem — nie pożałujesz tego.

— Już żałuję — odmruknęła. — Zawsze marzyłam o spokoju, Mordimer. O wytwornej klienteli, ładnej posesji i wesołych dziewczynkach. A co mam zamiast tego? Inkwizytora, który przesłuchuje mnie we własnym domu, i prałata zamieszanego w konszachty z samym diabłem.

Przypomniałem sobie, że faktycznie kardynała Beldarię nazywano Diabłem z Gomollo, od nazwy rodowej siedziby. Zresztą nazywanie go diabłem nie miało specjalnego sensu, bo kardynał co najwyżej był złośliwym gnomem, a do diabła było mu tak daleko, jak mnie do anioła. Ale wiadomo, że pospólstwo lubi mocne efekty. Oczywiście, wcale nie oznaczało to, iż kardynał nie był niebezpieczny. Wręcz bardzo niebezpieczny, jeśli ktoś próbowałby mu wejść w drogę. Swoją drogą, ciekawe, czemu Kościół tolerował tego świątobliwego staruszka? Dlaczego miał on tak mocne plecy? Wielu dostojników za mniejsze grzeszki lądowało na klasztornym dożywociu, zwykle w solidnie zamurowanej celi i pod czujnym okiem straży. Albo po prostu podawano im wino, po którym umierali na katar kiszek.

Zresztą, wszystko to było nieważne. Nie do mnie należało ocenianie słuszności postępowania Kościoła wobec grzeszników. Ja — Mordimer Madderdin — byłem karzącą dłonią Kościoła, a nie jego mózgiem. I całe szczęście. A że przy okazji mogłem połączyć przyjemne z pożytecznym i służąc Kościołowi, służyć również samemu sobie, było tylko dodatkowym powodem, dla którego szanowałem pracę. Nie mówiąc już o tym, że bycie inkwizytorem i bycie byłym inkwizytorem różni się mniej więcej tak samo, jak życie różni się od śmierci.

— Dobrze, Lonna — wstałem z fotela, chociaż siedziało się na nim wyjątkowo wygodnie. — Dla własnego dobra trzymaj buzię na kłódkę — położyłem palec na jej ustach.

Próbowała szarpnąć głową w tył, ale przytrzymałem ją za włosy lewą dłonią. Stała pochylona, z odgiętą do tyłu głową i głośno posapywała. Ale nie próbowała się wyrywać. Przejechałem opuszkiem wskazującego palca po jej pełnych wargach.

— Będziesz grzeczną dziewczynką — powiedziałem — bo widzisz, Lonna, jeśli kiedykolwiek dowiedziałbym się, że ktoś szepnął na mieście, iż Mordimer Madderdin szuka prałata Bulsaniego, wtedy mógłbym do ciebie wrócić, perełko — uśmiechnąłem się łagodnie. — A wiesz kogo przyprowadziłbym ze sobą? — nie czekałem na odpowiedź, zresztą Lonna była zbyt przestraszona, żeby coś z siebie wykrztusić. — Przyprowadziłbym mojego przyjaciela, Kostucha, który zwierzył mi się niegdyś, że bardzo wpadła mu w oko pewna cycata właścicielka burdelu. I bardzo chętnie by z nią pobaraszkował godzinkę lub dwie. A wierz mi, perełko, że po takim doświadczeniu nie byłabyś już tą samą dziewczynką, co dawniej.

Puściłem ją i pozwoliłem, żeby opadła na fotel.

— Nie musisz mi grozić, Mordimer — powiedziała cicho i widziałem, że drżą jej dłonie.

— Nie, nie muszę — zgodziłem się — i nawet wcale tego nie lubię. Ale wiem, że to bardzo ułatwia życie. Do widzenia, Lonna. Jeśli będę w mieście, wpadnę wieczorem i obrobię dla ciebie tego szulera.

Nie odezwała się już, więc wyszedłem. Grytta otworzył bramę.

— Serdecznie zapraszamy, panie Madderdin — powiedział, ale tym razem postanowiłem nie dawać mu już napiwku. Co za dużo, to niezdrowo.

Po raz drugi tego dnia czekał mnie uroczy spacerek w stronę spichlerzy. Cóż, należało powiadomić Hilgferarfa, że może położyć krzyżyk na swoich pieniądzach. Szkoda, bo cztery i pół tysiąca dukatów to piękny majątek. Za takie pieniądze można zabić, chociaż znałem i takich, co zabijali dla pary dobrych, skórzanych butów albo manierki z gorzałką. Taaak, życie w Hez-hezronie nie było cennym towarem i ci, co potrafili je długo zachować, mieli czym się chlubić. Hilgferarf nadal był w biurze i kiedy mnie zobaczył, uniósł wysoko brwi.

— Pan Madderdin — rzekł — jakieś nowe wieści?

Opowiedziałem mu wszystko, co usłyszałem od Lonny, rzecz jasna, nie ujawniając źródła informacji. Podejrzewam jednak, że nie był na tyle głupi, aby się nie domyślić. W miarę jak mówiłem, widziałem, że jego oczy ciemnieją. Cóż, żegnał się właśnie z czteroma i pół tysiącami dukatów. To musiało boleć. Kiedy skończyłem, wyciągnął omszałą buteleczkę wina i rozlał nam do małych pucharków. Spróbowałem. Znakomity gust miał ten były doker. Powiedziałem mu to i podziękował skinieniem.

— Co pan teraz zamierza? — zapytał.

— Cóż ja mogę zamierzać? — odparłem pytaniem. — Sądzę, że na tym kończy się moje zadanie.

— Porozmawiajmy jednak — rzekł uprzejmie. — Prałat Bulsani pracuje dla Diabła z Gomollo. A obaj wiemy, że kardynał ma ogromny majątek. Czy możemy więc domniemywać, że Bulsani nie uszczuplił jeszcze swoich zapasów gotówki, a może nawet je powiększył?

Mój Boże — pomyślałem — „możemy więc domniemywać” mówił ten były doker. Czyżby brał lekcje manier oraz wymowy? A może był szlacheckim bękartem, podrzuconym do doków, przez wyrodną matkę?

— Może tak, może nie — odparłem. — Sześć dziewic z południa mogło go kosztować koło czterech tysięcy, trzysta w tą albo w tamtą, w zależności od tego, czy były naprawdę bardzo piękne, jak się targował oraz jak bardzo ich potrzebował. Ale ja podejrzewam, że te dziewczyny mają być prezentem dla Beldarii, a to oznacza, że prałat wydał swoje, a nie cudze pieniądze. No, oczywiście jeśli w ogóle można powiedzieć, że kiedykolwiek te pieniądze były jego.

— Taaak — Hilgferarf zastukał knykciami w blat stołu. — Co ten idiota może chcieć od Diabła?

— Tak daleko moja domyślność już nie sięga — wzruszyłem ramionami — ale sądzę też, że lepiej się tym nie interesować.

— Być może, być może — Hilgferarf pokiwał głową w zamyśleniu, a jego zamyślenie wyjątkowo mi się nie podobało. — No dobrze — dodał żywym już głosem, jakby ocknął się z jakiegoś półsnu. — Madderdin, chcę, żeby pan udał się do Gomollo, sprawdził, czy jest tam Bulsani, i przywlókł go do mnie. Rzecz jasna żywego.

— A „stoliczku nakryj się” nie chce pan? — spytałem nawet bez cienia ironii w głosie — albo kijów samobijów?

— Bardzo zabawne — spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem.

Wyraźnie był nieprzyzwyczajony, aby odpowiadano mu w ten sposób. Ale za to ja byłem przyzwyczajony, że próbowano mi zlecać różne idiotyczne zadania. Ku własnemu ubolewaniu część z nich zresztą przyjmowałem. I tylko niezwykłemu szczęściu, a może czujnej opiece Anioła Stróża, zawdzięczałem fakt, iż moja głupota do tej pory mnie nie zabiła.

— Nie pomyślał pan, Madderdin, że pańscy ludzie mogą być w Gomollo? Albo przynajmniej zmierzać w tamtą stronę?

— Nie — odparłem szczerze — bardzo wątpię, by odkryli to, co ja.

Ale w chwili, kiedy wypowiadałem te słowa, sam zacząłem się zastanawiać. Faktem było, że Kostuch i bliźniacy zniknęli z miasta. Oczywiście nie sprawdziłem jeszcze wszystkich możliwości, czyli w zasadzie jednej. Nie poszedłem do burgrabiego i nie zapytałem, czy właśnie ich nie przymknął za jakieś rozróby. Gdyby mieli pieniądze, siedzieliby zapewne w burdelu i to tak długo, póki nie skończyłaby im się gotówka. Ale nie mieli pieniędzy i mieli zadanie, którego wykonania się podjęli. Nie sądziłem, by postanowili wyślizgać Hilgferarfa. To nie było w ich stylu. Pies nie sra tam, gdzie je — mówiło stare przykazanie, a oni za dobrze zdawali sobie sprawę, ile można zarobić w Hez-hezronie. I jak szybko traciło się tu reputację. A reputacja była wszystkim, co posiadaliśmy.

Jednak wyprawa do Gomollo w celu ratowania Kostucha i bliźniaków nie wydawała mi się szczególnie atrakcyjna. Widzicie, nie jesteśmy przyjaciółmi oddanymi sobie na śmierć i życie, dzielącymi się ostatnim okruchem chleba i wspominającymi przy kominku oraz grzanym piwie wzajemne przysługi. Takie związki istnieją tylko w pięknych legendach o paladynach i ich wiernych kompanach. A życie jest nieco bardziej skomplikowane. Owszem, jest nam wygodnie podejmować się razem pewnych zleceń i tworzymy zgraną drużynę. Zgraną, bo chłopcy wiedzą, kogo słuchać. Ale tym razem wzięli się za sprawy, które ich przerosły. I będą musieli za to zapłacić.

Pewnie, że wizja Kostucha i bliźniaków w lochach Gomollo nie budziła mojej radości, ale nie widziałem powodu, by ryzykować dla nich reputację, koncesję, a tym bardziej życie. Byłem pewien, że kardynał nie zawahałby się zabawić w swych kazamatach z inkwizytorem i uznałby to za miłą rozrywkę po znojach dnia codziennego. Z drugiej strony patrząc, wiedziałem jednak, że trudno mi będzie zebrać podobną grupę. W końcu nie wszystkich zadań mogłem podejmować się sam. Mordimer Madderdin był od myślenia, przyjmowania zleceń i targowania się o honoraria, ale trudno znaleźć kogoś, kto lepiej władałby szablą od Kostucha, a niesamowite zdolności bliźniaków zadziwiały nawet mojego Anioła Stróża. Poza tym znaliśmy się tak długo, iż czasami mogliśmy porozumiewać się bez słów. Podrapałem się więc po brodzie, gdyż stanąłem, jak to się ładnie mówi, przed dylematem. Hilgferarf najwyraźniej postanowił pomóc mi w rozwiązaniu go.

— Jestem w stanie zainwestować jeszcze trochę gotówki — powiedział ostrożnym tonem. — Byłoby źle, gdyby moi dłużnicy wiedzieli, że naciągnięcie mnie na pięć tysięcy uchodzi płazem. W końcu, tak naprawdę, dla nas wszystkich najcenniejsza jest reputacja.

Powiedział to, jakby czytał w moich myślach. Faktycznie, dłużnicy są drogocennym towarem i nie należy dopuszczać, by uległ on zniszczeniu. Chyba, że jest się człowiekiem w gorącej wodzie kąpanym lub chce się dać nauczkę innym, spragnionym łatwego zysku. Znałem niegdyś pewnego lichwiarza, który swym niewypłacalnym dłużnikom kazał obcinać palce, zaczynając od najmniejszego u lewej dłoni. Nie macie nawet pojęcia, jak bardzo obcięcie palca zwiększa u człowieka możliwości zarobkowania oraz oddawania długów.

— No, nie wiem — powiedziałem równie ostrożnym tonem, jak on. — Cała ta sprawa cuchnie na wiele mil. A ja od tego smrodu wolałbym się znajdować jak najdalej.

Pokiwał głową.

— W zasadzie ma pan rację — powiedział uprzejmie — ale tak, jak mówię, jestem zdecydowany, aby dopaść Bulsaniego. Oferuję panu trzy tysiące koron, jeśli odzyska pan pieniądze lub przyniesie mi tu prałata w worku, albo tysiąc koron, jeśli uzna pan, że dług jest nie do odzyskania. Ale wtedy w worku chcę mieć głowę Bulsaniego.

Niełatwo mnie zaskoczyć, ale jemu się udało. Dla kogoś, kto miałby kłopoty z zapłaceniem za następny nocleg, trzy tysiące koron było królewskim majątkiem. Swoją drogą, niewielu znałem, którzy nawet za taką sumę zechcieliby się narażać Diabłu z Gomollo. Czy Hilgferarf aż tak bardzo chciał dopaść oszusta? Czy naprawdę zależało mu tylko na reputacji? Jasne, że lepiej zapłacić trzy tysiące za odzyskanie pięciu niż położyć kreskę na całej sumie. Ale jednak ta zawziętość była aż dziwna. Przecież w razie niepowodzenia Hilgferarf ryzykował być może nawet życie, jeśli kardynałowi chciałoby się wyciągać łapska tak daleko i jeśli rzeczywiście związany był jakoś z Bulsanim. Co nadal pozostawało w sferze przypuszczeń. Przynajmniej dla mnie.

— Zgoda — powiedziałem, myśląc z niechęcią o mojej własnej chciwości.

Chociaż wiedziałem też dobrze, że nie tylko chciwość wchodzi tu w grę. Dawno już nie miałem okazji zmierzyć się z prawdziwym przeciwnikiem, a Diabeł z Gomollo takim właśnie przeciwnikiem był. Uosabiał całe zło, cały brud naszego świata, ale jednocześnie nie można było odmówić mu sprytu. Ani potęgi. Ani bogactwa. Oto prawdziwe wyzwanie. Możny kardynał, otoczony gronem sług i żołnierzy, a naprzeciwko niego samotny Mordimer Madderdin — ręka sprawiedliwości i miecz opatrzności. Wzruszyłbym się, gdybym potrafił się wzruszać.

— A więc dobrze, panie Madderdin. — Oczy Hilgferarfa pojaśniały. — Proszę powiedzieć, co jest panu potrzebne...

Zastanowiłem się. Dobrego konia kupię u Rufasa na przedmieściu, a nic poza tym nie potrzebowałem. Może tylko wiele szczęścia, ale je rzadko można kupić za pieniądze.

###### \* \* \*

Droga z Hez-hezronu do Gomollo prowadziła przez spokojne miasteczka i wioski. Zielone pola, wzgórza porośnięte winoroślami, chałupki ze spadzistymi dachami, rzeczułki szemrzące wśród zarośli. Co za sielski widoczek! Ale nie powiem, by po brudach i smrodzie Hez-hezronu nie była to miła odmiana. Zatrzymałem się po południu w dużej karczmie na rozstaju traktów, zaraz niedaleko brodu. Budynek był dwupiętrowy, porządnie obmurowany, a obok stała ogromna stajnia. Właściciel musiał mieć niezłe dochody. Cóż, niektórzy umieją sobie dobrze radzić. Inni, jak wasz uniżony sługa, mogą jedynie marzyć o spokojnym życiu w dostatku i bezpieczeństwie, o wieczorach przy kielichu grzanego wina i cycatej żonce pod kołderką. Roześmiałem się do własnych myśli. Z całą pewnością nie zamieniłbym się z nikim innym. Bycie inkwizytorem to ciężki chleb, ale też zaszczyt i odpowiedzialność. Niedoceniany zaszczyt i kiepsko płatna odpowiedzialność. Cóż... życie nie jest doskonałe.

Nie zamierzałem ujawniać kim jestem, ale koń i uprząż były na tyle dobrej jakości, że oberżysta dał mi osobny pokój — maleńką klitkę bez okien, schowaną pod samym dachem. Lepsze to jednak niż tłoczyć się we wspólnej izbie, a to zdarzało się nawet hrabiom i lordom, kiedy w cenie było nie tyle łóżko, ile snopek słomy. Zszedłem do izby jadalnej, wielkiej, zadymionej i zastawionej stołami o ciężkich blatach. Oberżysta nie zaproponował mi osobnego stołu, a ja nie zamierzałem się wykłócać. Czasem dobrze posiedzieć wśród ludzi, nawet jak są to pijani kupcy wracający do Hez-hezronu i opowiadający, kogo udało im się oszukać i jakież piękne dziewczęta wydupczyli w czasie podróży. Gdyby wierzyć każdemu ich słowu, trzeba by uznać, że największą potencję na świecie mają właśnie kupcy, którym udało się opuścić rodzinne gniazdko. Wypada się tylko zastanawiać, co w tym czasie robiły ich żony.

Zamówiłem gorzkie, ciemne piwo i miskę kaszy ze zrazami. Pożartowałem przez chwilę z dwoma kupcami z zadowoleniem opowiadającymi o udanych interesach i poszedłem do siebie, na górę. Noc przespałem razem ze stadem wszy i pluskwami wciąż spadającymi z sufitu. Ale przynajmniej był tu sufit, bo lepiej, gdy spadają ci na głowę pluskwy niż deszcz, czy śnieg. Wstałem równo ze świtem, gdyż wiedziałem, że wtedy będę mógł w miarę spokojnie porozmawiać z oberżystą albo którąś z dziewek, czy stajennych chłopców. Kostuch i bliźniacy nie są ludźmi, których widoku szybko się zapomina, i miałem nadzieję, że jeśli tu byli, to ktoś podzieli się ze mną wiadomościami na ich temat.

Oberżysta stał przy ladzie i nalewał z beczki piwo do okrągłobrzuchych dzbanów. Dziewki kuchenne już krzątały się wokół, z zewnątrz słychać było gwar i rżenie koni. Cóż, życie budziło się wcześnie.

— Szukam pewnych ludzi — powiedziałem i potoczyłem w jego stronę trójgroszaka. Moneta zakręciła się wokół własnej osi i wpadła wprost w jego rozwartą dłoń.

— Różni tu bywają — mruknął.

— Tych nietrudno zauważyć. Bliźniacy i ogromny facet z...

— Ten przystojniaczek — wzdrygnął się karczmarz. — Byli i owszem. Pochlali się, zarzygali stół, rozwalili jednemu z kupców łeb kuflem i pojechali z samego rana.

— Dokąd?

— A kto ich tam wie?

Potoczyłem w jego stronę następną monetę, którą złapał tak samo zręcznie jak poprzednią. Rozejrzał się wokół, czy nikt nie słucha naszej rozmowy.

— To jest warte dukata — rzekł — żółciutkiego, złotego dukata z portretem miłościwie panującego — dodał z chytrym uśmieszkiem.

Nie musiał mówić więcej. Nie miałem zamiaru marnować dukata, skoro wiedziałem już, że pojechali do Gomollo. Zresztą, gdzie indziej mogliby się udać w poszukiwaniu Bulsaniego?

— Szkoda, że nie mam zbędnego dukata — powiedziałem i odszedłem, nie słuchając już, jak karczmarz próbuje obniżyć cenę.

I co miałem robić teraz, kiedy moje przypuszczenia okazały się prawdziwe? Zapukać do bram pałacu Diabła i zapytać o zagubionych przyjaciół? Czy też wedrzeć się, mordując jego straż przyboczną, wyzwalając bliźniaków i Kostucha z lochów? Być może, gdybym był paladynem z dawnych dni i miał zastęp rycerzy, mógłbym pokusić się o zdobycie Gomollo. Ale byłem sam, z nic nie wartą w domu kardynała koncesją inkwizytora. I tak to właśnie jest, biedny Mordimerze — pomyślałem sobie — dlaczego wciąż musisz narażać życie dla innych?

Jednak przeznaczenie zadecydowało za mnie. To nie ja musiałem stukać do bram pałacu Gomollo. To kardynał odnalazł mnie. Jechałem dróżką prowadzącą wśród rzadkiego, sosnowego lasu. Spokojnie, stępa, bo nigdzie mi się nie spieszyło. I kiedy wyjechałem na niewielką polanę, zobaczyłem przed sobą trzech konnych. Nie musiałem się odwracać, by wiedzieć, że następni trzej pojawili się za moimi plecami. To nie byli zwykli rabusie. Rabusie tak blisko od Hez-hezronu zwykle ozdabiali krzyże i szubienice, a nie spotykało ich się w środku dnia na leśnym trakcie. O co jak o co, ale o bezpieczeństwo nasz zacny biskup umiał zadbać. W końcu rabusie psuliby interesy, a Gersard o stan swojej sakiewki dbał, jak nikt inny. Poza tym zwykli opryszkowie nie mieliby dobrych koni, dobrej broni i karmazynowych węży wyhaftowanych na płaszczach.

Jeden z mężczyzn oderwał się od kompanów i podjechał w moją stronę.

— Inkwizytorze Madderdin — powiedział oficjalnym tonem. — Jego Eminencja, kardynał Beldaria, zaprasza.

— Zaprasza — powtórzyłem bez ironii.

Za plecami miałem jeszcze trzech jeźdźców, słyszałem parskanie ich wierzchowców i czułem ostrą woń końskiego potu. Być może powinienem ich zabić albo spróbować ucieczki. Ale ludzi kardynała było sześciu, mieli dobre, wypoczęte konie i założę się, że co najmniej dwóch z nich trzymało pod płaszczami kusze. Zastanawiałem się jednak, czy nie lepiej zginąć tu i teraz, niż trafić do kardynalskich lochów? Ale człowiek ma taką dziwną przywarę, iż czepia się życia nawet w najbardziej beznadziejnych sytuacjach. Nie chciałem jeszcze umierać i miałem nadzieję, że uda mi się uratować skórę. Czy mogłem dać radę tym sześciu żołnierzom? Być może. Na piechotę i w zamkniętym pomieszczeniu nie zawahałbym się stanąć do walki. Ale tutaj byłem bez szans. Jeśli nie dosięgnąłby mnie miecz któregoś z nich, na pewno zrobiłyby to groty bełtów. Poza tym mieli lepsze wierzchowce niż mój, a nie mogłem też zapominać, że zacny kardynał z całą pewnością nie brał na służbę byle kogo. Nie pozostawało nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry.

— Z radością skorzystam z zaproszenia — powiedziałem, wywołując uśmiech na twarz.

Aż do Gomollo eskortowali mnie bardzo uważnie. Dwóch po bokach, dwóch z przodu i dwóch z tyłu. Musiano im powiedzieć, że potrafię sobie radzić w trudnych sytuacjach, bo nawet na chwilę nie spuścili ze mnie oczu. Próbowałem pogawędzić z dowodzącym jeźdźcem, ale nie raczył się nawet odezwać. I słusznie. Niebezpiecznie wdawać się w dyskusje z inkwizytorem.

###### \* \* \*

Pałac Gomollo stał na malowniczym wzgórzu, a jego wieże odbijały się w błękitnym lustrze jeziora leżącego u stóp wzniesienia. Do pałacu prowadziła jedna droga, przez wysoką, kutą w żelazie bramę, zakończoną, tak jak i całe ogrodzenie, ostrymi szpikulcami. Zbyteczna ostrożność, jak sądzę, bo znając sławę Diabła z Gomollo, niewielu zapewne chciałoby tu wejść bez zaproszenia. A niektórzy, jak wasz uniżony sługa, bardzo niechętnie wkraczali tutaj również, dysponując osobistym zaproszeniem kardynała.

Na rozległym podjeździe stało kilka karoc i krzątała się służba w czerwonej liberii. A na schodach prowadzących do pałacu stał nie kto inny, jak szacowny prałat Bulsani. Kiedy zobaczył mnie eskortowanego przez jeźdźców, jego pucułowata twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

— Ach, więc pragniesz dołączyć do swych przyjaciół — krzyknął bardzo zadowolony z siebie. — Jak tam się czujesz, Mordimer, biskupi piesku? Będzie ci cieplutko, wiesz?

Zeskoczyłem z konia i zbliżyłem się do prałata. Czułem, jak za moimi plecami żołnierze, zupełnie już jawnie, wyciągają kusze spod płaszczy. Ale skoro dowiozłem całą skórę aż tutaj, nie zamierzałem jej bez celu narażać. Skinąłem więc tylko prałatowi uprzejmie głową.

— Nie mam nic do pana, Bulsani — powiedziałem — oprócz dwóch rzeczy. Po pierwsze, pięć tysięcy dukatów dla Hilgferarfa, po drugie, niech pan każe wypuścić moich ludzi. Potem grzecznie się pożegnamy, a pan w każdej chwili może bezpiecznie wrócić do Hezu.

— Ach, jej! — z udawanym przerażeniem krzyknął Bulsani. — Bo jak nie, to co? Każesz mnie aresztować, inkwizytorze? Błagam: nie!

Dworzanie i żołnierze słuchający tej rozmowy śmiali się w kułak.

— Dość tych żartów. — Twarz prałata nagle spochmurniała. — Wszyscy, wynocha! Zostawcie go ze mną samego.

Nalał sobie wina z butelki, którą miał ze sobą, i wychylił kielich jednym łykiem. No cóż, nie ma to jak trening.

— Madderdin, po coś ty się w to wplątał, człowieku? — zbliżył się i zapytał wprost w moje ucho.

Czułem silny zapach pachnideł o kadzidlanym aromacie. Nawet niezłych, choć zbyt kobiecych, jak na mój gust.

— Jestem inkwizytorem — odparłem spokojnie — i to jest moja praca.

Patrzył na mnie, nie rozumiejąc.

— Praca? — zapytał. — Jaka, u Boga Ojca, praca?

— Ścigam heretyków, dostojny prałacie — powiedziałem z ironią. — Na tym zwykle polega praca inkwizytora. Tajemne obrządki, sekty, poświęcanie dziewic...

— Dziewic? — nagle wybuchnął śmiechem. — Madderdin, ty idioto! To dlatego tu się pojawiłeś? Po śladach tych sześciu dziewic z południa? Że niby one są przeznaczone na jakieś tajemne rytuały? Chłopcze, te kobiety mają umilić noce sześciu kardynałom, którzy zjadą jutro. Sześciu starym idiotom, których są już w stanie podniecić tylko młodość, smagłe ciałko i niewinność. Sześciu prykom, którzy z naszym przyjacielem Beldarią spiskują, jak pozbawić władzy biskupa Hez-hezronu. Tu nie ma żadnej herezji, Madderdin, to tylko polityka!

Słowa Bulsaniego uderzyły we mnie jak obuchem. A więc podążałem złym tropem. To nie tu była siedziba Kościoła Czarnego Przemienienia, to nie tu oddawano się herezjom, nie tu profanowano święte relikwie. Mogłem tylko napluć sobie w brodę, bo nie pozostawało mi nic innego. W takiej sytuacji nie miałem co liczyć na pomoc mojego Anioła Stróża. Być może, jeśli byłby w dobrym nastroju, wspomógłby mnie swą siłą w walce przeciw herezji. Ale nie teraz. Jeśli Mordimer zawiódł, poszukam sobie innego inkwizytora — tak zapewne myślał mój Anioł. I miał rację. Na świecie nie ma miejsca dla tych, którzy popełniają błędy.

Cóż, mimo wszystko próbowałem. Może jednak nie chciałem przyznać nawet przed samym sobą, że do złowrogiego pałacu Gomollo przywiodła mnie troska o Kostucha i bliźniaków? Nie szukanie Kościoła Czarnego Przemienienia ani perspektywa zarobku u Hilgferarfa, a po prostu zwykła przyjacielska troska? A może tylko teraz, wiedząc, iż śmierć jest już bardzo blisko, starałem się znaleźć szlachetne motywy swego postępowania?

###### \* \* \*

Kardynał wyglądał tak, jak go zapamiętałem z audiencji. Był wątłym staruszkiem o miłym uśmiechu, wygolonych policzkach i siwej, koźlej bródce. Jego twarz przypominała pieczone jabłuszko o lekko spękanej skórce.

— Mordimer Madderdin — powiedział cicho. — Co za wizyta, inkwizytorze! Spotkaliśmy się — zastanowił się przez chwilę i przeczesał palcami bródkę — szesnaście lat temu na audiencji w Hez-hezronie. Miałeś chyba wtedy zaszczyt ucałować moją dłoń.

— Wasza Eminencja ma znakomitą pamięć — powiedziałem, skłoniwszy się lekko. Łańcuch, którym owinęli mi kostki, zabrzęczał.

— Cóż cię sprowadza do mojego domu, Madderdin? — zapytał z figlarnym uśmieszkiem. — Nieodparta pokusa zwiedzenia lochów Gomollo? Przekonanie się, czy wszystkie te bajędy na temat kardynała-diabła są prawdą?

— Ośmieliłem się niepokoić Waszą Eminencję z innego powodu — zacząłem — i jeśli Wasza Eminencja pozwoli, to mogę go wyłuszczyć...

— Nie, Mordimer. — Machnął dłonią. — Ta rozmowa już mnie znużyła. Poświęcę ci chwilę albo dwie jutro wieczorem. Wyjaśnisz mi działanie pewnych narzędzi. To może być bardzo interesujące, jeśli skazany sam będzie opisywał skutki działania narzędzi na swym ciele. — Pstryknął palcami. — Tak, tak, tak, to znakomity pomysł! — Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

Przeszedł mnie dreszcz.

— Ośmielę się przypomnieć Waszej Eminencji, że jestem inkwizytorem biskupa Hez-hezronu i działam na podstawie legalnej koncesji wydanej przez władze Kościoła i podpisanej przez Jego Świątobliwość.

Gomollo spojrzał na mnie wyraźnie zmartwiony.

— Twoja koncesja zaginęła, Mordimer — powiedział. — Zresztą mnie nie dotyczą takie rzeczy.

Wiedziałem, że została mi jedna, jedyna szansa ratunku. Ulotna, nieprawdopodobna, ale jednak jakaś szansa. Ten człowiek był chory, bo przekonany o własnej sile i o tym, że przed nikim nie odpowiada. A jednak to nie była prawda. Nikt nie jest bezkarny.

— Licencja inkwizytora zostaje przyznana przez Ojca Świętego na wniosek biskupa — powiedziałem i modliłem się, żebym zdążył dokończyć zdanie, zanim każą mnie wrzucić do lochów. — Lecz decyzja biskupa jest emanacją woli Aniołów, a co za tym idzie, Pana Boga naszego Wszechmogącego. Nie możesz mnie skrzywdzić, kardynale Gomollo, i nie sprzeciwić się w ten sposób woli Aniołów!

Kardynał spurpurowiał tak, że myślałem, iż krew tryśnie mu wszystkimi porami twarzy. Chyba nikt nigdy nie przemawiał do niego w ten sposób. Świta stała oniemiała i myślę, że zastanawiali się nad tym, jakież to sprytne sztuczki zostaną zastosowane na bezczelnym inkwizytorze.

— Sram na Aniołów! — zagrzmiał Gomollo, a jego wrzask załamał się w kogucim pieniu. — Do lochu z tym szubrawcem! Przygotujcie narzędzia! Zaraz! Natychmiast!

Na to właśnie liczyłem. Na nieostrożne i nieopatrzne słowa kardynała. Był stary, sklerotyczny i złamany atakami migren. Ale nawet on powinien wiedzieć i pamiętać, że nie wolno kpić z Aniołów. Poczułem charakterystyczne mrowienie w karku i dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Wszystkie lampy i świece w komnacie zgasły, jakby zdmuchnięte nagłym porywem wiatru. Ale w komnacie mimo to było jasno. Nawet jaśniej niż przedtem. Na jej środku stał mój Anioł Stróż. Potężny, biały, jaśniejący, ze skrzydłami sięgającymi powały i srebrzystym mieczem w marmurowej dłoni.

Wszyscy obecni padli na twarze. Tylko Gomollo stał, teraz blady jak kreda, i poruszał ustami, niczym świeżo wyrzucona na brzeg ryba.

— Mo... mo... mo... mo... — wybełkotał.

Mój Anioł Stróż przyglądał mu się z ponurym uśmiechem.

— Kardynale Beldaria — powiedział. — Nadszedł czas zapłaty.

Machnął lewą dłonią w powietrzu, a wtedy nagle, tuż obok niego, pojawili się Kostuch i bliźniacy. Oszołomieni i mrugający nie przyzwyczajonymi do światła oczami. Kostuch miał zakrwawioną bluzę, a Pierwszemu przez policzek biegła paskudna rana. Na moich nogach pękły ogniwa łańcuchów.

— Czynię ciebie, Mordimer, i twoich przyjaciół pełnomocnikami Inkwizycji w pałacu Gomollo i przyległych włościach. Niech tak się stanie w imieniu Aniołów! — Ostrzem miecza stuknął w podłogę, aż sypnęły się różnobarwne skry.

— Zawiadomię innych Aniołów — dodał już cichszym głosem. — Spodziewaj się jutro inkwizytorów z Hez-hezronu.

Świece i lampy zapłonęły pełnym blaskiem, a Anioła nie było już wśród nas. Tylko wypalone ślady jego stóp pozostały na drogocennym dywanie kardynała. Kostuch wrzasnął jak zarzynany, a w jego dłoni pojawiła się długa, zakrzywiona szabla. Podbiegł do najbliższego z dworzan kardynała i przyszpilił go ostrzem do podłogi.

— Kostuch! — ryknąłem. — Chodź tu, Kostuch!

Przez chwilę patrzył na mnie, nie rozumiejąc, ale w końcu jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. Uśmiechnięty wyglądał jeszcze paskudniej niż zwykle.

— Mordimer — powiedział z uczuciem — przyszedłeś po nas, Mordimer.

Podszedł i objął mnie. Odsunąłem się, bo śmierdział jak nieboskie stworzenie. Warunki w lochach kardynała nie sprzyjały jak widać higienie, a zresztą mycie i tak nie należało do ulubionych zajęć Kostucha.

Przebity dworzanin leżał na podłodze i rzęził. Wyrzygiwał z ust krwawą pianę. Patrzyłem na niego przez chwilę obojętnym wzrokiem. Na moment nasze oczy się spotkały i w jego spojrzeniu wyczytałem strach, niezrozumienie oraz potworną tęsknotę za uciekającym życiem. Ach, mili moi, przyzwyczaiłem się już do takich spojrzeń... Inni dworzanie powoli wstawali, zaczęły się jakieś szepty.

— Wszyscy pod ścianę — rozkazałem głośno.

Beldaria szarpnął się, jakby chciał chwycić mnie za kaftan. Lewą ręką przytrzymałem mu dłonie, a prawą zacząłem bić go po twarzy. Wolno, otwartą dłonią. Poczułem pod palcami krew i ostre okruszki zębów. Jego nos chrupnął i ustąpił pod uderzeniem. Kiedy puściłem, starzec padł na ziemię jak zakrwawiony łachman.

— Zabierzcie to ścierwo — rozkazałem służącym.

Prałat Bulsani drżał pod ścianą. Przytulał się do niej tak mocno, jakby chciał się stać częścią pokrywającego ją kobierca.

— Straciłeś ochotę na dowcipkowanie, ojcze? — zapytałem. — Szkoda, bo liczyłem na jakieś finezyjne żarciki i wymyślne aluzje. Nie powiesz czegoś, by mnie rozweselić?

Patrzył na mnie ze strachem i nienawiścią. Wiedział, że dla niego już wszystko się skończyło. Noce spędzane na kartach, popijaniu wina i obłapywaniu dziwek. Jego życie warte teraz było tyle, co plwocina na gorącym piasku.

Uśmiechnąłem się i podszedłem do bliźniaków. Uścisnęli mi dłonie z wzruszającym oddaniem.

— Wiedziałem, prawda, Mordimer, wiedziałem, że nas nie zostawisz — rzekł Pierwszy.

Było nas czterech w pałacu kardynała. A żołnierzy i dworzan co najmniej pięćdziesięciu. W samej tej dużej komnacie — kilkunastu. Jednak nikomu nie przyszłoby do głowy przeciwstawić się nam. A przecież mogli nas zabić... Albo przynajmniej próbować. Tymczasem każdy z tych ludzi miał złudną nadzieję ocalenia życia i chciał za nią zapłacić gorliwym posłuszeństwem. Każdy z nich błagał już w myślach tylko o to, by nie znaleźć się w piwnicach Inkwizytorium. Lecz wierzcie mi, że wszyscy, którzy przeżyją wieczór, znajdą się w nich nadspodziewanie prędko. Ofiarujemy im tam łaskę pocieszającej rozmowy i wyznania wszystkich win. Zaś to, czy ich życie zakończy się w moczu, kale, krwi i przeraźliwym bólu będzie zależeć tylko od nich samych i ich chęci zrozumienia oraz odkupienia grzechów. Jeśli będą wystarczająco rozumni i pokorni, być może umrą ścięci, a na stosie spłoną ich bezgłowe ciała. Jeśli nie, zostaną upieczeni na wolnym ogniu, na oczach wyjącej z uciechy gawiedzi, otoczeni smrodem własnego, palonego tłuszczu.

Wyszedłem na korytarz. W ciemnej wnęce stał mój Anioł. Teraz przybrał postać niepozornego człowieczka w ciemnym płaszczu. Ale to był mój Anioł. Nigdy nie pomylisz się, kiedy masz szczęście lub pecha ujrzeć swego Anioła Stróża, niezależnie od tego, jak zażyczy sobie wyglądać.

— Jestem z ciebie zadowolony, Mordimer — powiedział. — Zrobiłeś, co do ciebie należało.

— Na chwałę Pana — odrzekłem, bo co innego mogłem powiedzieć.

— Tak, na chwałę Pana — powtórzył z jakąś dziwną i zaskakującą goryczą w głosie. — Czy wiesz, Mordimer, że w oczach Boga wszyscy jesteśmy winni, niezależnie od naszych uczynków?... — Spojrzałem w jego źrenice, a one były jak jeziora wypełnione ciemnością. Wzdrygnąłem się i odwróciłem wzrok —... Pytaniem jest tylko wymiar i czas kary. Kary, która nieuchronnie nadejdzie.

— Dlaczego więc myślimy o tym, by mu się przypodobać? — ośmieliłem się zadać pytanie.

— A czy dziecko na plaży nie buduje murów z piasku, które mają powstrzymać przypływ? I czy, kiedy jego budowle znikną już pod falami, na drugi dzień nie stara się zbudować murów jeszcze potężniejszych, chociaż w głębi duszy dobrze wie, że nic to nie da? — Położył dłoń na moim ramieniu, a ja poczułem, że uginam się pod jej ciężarem.

— Ty, Mordimer, wypełnisz wszystko, co ma się wypełnić — powiedział. — Jutro przybędą tu spiskujący kardynałowie i jutro pojawią się inkwizytorzy.

— A więc nie ma Kościoła Czarnego Przemienienia?

— Któż wie, co oznacza słowo „jest”? — zapytał Anioł. — I którego z bytów dotyczy? — zawiesił głos. — Świat jest pełen tajemnic, Mordimer — ciągnął dalej łagodnym tonem. — Czy wiesz, iż istnieją takie elementy materii, których istnienie tylko przeczuwamy, gdyż obserwacja powoduje ich zniszczenie? Kto może więc odpowiedzieć na pytanie, czy one są i dla kogą są?

Czekałem, myśląc, że powie coś jeszcze, ale Anioł wyraźnie już skończył. I tak dziwiłem się, że raczył pozostawać ze mną tak długo.

— Co mam więc robić, mój panie? — zapytałem, choć lękałem się, aby nie rozsierdziła go moja niedomyślność.

— Mordimer, to, co masz zrobić, sam wiesz najlepiej — odparł i uśmiechnął się.

Tym razem nie próbowałem nawet zobaczyć jego oczu, bo nie chciałem, aby otchłań, która w nich była, spojrzała we mnie.

## Epilog

Ta historia zaczęła się w Hez-hezronie i tam właśnie musiała się zakończyć. Do domu Lonny weszliśmy wczesnym rankiem. Ja, Kostuch, bliźniacy i trzech inkwizytorów w ciemnych płaszczach. Kiedy nas zobaczyła, krew odbiegła jej z twarzy.

— Mordimer — powiedziała głuchym głosem.

— Mordimer Madderdin w imieniu Inkwizycji — rzekłem. — Twój dom, córko, zostanie poddany inspekcji.

— Ja nic nie zrobiłam — powiedziała z rozpaczą w głosie. — Wiesz o tym, Mordimer!

— Przynależność do Kościoła Czarnego Przemienienia, obmierzłej sekty heretyków, to twoim zdaniem nic? — zapytałem. — A skupowanie dziewic w celu poddawania ich świętokradczym obrządkom? Nie mówiąc już o sprofanowanych relikwiach i heretyckich amuletach, które znajdziemy w twoim domu.

— Powiedziałeś, że jeśli stoisz po jednej strony barykady, a kto inny po drugiej, to można podjąć tylko jedną słuszną decyzję. I ja stanęłam po twojej stronie, Mordimer! Pomogłam ci!

— Nic ci nie obiecywałem, Lonna — wzruszyłem ramionami. — Takie jest życie. Pełne niegodziwości. Zresztą sama o tym najlepiej wiesz. W końcu to ty, perełko, wydałaś mnie ludziom kardynała. Łatwo było myśleć, że uprzykrzony Madderdin nigdy nie opuści już Gomollo, prawda? Ale zapomniałaś o nieoczekiwanym, perełko. O tym, że Goliat nie zawsze zwycięża Dawida. W końcu Mądra Księga mówi: *„Albowiem Bóg jest sędzią. Tego poniża, a owego podwyższa”.*

Lonna patrzyła na mnie i milczała. Bardzo dobrze, bo nie było nic do powiedzenia.

Kostuch zbliżył się do mnie i widziałem jego wygłodniałe oczy.

— Mogę, Mordimer? — zapytał pokornie.

— Możesz, Kostuch, ale ona ma przeżyć — odparłem.

Był jak wdzięczny psiak, kiedy porywał ją, i bezwolną, zrozpaczoną i oniemiałą prowadził na górę, do komnat. Potem słyszeliśmy przez dłuższy czas jej krzyk, ale później ten krzyk umilkł. Kiedy inkwizytorzy ją zabierali, miała zakrwawione uda, porwaną suknię i pustkę w oczach.

W dwie godziny potem otoczyliśmy dom Hilgferarfa. Przyjął nas zimno, spokojnie, i tak, jak my, wiedział, że jest już martwy.

— Nie trzeba było mnie oszukiwać, panie Hilgferarf — powiedziałem. — Dziewice z południa miały być wspólnym prezentem pana i Bulsaniego dla Diabła z Gomollo i jego gości, prawda? Pan dawał gotówkę, a prałat dojście do kardynała. Ale Bulsani postanowił pana przechytrzyć, czyż nie tak, i wręczyć prezent tylko we własnym imieniu? Wynajął mnie pan, doskonale wiedząc, gdzie jest Bulsani. Co to miało być? Próba?

— Nie. Nie wiedziałem, że Bulsani kupił dziewczyny, dopóki mi pan o tym nie powiedział. Przypuszczałem tylko, że mógł to zrobić.

— Tak, tak, wysoko grał nasz prałat. Tak jak i pan — powiedziałem serdecznie.

— To prawda — rzekł Hilgferarf. — O co jestem oskarżony?

— O herezję, łamanie zasad świętej wiary, spisek, profanację relikwii, rytualne morderstwa, przynależność do sekt nie usankcjonowanych przez Kościół — powiedziałem — i o co pan jeszcze tylko chce.

— Dlaczego mi to pan robi, Madderdin?

— Aby układanka pasowała — rzekłem. — Kardynałowie i ladacznica, poważany kupiec i słynący z frywolnego życia prałat. Wszyscy są heretykami, a to oznaczy, że herezja może być wszędzie. Tu i tam. W domu twojego sąsiada i w kościele twojego proboszcza. Może nawet w głowie twojej żony. Trzeba było zajmować się handlem, panie Hilgferarf, a nie mieszać do polityki. I niech pan pomyśli, kto był pańskim wspólnikiem, bo takie pytania pan na pewno usłyszy. A wtedy trzeba będzie odpowiadać szybko i logicznie, jeśli nie chce pan cierpieć ponad miarę.

— Mam przyjaciół — powiedział blady, nie wierząc we własne słowa.

Skinąłem mu głową i przywołałem skinieniem inkwizytorów. Wyszedłem, kiedy zakładali mu kajdany. Był już przecież martwy, a martwi ludzie nie mają przyjaciół.

###### \* \* \*

Być może spytacie, co czuję, pozostawiając za sobą trupy? Co czuję, wiedząc, że sześciu kardynałów, Lonna, Hilgferarf, dworzanie i żołnierze kardynała Gomollo są martwi? Niektórzy zresztą jeszcze żyją. Ich serca biją ze strachu, ich gardła wydają okrzyki bólu, ich płuca duszą się w chrapliwym oddechu, ich mózgi starają się wymyślić historie, które zaspokoją ciekawość spokojnych ludzi w ciemnych płaszczach. Schodzę czasami tam, na dół. Do mrocznych piwnic, których ściany tętnią bólem i strachem. Widziałem Lonnę, widziałem Hilgferarfa i widziałem kardynałów. Pozbawieni godności i purpury wili się u stóp inkwizytorów, oskarżając samych siebie i swych towarzyszy. Nie odczuwam radości, ale nie odczuwam też smutku. Ci ludzie już teraz wierzą, że byli heretykami, spiskującymi przeciw Kościołowi i świętym zasadom naszej religii. A jeśli uwierzyli we własną zdradę, to znaczy, że ta zdrada była zawsze w głębi ich serc. Bo człowiek uczciwy nigdy nie straci zaufania do własnej prawości.

Jedyne, kogo mi żal, to sześciu dziewic z południa. Kazałem zabić je Kostuchowi i bliźniakom, a ich ciała ułożyć w wyrysowanych czarną kredą kręgach, potem podciąć żyły i krew zlać do szklanych retort. Kazałem na ich piersiach i brzuchach wypisać tajemne symbole, a między nogi włożyć odwrócone krzyże. Wiedziałem, że ten widok wystarczy, by inkwizytorzy z Hez-hezronu poczuli się jak gończe psy na tropie. Wiedziałem też, że będzie to powód aresztowania sześciu kardynałów-spiskowców, zwłaszcza iż do Hez-hezronu dotarły wieści o spisku knutym przy okazji heretyckich praktyk. Tak więc czuję trochę żalu. Pociesza mnie tylko jedno: wszyscy jesteśmy winni w oczach Boga, a pytaniem jest jedynie czas i wymiar kary. Tak powiedział mój Anioł, a ja nie znajduję powodów, by nie wierzyć jego słowom. I wierzę też, że mój czas nieprędko nadejdzie, a kara nie będzie surowa nad miarę.